



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Pielgrzymka na Górę Syon / Jan Bunyan; opracowane podług uproszczonego wydania niemieckiego.

Liczba stron oryginału

244

Liczba plików skanów

244

Liczba plików publikacji

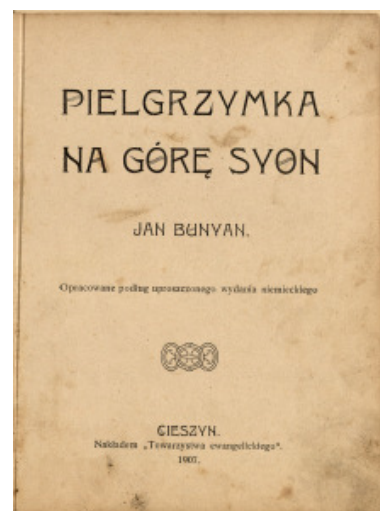
245

Sygatura/numer zespołu **KD I 05134**

Data wydania oryginału **1907**

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





Gikova

21-23-24-25-26

Shong



A piece of aged, yellowed paper with faint, illegible markings and a horizontal line. The paper shows signs of wear, including creases and discoloration. There are some faint, dark markings that appear to be remnants of text or drawings, but they are too light to be read. A single horizontal line is drawn across the upper portion of the paper.



Diebgraben

PIELGRZYMKA NA GÓRĘ SYON

JAN BUNYAN.

Opracowane podług uproszczonego wydania niemieckiego



GIESZYN.

Nakładem „Towarzystwa ewangelickiego“.

1907.



KD I 5134

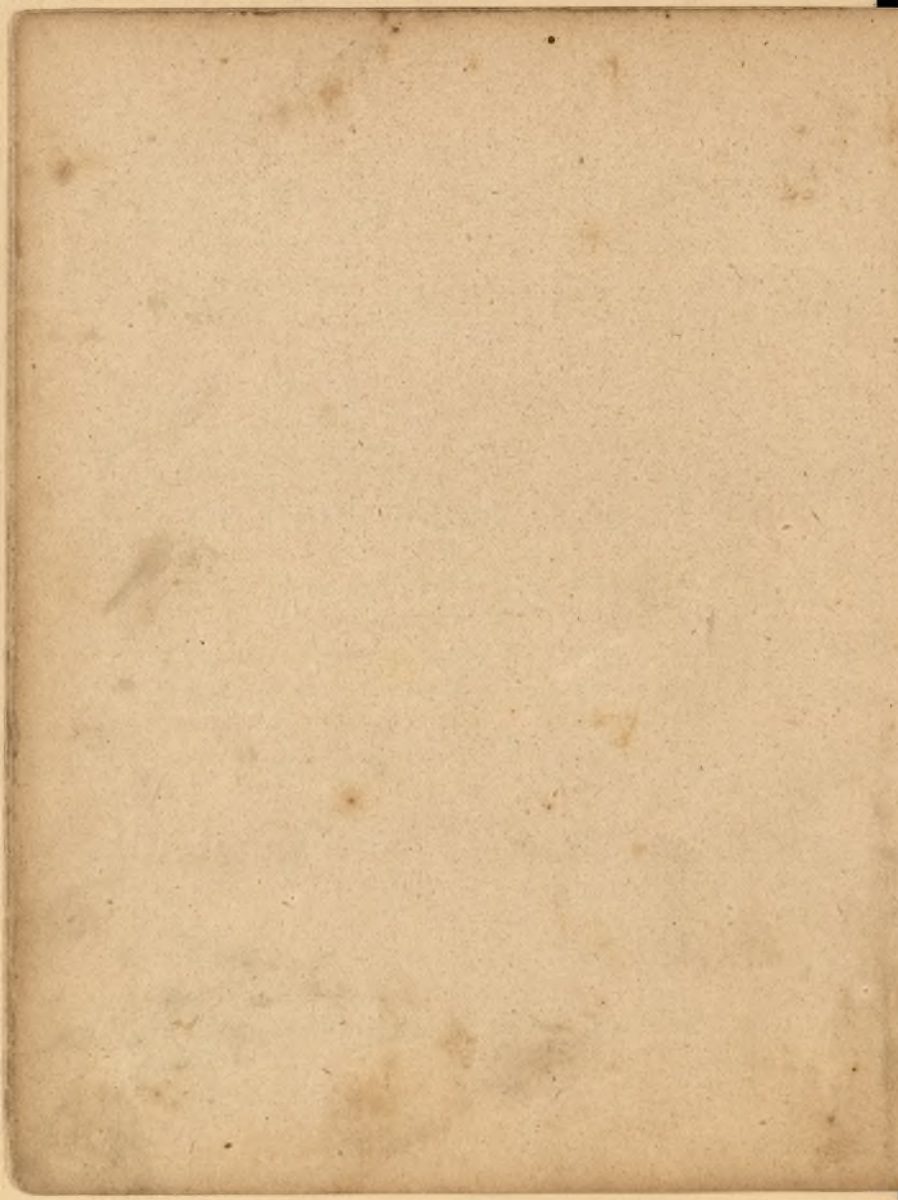
KD 5134

K 25/17
20,00

Wigetka

I. Podróż pielgrzyma do
niebieskiego miasta.

34



PRZEDMOWA.

1. Uwagi wstępne.

Życie chrześcijanina jest pielgrzymką do niebieskiej ojczyzny. Póki mieszkamy w tem ciełe, pielgrzymujemy do Pana (2. Kor. 5, 6). Nie mamy tu miasta trwałego, ale onego przyszłego szukamy (Żyd. 13, 14). Pielgrzym musi znać dobrze drogę, aby nie zbłądził, musi umieć znosić trudy podróży i uchronić się przed grożącemi niebezpieczeństwami, a przedewszystkiem musi, aby dojść do celu, wybrać się w drogę. Kiedyż chrześcijanin wybiera się w drogę? Nie w dzień swego urodzenia, bo chrześcijanin nie rodzi się gotowy, ale wtedy, gdy w sercu i w życiu jego zaczyna działać odnawiająca łaska Boża przez Ducha św. Jeżeliby się kto nie narodził z wody i z Ducha św., nie może wniknąć do królestwa niebieskiego (Jan 3, 5). Wtenczas dopiero zaczyna się pielgrzymka i bój wiary. Zwykle nazywają ludzie życie z jego trudami i kłopotami pielgrzymką i bojem. Gdy ktoś umrze po ciężkiej chorobie, mówi się: „już dowojował“ Je-

dnak, bojem i pielgrzymką chrześcijanina nie jest zdobywanie sobie w pocie czoła kawałka chleba, zapewnianie sobie jak najlepszych warunków bytu, znoszenie rozmaitych cierpień i rozmaitego, jak się mówi niesłusznie, k r z y ż a, lecz walka ze złem, z grzechem, walka wiary z niewiarą i z obłudą, walka miłości ze samolubstwem, walka prawdy i światłości Bożej z ciemnością szatana, świata i ciała. I to też dopiero jest noszenie krzyża.

Z drugiej strony nie wystarczy tylko wybrać się w drogę, ale potrzeba nią iść. Przebudzeniem z grzechów i nawróceniem się nie kończy się chrześcijaństwo, ale teraz dopiero zaczyna się pochód gościńcem poświęcenia, który czasem bynajmniej nie jest różowy. Czekają na nim ciężkie doświadczenia i upokorzenia. Trzeba zmierzyć się z mocami ciemności, trzeba umieć iść także doliną cienia śmierci. Jak łatwo można się potknąć i dać się zwieść i wpaść nawet do grzechu, dla którego nie masz odpuszczenia. Jak łatwo można usnąć śmiercią wieczną, gdy się już jest u celu; droga do piekła prowadzi nawet od samych bram niebieskich.

Autor niniejszej książki, Jan Bunyan, szedł także tą drogą i chce zostawić innym ostrzegające drogowskazy. W barwnych obrazach przygód pielgrzymów, podróżujących na górę Syon, maluje życie chrześcijanina, jego walki, jego niebezpie-

czeństwa i drogi, któremi go Bóg prowadzi cudownie i łaskawie.

Zaś na błędnych drogach i na niebezpiecznych miejscach poumieszczane są ostrzegające tablice, tak, że każdy uważny czytelnik tej książki znajdzie w niej i swój własny wierny obraz, znajdzie stan własnego serca i drogę, na jakiej się znajduje; może więc doświadczać samego siebie, może poznać, jak daleko jest jeszcze od Syonu. Niejeden poznał w niej samego siebie, dla niejednego jest ta książka odzwierciedleniem jego najosobistszych doświadczeń i pamiętnikiem jego własnego życia. Wszystko, co przecierpiał, przebojował i przemógł, staje tutaj żywo przed jego duszą. Można odczuć w tych obrazach tchnienie prawdy, która się nie starzeje i ślady ręki Bożej.

W świetle słowa Bożego odsłaniają się tu różne rysy i różne charaktery ludzkiego życia, ludzkiego serca, ludzkich zamysłów i pobożności w świecie. Nie jedno, co się okrywało pozorem wzorowej porządności i pobożności, przedstawia się tutaj we właściwej postaci. Wielu ludzi wybiera się w pielgrzymkę do nieba; ale służą Bogu według własnego widzimisię, idą temi drogami, które sobie sami wyrobili i które odpowiadają najlepiej ich upodobaniom. Do pobożności mieszają swoje własne cele i korzyści, które niejako podszycują pod płaszczyk religii. Mało jest takich,

którym nadewszystko chodzi o prawdę. Mało jest takich, którzy jak dr. Marcin Luter, szukają łaskawego Boga, którym chodzi rzeczywiście o pewność zbawienia, o to świadectwo synowstwa Bożego, którzy wchodzą przez ciasną bramę i nie wazą się za żadną cenę opuścić wyznaczonej przez niebieskiego Króla wąskiej drogi, która jedynie prowadzi na górę Syon, do nieba. Ogromna większość przy wszytkiej swojej pobożności żyje bez Boga i bez wieczności, żyje poddana gniewowi i potępieniu w miastach zagłady, poddana marności świata i gonitwie ziemskiej na rynkach próżności, poddana książęciu świata. Pielgrzym, szukający nieba, pielgrzym, rozpoczynający nowe życie z Boga, życie dla nieba, należy właściwie do rzadkich wyjątków, do tego małego stadka — i w świecie chrześcijańskim.

To też, gdy pielgrzym wybiera się w drogę, nie rozumie go nikt, nawet najbliżsi myślą, że mu się w głowie przewróciło. Spotykają go szyderstwa i nienawiść. Jego postępowanie jest dla wszystkich tak dziwaczne, jak n. p. zachowanie się waryata zbiegłego ze szpitala. Trybunał sądowy miasta P r ó ż n o ś c i wydaje na jednego z pielgrzymów jednogłośnie wyrok śmierci, drugi uchodzi cudem. Skąd ta nienawiść? Stąd, że pielgrzymi byli żywem kazaniem prawdy Bożej, a prawdy tej człowiek nie znosi, bo go ona po-

tępią i mówi mu, że jest grzesznikiem, że wszyscy są osądzeni, że wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej. A człowiek w swej hardości nie pozwoli się przez Boga potępić, nie da się upokorzyć. Faryzeuszowie chcieli uratować swą sprawiedliwość i dobrą opinię kosztem śmierci niewinnego Jezusa, którego czystość i prawdziwa świętość była im solą w oku i kością w gardle. Mówisz: „Czyżby ze mną rzeczywiście miało być tak źle, żebym był skazany do piekła? Któżby wtedy był zbawiony? Tępy wszyscy ludzie musieli iść na potępienie, a to nie jest możliwe.“ Tak samo mówili obywatele miasta P r ó ż n o ś c i: „Ten człowiek odważa się powiedzieć, że nasza cała pobożność nie ma przed Bogiem żadnej wartości, a tępy znaczyło, że wszyscy pójdziemy do piekła.“ Nie, tego nie mogli przyznać, bo na to potrzeba oświecenia Ducha św., a bez tegoż Ducha było to dla nich kazaniem zatwardzenia i dla tego pielgrzymi musieli być bezwarunkowo straceni.

A jednak takie oświecenie prowadzi jedynie do poznania miłości i łaski Chrystusowej. Kto żyje swoją własną porządnością, ten nie troszczy się o Chrystusa. I pielgrzym został zwiedziony do miasta P r a w o w i t e, gdzie ludzie żyją własną prawością. Lecz nie mógł tam wytrzymać. Góra Synai groziła zwaleniem się nań. Kto został wpro-

wadzony w głębię nędzy grzechowej i w głębię zepsucia własnego serca, ten musi iść dalej, musi szukać łaski, pomocy i poświęcenia w Chrystusie. A gdy je znajdzie, wtedy serce jego zapłasa radośnie i wtedyby gotów poświęcić dla Chrystusa nie jeden, ale tysiąc żywotów. To jest tajemnica łaski.

Nie można się w krótkiej przedmowie zapuszczać w dokładniejsze objaśnienie wszystkich poszczególnych przygód pielgrzyma. Potrzeba było tylko wskazać, czego w tej książce ma się czytelnik spodziewać i czego winien szukać. Reszta rozjaśni się uważnemu i dojrzy poza pięknymi przygodami i ładnymi obrazami jeszcze coś więcej.

Możnaby było tylko zarzucić, że książka ta w dzisiejszych czasach jest zupełnie bez wartości. Dzisiejszy człowiek potrzebuje, aby mu każdą rzecz nazwano jasno po imieniu bez jakichś tam mglistych korowodów i dwuznaczności. Do tego każde porównanie chromie i może być przekrecone w śmieszność. Lecz podobieństwa Jezusa mają i będą mieć nieśmiertelną wartość. Bóg swoje prawa i swoją wolę objawiał od dawien dawna Swojemu ludowi zapomocą cieniów, podobieństw i obrazów. Zarzucać im coś, znaczyłoby ganić najwyższą mądrość Bożą. A sama „Pielgrzymka” Bunyana, przełożona na jakie sto obcych języków, z mniej więcej 16-tu wydaniem w samym tylko

języku niemieckim, potrafiła przemówić do serc ludzkich, jak może żadna książka oprócz biblii. Rosyanin i Japończyk, Chińczyk i Anglik, Włoch, Arab i mieszkaniec wysp południowych przyjęli ją jako coś swojskiego i mogli wyrozumieć z niej dziwne drogi Boże.

Lecz skądże pochodzi siła wpływu Bunyana? Złożyły się na to gruntowna znajomość natury ludzkiej, wielka zażyłość ze słowem Bożem i własne bogate doświadczenie. Bunyan był człowiekiem, który pojrzał wieczności oko w oko, nie jak zwykle robią ludzie, którzy wprawdzie nie przeczą prawdy słowa Bożego, wierzą w istnienie nieba i piekła, w sąd i zmartwychwstanie, ale zresztą głębiej ich to nie obchodzi i sądzą, że już to tam jakoś będzie. „Pielgrzymka“ nie jest tylko jakimś wymyślonym konceptem, ale jest z życia wzięta i jest wiernem odbiciem własnego życia autora. To też nie brak jej humorystycznego zabarwienia, które starano się zachować i w tłumaczeniu. Czytelnik znajdzie wyrażenia, których może nie spotykał w książkach „świętych“, które trzeba było czytać z długą twarzą i z uroczyście nastrojoną miną. Ale za to nie mniej znajdzie tu prawdy Bożej, która się może prędzej przylepi. Dla tem lepszego zrozumienia „Pielgrzymki“ trzeba się jeszcze zapoznać z życiem autora.

2. Życie Bunyana.

Jan Bunyan urodził się w roku 1628 we wiosce Estlow, niedaleko miasta Bedford w Anglii. Był synem ubogiego kotlarza. Rodzice jego sami nauczili go czytać i pisać, potem uczęszczał przez krótki czas do szkoły w sąsiednim mieście, ale poza tem nie otrzymał żadnego wykształcenia. Resztę skromnych wiadomości musiał zdobywać sobie tam i sam, a życie wędrującego kotlarza (wyuczył się bowiem rzemiosła ojca) nie pozostawiało dużo czasu do nauki. Tem więcej nie dbał o nią w młodości, w której serce jego było zamknięte na wszelkie dobre wpływy i w której prowadził dość rozwiązłe życie. Kłątwy, bluźnierstwa i kłamstwa były już w chłopięcym wieku dla niego nie nowością. Nie wielu potrafiło dorównać mu w bezbożności. W najgłębszej boleści nazwał się później najgorszym hultajem i wzorem grzesznika.

Przy tem wszystkiem życie jego wewnętrzne tlało już, choć bardzo słabo. W chłopięcym już wieku miewał często sny, w których główną rolę odgrywały piekło, szatan, sąd i potępienie. Dowodzi to bądź co bądź, że jego młodzieńczy umysł zajmował się żywo sprawami wieczności. Raz wpadł Bunyan w zatokę morską i ledwie nie utonął. Innym razem wpadł do rzeki z łodzi i wyra-

tował się z największym wysiłkiem. W siedemnastym roku życia, w czasie walk Purytanów ze stronnictwem królewskim dał się zwerbować do wojska. Podczas oblężenia miasta Leicester rozkazano mu stać na straży. Wyreńczył go jego przyjaciel, lecz kula nieprzyjacielska zabiła go na miejscu, a Bunyan w ten sposób cudnie uszedł z życiem. Nie pozostało to bez wpływu na dalszy jego rozwój, lecz nie zdołało przebudzić go ze snu grzechowego. Pan jednak nie przestał pukać do drzwi jego serca. Raz tknięty żywym kazaniem, z którego przekonał się, że martwa kościelność, a życie według przykazań Bożych, to dwie różne rzeczy, usłyszał coś jakby głos z nieba: „Czy chcesz porzucić swe grzechy i wejść do nieba, albo żyć w nich nadal i wejść do piekła?“ Żywa jego wyobraźnia malowała mu Chrystusa, który patrzył nań przeszywającym wzrokiem. To go tak przeraziło, że natychmiast opuścił wesole towarzystwo, z którem się właśnie bawił. Ale i szatan nie zasypiał gruszek w popiele. Podszeptował mu, że jest przecież wielkim i beczelnym grzesznikiem, dla którego już i tak nie masz ratunku, że zatem pozostaje mu tylko to jedno: wyssać z grzechu tyle rozkoszy i słodyczy, ile się da. Zwykła to praktyka ducha kłamstwa. Potrafi on stosownie do potrzeby, albo zmniejszyć grzech i powiększyć łaskę Bożą, albo gdy się sumienie

budzi, powiększyć grzech i pomniejszyć łaskę w nieskończoność. Rozkosz, w którą się rzucał, robiła mu się gorzką przez działanie Ducha św., bo jakżeby zresztą młoto, rzucane przez szatana, zaspokoilił nieśmiertelną duszę?

Jego prowadzenie się było w ten czas tak bezbożne i gorszące, że nawet jedna z sąsiadek, kobieta nie najlepszych obyczajów, wytykała mu jego brzydkie klątwy i mówiła, że jest najgorszym drabem, który gotów zarazić i zepsuć wszystką młodzież koło siebie.

Ten wyrzut bezbożnicy podziałał więcej nań, niż upomnienia trzeźwych, pobożnych ludzi i nappełnił go ukrytym wstydem. Życzył sobie nie wiedzieć nigdy, co to znaczy klątwa i kłamstwo. Powziął silne postanowienie wyzbycia się tych grzechów i zwalczania ich.

O tym czasie ożenił się z córką bogobojnego męża, która w posagu przyniosła mu oprócz swych dziesięciu zdrowych palców, dwie budujące książki, z których czytywał często. Pod wpływem pobożnego przyjaciela, którego poznał, zaczął także czytać biblię. Czytał zrazu część historyczną starożytności; listy apostołów nie bardzo go zajmowały, gdyż o zepsuciu swojej własnej natury i o potrzebie zasługi Chrystusa nie miał jeszcze pojęcia. Pobożność jego była zewnętrzną i pobożnością zakonu. Człowiek nie rozumie od razu, co

to znaczy, oddać Bogu wszystką cześć. Pracował teraz Bunyan pilniej, wykonywał ściśle swoje obowiązki i był tak skrupulatny, że nie tylko unikał teraz muzyki, śpiewu i tańca, które przedtem lubił namiętnie, lecz nawet głos dzwonu niepokoił jego sumienie, z pewnością dla tego, ponieważ czuł, że i to zbyt przylgnęło mu do serca. Już gdy dzwonił ktoś z jego przyjaciół, to zdało się mu, że się wieża zawali nań, by ukarać go za jego grzechy. Lecz gdy zgrzeszył, to myślał, że grzech ten zgładzi własną troską i skruchą; nie wiedział jeszcze nic o potrzebie pomocy i łaski Bożej. Nic dziwnego, że ludzie podziwiali jego pobożność i stawiali go wszystkim za wzór. To pochlebiało tak dalece jego próżności, że zaczął być ze swej pobożności dumny i chciał przez wszystkich być widziany i chwalony. Był wtenczas jeszcze tak daleko mniej więcej od drogi żywota, jak wtedy, gdy jeszcze siedział w swych grzechach.

Punktem zwrotnym w jego życiu i początkiem jego prawdziwego nawrócenia był dzień, w którym na jednej z ulic miasta Bedford słyszał prowadzoną z wielkiem przejęciem rozmowę dwóch pobożnych niewiast o swej wielkiej nędzy grzechowej, o nędzocie swej własnej sprawiedliwości i o wielkiem dziele odrodzenia, które Bóg zdziałał w ich sercu. Bunyan słuchał ich chwilę, ale nie rozumiał z tej całej rozmowy nic a nic. Były

to za wysokie progi na jego nogi. Niewiasty wydały mu się, jako istoty, które patrzą w jakiś nowy, nieznany dla innych śmiertelników świat. Drażniło go to wprawdzie do żywego, bo przecież on jako czytany w biblji, musiał coś rozumieć się na rzeczach Boskich, ale szance własnej sprawiedliwości zaczęły się zwolna rozpadać. Zdjęła go bojaźń i poczuł po raz pierwszy brzemię i rzeczywistość swych własnych grzechów. Musiał przyznać, że jeszcze nie zajrzał nigdy w głębię skrytą swojego serca, że jeszcze nie poznał oszukaństwa grzechu i taktyki szatańskiej. Poznał, że brakuje mu prawej wiary. Niczego teraz więcej nie pragnął, jak objawienia tajemnicy wiary w swem sercu.

Życie by dał, gdyby posiadał, czego pragnął. Ale jak tu wierzyć? Nieraz, aby spróbować swojej wiary, chciał powiedzieć do kałuży: „Osusz się!“ ale mówiło mu coś: „Idź wprzód, a pomódł się!“ Po modlitwie nie miał już na to odwagi. W tej ciężkiej trosce o zbawienie zazdrościł zwierzętom, które nie muszą szkodować na duszy. Czuł się tak, jakoby musiał marznąć na lodzie, gdy inni kąpią się w ciepłym słońcu, zwłaszcza owe kobiety.

Ale i szatan starał się zgasić zapalone światło. Obudził w nim dręczącą myśl, że Bóg odrzucił go, jako takiego, który nie ma wiary, a nikt nie może mieć wiary, podobającej się Bogu, kto nie jest wybrany, gdyż nie zależy na tym, co chce, ale na

tym, co wykonywa (Rzym. 9, 16), a Jezus wołał do siebie tych tylko, których chciał (Mar. 3, 13). A zatem, nie mu to nie pomoże, choćby i chciał wierzyć, jeżeli Bóg nie wybrał jego, a nie wybrał go, gdyż jest największą zakałą ludzkości. Biedak wpadł w rozpacz. Zwątpienie miotało nim, jak zbożem w przetaku. Kiedyż mógł powiedzieć, że ma wiarę pokonującą świat? Czuł teraz, że jej nie posiada, a że bez niej będzie zgubiony. Szatan szeptał mu, że już minął czas łaski i że przychodzi do Boga za późno. Wszystko koło niego tak było spokojne, a tylko on sam musiał się biedzić. Dlaczegoż to? Gdy pozostawiał miejsca biblijne o odpuszczeniu grzechów, to było to wszystko „dla wron na zagonach“. Siedział tak między wątpliwościami i między żądzami serca, które na pozór silumione już były doszczętnie, lecz teraz budziły się znowu do życia, jakby między młotem i kowadłem.

Aż proste słowo Łuk. 14, 21 (Tedy gospodarz rzekł słudze swemu: Wynijdz prędko na ulice i na drogi miejskie, a ubogie i ułomne i chrome i ślepe wprowadź tu) rzuciło światło w jego zniechęcaną, obciążoną duszę. A więc jest jeszcze miejsce i czas łaski nie minął! Z drugiej strony poznał, że sprawiedliwość Boża, a jego nędza grzechowa, to dwie rzeczy, które się nie wyłączają, ale odpowiadają sobie zupełnie. Poznał, że wszystkie cie-



inne drogi grzechowe musiały służyć do tego, aby sprawić mu taką wielką radość. Bóg czyścił go w pokuszeniach, jak złoto w ogniu, znajomość jego wzrastała, Chrystus kształtował się w nim.

Ale Bóg jeszcze dalej pracował nad nim i przetapiał go w ogniu pokuszeń. Szatan miał na tym słudze Bożym wypróbować, jak na Jobie, wszystkich sił. Ogniste jego strzały sypały się w jego duszę w postaci bluźnierczych myśli o Bogu, o Chrystusie i o biblii. Dusza jego falowała jak morze. Myśli „Chrystus jest zwodzicielem, jak Mahomed, biblia jest fałszerstwem, jak koran“^{*)} występowały z głębi duszy, jak obłoczki i kładły się na nią, jak nieprzebite ciemne chmury, choć rozumie się brzydził się niemi, ale nie mógł ich od siebie odpędzić. To była jego Dolina Cienia Śmierci. Przez cały rok szamotał się codziennie, ba co godzina z podszeptami: „Sprzedaj swego Zbawiciela!“ Straszliwy koniec Judasza napawał go ciągle nieopisaną trwogą. A bał się, że mógłby go spotkać ten los, gdyby choć raz w głębi duszy zgodził się na te myśli. Czasem walił pięściami koło siebie i krzyczał: „Nie, nie chcę, nie chcę!“ A jednak raz, gdy wyczerpany walką leżał na łożu, wymknęły mu się, albo raczej przebłysły w jego duchu słowa: „Niech sobie idzie, je-

*) Księga święta Mahometan.

żeli chce!“ W śmiertelnym strachu wyskoczył z łóżka i popędził w pole, jak szalony, oczekując w beznadziejnej rozpaczach już tylko wiecznych mąk. I tak dalece zagłupiał się w swe zwątpienie, że zbierał uporczywie możliwe i niemożliwe dowody na to, że już nie śmie, jak inni, spodziewać się odpuszczenia grzechów, że jak Ezaw, nie znajdzie już miejsca dla pokuty. Aż raz, ciągle jeszcze miotany nawałem przeróżnych myśli, usłyszał jakby pytanie z nieba: „Czyż jeszcze nie chcesz dać się usprawiedliwić przez krew Chrystusa?“ W sercu zabłysła mu nadzieja. Zaczął się znów śmieiej modlić, ale w modlitwę mieszały się rozpaczliwe myśli: „Sprzykrzyłeś się już Bogu i dlatego rzucił cię w grzech, aby się ciebie pozbyć.“ Myśl o losie Ezawa stała zawsze jak anioł z mieczem płomiennym u wrót pokoju jego z Bogiem. Nikt nie umiał wstawić się w jego położenie i dlatego nikt nie umiał mu pomóc. Myślał, że jeżeli Chrystus raz jeszcze nie ucierpi zań, to jest beznadziejnie zgubiony. Zdawało mu się, że sprzysięgły się przeciwko niemu kamienie na ulicy i cegły na dachu. Aż wreszcie słowo: „Grzech nie jest na śmierć“ przełamało wszystkie lody i rozproszyło wszystkie ciemności serca. Widział się znowu w rzędzie innych grzeszników, teraz i jemu wolno było modlić się i prosić o odpuszczenie grzechów. Zapalało mu serce wdzięcznością i miłością do Jezusa.

Gotów był teraz wszystko zań poświęcić. Pękały więzy księcia ciemności. Był wolny od winy i niepokoju. Wiara w łaskę Bożą, we wierność Jezusową, w zupełnie wystarczającą płatność Jego ofiary zakorzeniała się w nim coraz silniej. Pokój przewyższający wszelki ludzki rozum, zapanował w jego sercu.

I cóż to było? Nic więcej. tylko owa prawda, która o uszy chrześcijan ewangelickich obija się od dzieciństwa, prawda, że nie bywamy usprawiedliwieni z własnych uczynków, lecz z łaski przez wiarę w Jezusa Chrystusa. W tem tylko cała różnica, że ta prawda zwykle pada podle drogi i na grunt opoczysty, a u niego padła na ziemię dobrą i wydała owoc. Że była u niego mocą i żywotem i pokarmem, a nie suchą tylko i martwą formułą katechizmową, którą trzeba było wyębnić kiedyś do nauki confirmacyjnej, lecz która zresztą z życiem nie ma nic wspólnego.

Przez cały ten czas Bunyan wiernie oddawał się swojemu zawodowi. Na kotłach jego nie było znać ani śladu z tych burz, które miotwały jego sercem. Lecz w kołach wierzących poznawano coraz to więcej, co za siła w nim mieszka. Świadcstwa tego skromnego kotlarza o darowanej sobie łasce trafiały w serca, jak strzały. Nic dziwnego, wszak znał to serce z jego trudnościami i wybiegi szatańskie na wylot. Poznano się także na jego żyłce

kaznodziejskiej i na wielkich jego zdolnościach. Wzywano go coraz częściej, aby jako kaznodzieja służył i innym temi dobrami, któremi go Bóg obdarzył. Miał wtenczas 27 lat. Widnokrąg jego rozszerzał się w obcowaniu z wykształconem i budującym towarzystwem. Aby w Anglii zostać kaznodzieją, nie zawsze potrzeba, jak u nas, poddawać się egzaminowi u władz duchownych. Rozstrzyga więcej talent i powołanie Boże. To też Bunyan uległ wreszcie prośbom przyjaciół i został kaznodzieją w zborze Baptystów, do których się był przyłączył. Zakres działania Bunyana rozszerzał się coraz więcej. Wędrując przy tem wszyskiem ciągle jeszcze za robotą z miejsca na miejsce, przemawiał przy tej sposobności, gdzie się dało, w lasach, w stodołach, na łąkach, czasem i w kościołach. Z bliska i z daleka napływali ludzie, aby z ust jego słyszeć poselstwo zbawienia. A zwiastował je z wielką gorliwością i z żarliwą miłością szczególnie do upadłych grzeszników. Starał się wymawiać słuchaczom Chrystusa i Jego zasługę w jak najwyraźniejszych barwach, w najróżniejszych okolicznościach, a zarazem wytrącić z rąk grzeszników wszystkie fałszywe, kruche oparcia, na których spolega człowiek naturalny.

Nic też dziwnego, że nie brakło mu wrogów, że duchowieństwo patrzyło na biednego kotlarza z wielką zawiścią. Obrzucano go najczarniejszemi

oszczerstwami, nawet starano się zapomocą prawa poskromić tego sekciarza i nowochrzczeńca. Lecz wszystko to speliło na niczem.

Ważniejszem jednak było dla jego losów rozporządzenie z roku 1662, za panowania króla Karola II. z Anglii, na mocy którego zakazane było odbywanie nabożeństw we wszystkich kołach i denominacyach, nie uznanych przez państwo, a każdy był zobowiązany brać udział w publicznych nabożeństwach kościoła anglikańskiego. Kto wzbraniał się, temu dawano trzy miesiące czasu do namysłu w więzieniu, a kto się przez ten czas nie ugiął, musiał opuścić kraj. Bunyan ani myślał poddać się nakazowi. Od Boga otrzymał rozkaz i dar głoszenia ewangelii i cóż go poza tem miało obchodzić? A jednak on właśnie był tym najniebezpieczniejszym ptaszkiem, którego wzięto na cel. Oskarżono go i zasądzono na karę więzienną. Sędziowie chcieli wprawdzie uwolnić go w zamian za przyrzeczenie, że zaprzestanie kazać, albo, że tylko w domu wolno mu będzie mówić o boskich rzeczach, ba nawet, że tylko nie będzie zwoływał samego zgromadzenia. Myśleli, że Bunyan odrazu zgodzi się na podane mu warunki. Bunyan jednak obstawał uporczywie przy swoim i ani myślał dać żadanego przyrzeczenia. Jego prosty umysł nie mógł się zgodzić na wybiegi prawne. Nie rozumiał zresztą, czemu by coś, co wolno było w mniejszem

kółku, miało być występkiem we większym zgromadzeniu. Do tego wiedział jasno — i to było najgłówniejszym powodem jego uporczywości —, że jako pierwsza ofiara nowego prawa, jest bojownikiem wolności sumienia w państwie, że od niego może zależeć wolność sumienia przyszłych pokoleń.

To też pozostał w więzieniu. Ofiara, którą ponosił dla świętej sprawy, nie była łatwa. Rozłąka z żoną i z dziećmi, które musiał zostawić bez wyżywienia i w nędzy, sprawiała mu niezmierną boleść. Żona jego (druga) zachorowała ciężko ze zmartwienia. Ślepa córka, która mu szczególnie leżała na sercu, umarła podczas pobytu jego w więzieniu. Zdawało mu się, że burzy dom nad głowami swoich miłych.

W więzieniu, zdaje się, zostawiono mu dość wielką wolność. Mógł nawet opuszczać je i chodzić do swoich braci w wierze, gdzie naturalnie miewał przemówienia. Nieprzyjaciele jego, dowiedziawszy się o tem, zażądali ścisłego dozoru. Raz, pędzony jakimś wewnętrznym niepokojem, wrócił do swej celi wcześniej, niż zwykle. Dozorca więzienny zastał go już na miejscu i rozszerzył tem więcej jego wolność, mówiąc, że Bunyan wie lepiej niż on, dozorca, kiedy ma być na miejscu. W więzieniu, które nazwano jego „prywatnem mieszkaniem“, wolno mu było przyjmować także

obcych, którym naturalnie kazał gorliwie ewangelizować.

Nie obeszło się także w ciszy więziennej bez różnych pokuszeń, które zagładały do jego celi. Ale Pan otworzył mu obfite źródła niebieskiej pociechy. Bunyan wyznaje, że nigdy przedtem nie zajrzał tak w głębię słowa i serca Bożego. To też nie obaliły go cierpienia. Jezus bohater zwyciężył w nim i zrobił z niego bohatera. Bo była to cierpliwość iście bohaterska, że mógł przez dwanaście lat wytrzymać w więzieniu, gdy jedno proste oświadczenie wystarczyłoby, aby go wypuszczono na wolność. I jak bliską była ta myśl, że przecież i tak nie zyska nic swoim uporem, bo o kaznodziejstwie nie mogłoby być mowy, ani choćby był wolny, ani choćby został w więzieniu. W pierwszym razie mógłby żywić przynajmniej swoją rodzinę. Ale on nie miał na oku własnej osoby, tylko sprawę wolności sumienia.

Bunyan był człowiekiem szczególnie opatrnościowym. Bo i ten dwunastoletni pobyt w więzieniu nie był bez celu. Prawie wszystkie swoje książki pisał w więzieniu. Bez tego przymusowego próżnowania nie byłby nigdy znalazł na to czasu. Nieprzyjaciele chcieli zamknąć mu usta, szatan chciał ziarno słowa Bożego zagrzebać w ziemię i przybić kopytem, a oto właśnie dopomógł mu do wzrostu i do wydania

hojnego plonu. Książkami swojemi mógł Bunyan służyć nie tylko za życia, lecz i po śmierci późniejszym pokoleniom i innym narodom. Najbardziej znana jest „Pielgrzymka“. Składa się ona z dwóch części. W pierwszej maluje podróż pielgrzyma, w drugiej podróż jego żony z dziećmi, a zatem niejako obraz życia chrześcijańskiego w rodzinie. Część druga jest znacznie słabsza, powtarza się tam wiele rysów, które były w pierwszej części, choć i tu napotyka się dużo cennych nowości. Niemniejsem wydaje się tylko pierwszą część, która jest zupełną całością w sobie. Oprócz „Pielgrzymki“ najbardziej znane są dwa jego dzieła: „Święta wojna“ i „Żywot i śmierć pana Złośnika“. Pierwsze maluje wojnę między Bogiem i szatanem o człowieka, drugie otwiera tajniki grzesznego serca i piętnuje grzechy swoich, jak i naszych czasów. Wszystkie te dzieła owiane są bujną rodzimą fantazją, która łączy się z praktyczną trzeźwością, w której z całym naciskiem wskazuje na to jedno, czego potrzeba.

Nadeszła wreszcie dla niego wolność w roku 1672. Natychmiast po wypuszczeniu na wolność został zamianowany kaznodzieją. Teraz odżył na nowo i postarał się o to, aby zużytkować odzyskaną wolność dla wieczności. Kazał nawet w dniach roboczych przed wielkimi zgromadzeniami. Działalność jego sięgała tak daleko, że na-

zywano go nawet od czasu do czasu biskupem Bunnanem. Przy wszystkim uznaniu, które znalazł, pozostał zawsze skromny i pokorny i rzadko tylko mówił o samym sobie. Największą radością było dla niego, gdy mógł się dowiedzieć, że tu i ówdzie jego świadectwa obudziły dusze do życia z wieczności. Ludzkie gadaniny i wytykania niewiele go wtedy obchodziły, jak na odwrót nie umiał się cieszyć z pochwał ludzkich, gdy nie widział owocu.

Nieraz powoływano go do Londynu, albo na jakie inne miejsce o szerokim zakresie działania, ale zawsze odmawiał, gdyż nie szukał chwały ludzkiej. Przez niejedną zmianę czasu, przez niejedną polityczną i kościelną burzę wytrwał w swoim drogiem Bedfordzie i służył tam wiernie swojemu niebieskiemu Królowi.

Błogosławiony żywot swój zakończył uczynkiem miłości chrześcijańskiej. Znano go powszechnie jako wielkiego pojednawcę. Młody szlachcic w bliskości miasta Bedford poprosił go, ażeby przyszedł pojednać go z obrażonym ojcem. Choć czuł się znacznie osłabiony, podjął się tego przyjacielskiego uczynku, pojechał daleką drogą do owej rodziny i pogodził zagniewanego ojca z synem. To go bardzo uszczęśliwiło, ale w powrocie do Londynu zmoczyła go do nitki okropna ulewa, nim mógł dojść do najbliższego przyjacielskiego domu.

Gwałtowna febra zwała go tutaj na łożę, z którego nie podniósł się więcej. W 10 dni po owej pokojowej usłudze przyjacielskiej oddał Bogu ducha, dnia 31. sierpnia r. 1688. Odszedł więc w 60. roku życia jako pielgrzym z miasta Zagłady na górę Syon do niebieskiego Jeruzalemu.



I. ROZDZIAŁ.

Ucieczka pielgrzyma z miasta Zagłady.

Wędrując pustynią tego świata, znalazłem jaskinię, w której położyłem się do snu. Niebawem zasnąłem. We śnie ujrzałem męża, stojącego przed własnym domem; ubranie miał brudne i podarte (Jer. 64, 5), na barkach dźwigał ogromne brzemie, w ręku zaś trzymał książkę. Widziałem, jak to, co czytał, przejmowało go do głębi duszy, jak płakał i drżał na całym ciele, jak wreszcie z piersi jego wyrwało się rozpaczliwe wołanie: „Cóż mam czytać?“ (Dzie. 2, 37).

W tym oplakany stan wszedł do swego domu i usiłował się, o ile mógł, zapanować nad sobą gwałtem, ażeby ukryć przed żoną i dziećmi swoją niedolę. Nie mógł jednak milczeć długo; niepokój parł go do wynurzenia się przed żoną i dziećmi.

— O kochana żono, o moje drogie dziatki! — wzdychał boleśnie. Już po mnie; brzemie moje przygniata mię ku ziemi. Widzę jasno w duszy, że

miasto nasze spalił ogień z nieba i że wszyscy będziemy musieli zginąć marnie w tej strasznej katastrofie, jeżeli nie znajdzie się jakaś droga wyj-



ścia i ratunku. Dotąd jednak jeszcze nie wysledzi-
łem jej nigdzie.

Domownicy słuchali słów tych z niemałym
przerażeniem; nie, żeby wierzyli w prawdę jego
wywodów, lecz ponieważ myśleli, że nagle dostał
pomieszania zmysłów. Spiesznie więc, ile że wła-

śnie zapadała noc, ułożyli go do łóżka, w nadziei, że może zdrowy sen wytrzeźwi go trochę. W nocy jednak więcej jeszcze się niepokoił, niż w dzień; całą noc spędził we łzach i wzdychaniach. Rano, gdy się go domownicy pytali, jak się czuje, odpowiedział: „Coraz gorzej i gorzej.“ I znów rozpoczął użalać się i wynurzać swe obawy, ale nikt już nie chciał go słuchać. Myśląc, że ostrzejszym środkiem prędzej można będzie przywrócić go do równowagi, zaczęli wszyscy stroić zeń żarty, straszyc go groźbami, lub puszczać jego słowa mimo ucha. To też usunął się do swego pokoiku, aby tam pobołować nad swą niedolą i modlić się za swoich. Czasem wychodził sobie samotnie w pole, czytając w swojej książce i modląc się często. I nieraz widziałem go, jak chodził polami, zatopiony, jak zwykle, w swojej książce, z wyrazem ciężkiej troski na twarzy i wołał od czasu do czasu: „Cóż mam czynić, abym był zbawiony?“ (Dzie. 16, 30).

Raz stanął na rozdrożu i był zupełnie bezradny. Oglądał się to w tę, to w ową stronę, chciał się wracać, jednak przystanął; widać było, że nie wiedział, co tu począć. Zbliżył się wtedy do niego mąż, imieniem E w a n g e l i s t a i zapytał się go, co go tak niepokoi.

— Ach Panie! — odpowiedział Ch r y s t y n (takie bowiem było imię nieszczęśliwego) — Wy-
czytałem z tej oto książki, że grozi mi śmierć, a po-

tem sąd (Żyd. 9, 27). Nie jestem zaś ani na pierwsze ochotny, ani na drugie gotowy.

— Czemuż nie chcesz umrzeć? — zapytał Ewangelista. — To życie jest przecież tak pełne biedy i przykrości.



— Boję się — odrzekł Chrystyn, — że brzemień, które noszę, zepchnie mię głębiej, niż do grobu.

— Dlaczegoż w takim razie zostajesz spokojnie na miejscu?

— Ach — westchnął Chrystyn. — Gdzież tu mam uciekać?

Ewangelista podał mu zwój pergaminu z napisem: „Uciekajcie przed przyszłym gniewem!” (Mat. 3. 7.)

Chrystyn spojrzał smutnie na przybysza i rzekł:

— Żebym tylko wiedział, w którą stronę mam uciekać?

Ewangelista wskazał dłonią na coś bardzo dalekiego po tamtej stronie rozległej równiny i zapytał Chrystyną:

— Czy widzisz ową ciasną bramę, ot tam? (Mat. 7, 13, 14.)

— Nie.

— To może widzisz przynajmniej ów jasny odblask? (Psalm 119, 105; 2. Piotr 1, 19.)

— Zdaje mi się, że widzę.

— W takim razie nie spuszczaaj z oka tego światła i kieruj się prosto do niego. Wkrótce potem zobaczysz bramę. Pójdiesz do niej i zapukasz. Tam powiedzą ci, co masz robić dalej.

II. ROZDZIAŁ.

Bagno Rozpaczy.

Widziałem teraz w swoim śnie, że Chry-
styn biegł bardzo szybko i gorliwie we wskaza-
nym kierunku. Jeszcze nie odszedł daleko, gdy do-
mownicy jego, spostrzegłszy, co się święci, zaczęli
nawoływać go usilnie, aby się przecież wrócił. On
jednak ani nawet się nie obejrzał, lecz zatulił swoje
uszy i pędził równiną, co sił starczy, wołając:

— Życie, życie, życie wieczne! (Łuk. 14, 26.)

Powychodzili z domów także sąsiedzi i pa-
trzyli za nim. (Jerem. 20, 10.) Jedni drwili sobie
z niego, inni pienili się ze złości. Jednakże dwaj
z nich, Odporny i Układny, postanowili
sprowadzić go za wszelką cenę napowrót.

Dobiegli go niebawem, chociaż uszedł już spory
kawał drogi, gdyż chcieli postawić na swoim.

— Czegóż chcecie odemnie, sąsiedzi? — za-
pytał zdziwiony Chrystyn.

— Namówić cię, abyś wrócił z nami.

— O tem nie może być i mowy. Miasto Za-
głada, w którym mieszkacie, jest co prawda mo-
jem miejscem rodzinnem. Ale jeżeli w niem umrze-
cie, to wypadniecie głębiej, niż do grobu, bo w je-
zioro gorejące ogniem i siarką.

— Co? — rzekł O d p o r n y — to mamy pozostawić wszystkich przyjaciół i wyrzec się dóbr, mienia i uciech?

— Rozumie się! Wszystko, co porzucicie, nie jest ani w przybliżeniu warte najmniejszej z tych rzeczy, których szukam. Pójdźcie ze mną, a możecie również osiągnąć to wszystko.

— Więc cóż to ma być — wywiadywał się dalej O d p o r n y, — co według ciebie jest więcej warte, niż cały świat?

— Szukam dziedzictwa nieskazitelnego, niepokalanego i niezwiędłego (1. Piotr 1, 4, Żyd. 11, 16), które otrzymają ci, co się oń ubiegają gorliwie. Proszę oto przeczytać, co napisane jest w mojej książce.

— Eh! Idźże mi do kaduka z tą swoją szmatą! Któżby też wierzył w te duby smalone, które mi tu pleciesz? — No, idziesz z nami, czy nie?

— Nie, ani myślę! Przyłożyłem już raz ręce do pługa i nie chcę oglądać się wstecz. (Łuk. 9, 62.)

— No to chodź, sąsiedzie U k ł a d n y — rzekł rozdrażniony do reszty O d p o r n y. — Wrócimy do domu lepiej bez niego, kiedy się tak uparł przy swoim. Jak też to niektórzy ludzie strasznie są dziwaczni! I możnaby myśleć, że brakuje im piątej klepki, bo jeżeli już raz coś sobie ubzdurają, to już ani dziesięciu rozumnych ludzi nie potrafi wybić im tego z głowy. (Przypow. 26, 16.)

— Ależ pohamuj się znowu — rzekł Układny. — A gdyby tak prawdą było to, co mówi dobry Chrystyn? Co do mnie, to prawie mam ochotę towarzyszyć mu.

— Czy i tobie przewróciło się w głowie? To mamy jeszcze o jednego błazna więcej? Nie bądź dzieciuchem i chodź ze mną! Któż wie, gdzieby cię jeszcze mógł zaprowadzić ten obłąkaniec!

— Nie, to ty raczej usłuchaj sąsiada Układnego i chodź ze mną — prosił Chrystyn. — Co powiedziałem, jest świętą prawdą, o wiele jeszcze wspanialszą, niż można pomyśleć lub wypowiedzieć. Jeżeli mnie nie chcesz wierzyć, wierz przecież Testamentowi, który mam w ręce, a którego ważność zatwierdzona jest krwawą pieczęcią. (Żyd. 9, 17—21.)

— Sąsiedzie Odporny — rzekł Układny po namyśle — idę z Chrystynem, by dzielić z nim jego losy. — Ale, mój drogi Chrystynie, czy też wiesz, którądy prowadzi droga do upragnionego miejsca?

— Człowiek, imieniem Ewangelista, wskazał mi kierunek.

— A więc w drogę, miły sąsiedzie!

— Ja zaś — rzekł gniewnie Odporny — wracam do domu. Z takimi narwańcami i wykolejionymi bałamutami chcę mieć na zawsze pokój.

Chrystyn i Układny puścili się równina w oznaczonym kierunku.

— Cieszy mię niezmiernie, — rozpoczął Chrystyn rozmowę — że chcesz iść ze mną. Gdyby Odporny był, jak ja, doznał okropności sił niewidzialnego świata, toby się nigdy nie był wrócił.

— Proszę, opisz mi teraz jeszcze dokładniej te cuda świetności, których szukamy.

— Tego nie wyrażą słowa, to trzebaby odczuć w sercu. Jednak mogę ci przeczytać o tem coś z mojej książki.

— A czy na pewno jest prawdą to, co w niej napisane?

— Rozumie się, ta książka pochodzi od tego, który nie może kłamać. (Tytus 1, 2.)

Czytał więc Chrystyn o wiecznem królestwie i wiecznem życiu, o słonecznych strojach i królewskich koronach, o wiecznej radości i rozkoszy, o miejscu, w którem nie będzie płaczu, ani krzyku, ani bóleści, o czasie, w którym nawet śmierć będzie połkniona, o źródłach i drzewach żywota; dalej czytał o Serafinach i Cherubinach, których blask oślepiłby oczy, o niezliczonych zastępach anielskich, które stoją przed tronem Bóży, w miłości i uwielbieniu wygrywając pieśni precudne, o poczcie wybranych, którzy przyszli z wielkiego ucisku, omywszy szaty swe we krwi

Baranka, którzy z miłości do tego Baranka, Pana owego miejsca, dali się światu rozszarpać, rznąć piłą, spalić w płomieniach, rzucać na pożarcie dzi kim zwierzętom, strącać w głębokości morskie; a wszyscy teraz wielbią Boga radośnie i bez końca. (1. Kor. 15; Obj. 22, 5; Jan 10, 27—39; Izai. 25, 8; Izai. 6, 2; Obj. 5, 11; 14, 1—5; Żyd. 11, 33—40.)

U k ł a d n y cały zasłuchany przerywał tylko czytanie okrzykami podziwu i westchnieniami nie mego zachwytu, wreszcie rzekł:

— Serce pała, gdy się słucha takich rzeczy, lecz czyż w istocie będzie można je osiągnąć?

— Król owego kraju kazał w tej książce dać dokładne wyjaśnienia i wskazówki. (Izai. 55, 1, 2; Jan 6, 37; 7, 37; Obj. 21, 6; 22, 17.) A co najpię kniejsze, obiecał wszystkie te rzeczy ofiarować zupełnie w darze każdemu, kto ich tylko pragnie z całego serca.

— Czyż to możliwe? W takim razie tylko śpiesznie naprzód!

— Nie mogę iść prędzej; brzemień, które noszę na plecach, cięży mi zanadto.

W takiej rozmowie przyszli nad wielkie ba gno, leżące w pośrodku równiny, a że nie spo strzegli się w porę, zaczęli obaj w niem grzęznąć, zwłaszcza Chrystyn ze swoim brzemieniem. Moczary te nazywano B a g n e m R o z p a c z y.

Zgniłe, niezdrowe wyziewy tamowały oddech naszym pielgrzymom, a gęsta mgła zasłaniała całkiem ów odblask, do którego zmierzali.

Układny, miotając się ze strachu i ze złości, grzęznął coraz głębiej. Krzyczał pełen oburzenia:

— Tóż to ma być owa błogość, do której chciałeś mię wprowadzić? Bardzo pięknie dziękuję. Niezły początek; a jeżeli tak dalej pójdzie, to któż wie, ile to podobnych niespodzianek może nas jeszcze spotkać w dalszej podróży! Byłbym tylko teraz wydostał się cało z tej niemilej kąpieli. Możesz sobie, jeżeli masz jeszcze ochotę, szukać i bezemnie owego wymarzonego kraju. To mówiąc, uczeplił się z całej siły wystającej bryły ziemi i wygramolił się nie bez wysiłku na brzeg; potem pośpieszył coprędzej do domu.

Chrystyn długo szamotał się w Bagnie Rozpaczy, kierując się jednak przy tem w stronę Ciasnej Bramy. Lecz nie było to łatwe. I prawdopodobnie byłby utonął pod ciężarem swego brzemienia, gdyby wtem, w największej biedzie, nie zjawił się mąż, imieniem Pomocnik, który zapytał go, skąd się tu wziął.

— Panie — wyjąknął Chrystyn — puściłem się tą drogą za radą niejakiego Ewangelii-

sty, bo chcę uniknąć przyszłego gniewu i wpadłem niespostrzeżenie do tych moczarów.

— A czemu nie zważałeś na ślad pokładzionych kamieni? (Mat. 7, 7, 8; Jan 14, 8; Izai. 35, 3.)

— Strach mię gonił, więc śpieszyłem się bardzo.

— Podaj mi swą rękę!

To mówiąc, Pomocnik wyciągnął go szczęśliwie z bagna i postawił na suchej ziemi. (Psalm 40, 3.)

Zapytałem teraz sam wybawcy we śnie:

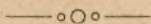
— Czemuż nie zbudowano przez to bagno bezpiecznej drogi dla pielgrzymów?

Odpowiedział, że próbowano już zrobić to w różny sposób. Już przez całe stulecia usiłują się robotnicy królewscy zbudować tu bezpieczne przejście. Wrzucono w bagno niezmierne masy zbawiennych nauk i mądrych wskazówek. Lecz i największe wysiłki, najlepsze środki ze wszystkich stuleci, ze wszystkich krain królewskiego państwa okazały się bezskuteczne. Bagno, jakim było, takiem zostało dotąd. Ciągłe na nowo spływa doń różnego rodzaju kał i nieczystość, jak bojaźń, trwoga, troska, wątpliwość i t. p. szumowiny i męty, które sączą się z serc przebudzonych z grzechu. Dotychczas udało się ledwie pokładać przez bagno kamienie do stąpania, ale i te łatwo można przeoczyć, zwłaszcza podczas wyle-

wów, a choć się je i widzi, to i tak można łatwo dostać zawrotu głowy, lub kroczywszy trochę tylko niezręcznie, obryzgać się błotem i szlamem. Szczęśliw ten, kto się wogóle może z niego wy dostać.

Układny tymczasem powrócił do domu. Wszyscy zajmowali się nim żywo. Jedni chwalili go, jako człowieka wielce roztropnego, który umie się w porę wydostać z matni, inni wyśmiewali go jako błazna, że się wogóle wdawał z Chrysty-
nem i narażał na niebezpieczeństwo, jeszcze inni szydzili z jego zajęczej natury i mówili: Gdyby to myśmy podjęli się czegoś podobnego, tobyśmy nie stchórzyli już przed paru trudnościami.

Układny zcichł i spokojniał, jak mysz. Wkrótce zostawiono go w spokoju i zapomniano o nim. Chrystyn jednak i nadal został treścią plotek i drwin i uchodził powszechnie za skończonego durnia.



III. ROZDZIAŁ.

Za wskazówką Mędrka.

Chrystyn puścił się teraz samotnie w dalszą drogę. Niebawem zoczył zdala jakiegoś jego-
mościa, który zmierzał naprzelaj polem prosto ku

niemu. Pokazało się, że jegomościem tym był pan Mę d r e k, rodem z wielkiego miasta C i e l e s n e, niedaleko ojczyzny Ch r y s t y n a. Pan ten zasłyszał już niecoś o ucieczce Ch r y s t y n a, gdyż wieść o niej rozleciała się po całej okolicy i była treścią codziennych rozmów. Więc przystąpił do niego i skłoniwszy się dziarsko, zapytał:

— A gdzież to, dobry przyjacielu, niesiesz tak spory ładunek?

— A no tak, ładunek; myślę, że nikt chyba nie musi dźwigać tyle, co ja.

— Czy nie masz żony i dzieci?

— Tak, ale brzemię moje gniecie mię tak dotkliwie, że już ledwie mogę o nich myśleć i nie jestem w stanie prawdziwie się nimi radować. (1. Kor. 7, 28.)

— Ja ci dam radę: Zrzuć z siebie coprędzej swe brzemię, bo inaczej nie uspokoisz się, ani nie będziesz mógł używać błogosławionych darów Bożych.

— W tem właśnie cała moja bieda, że nie mogę sam zrzucić swego brzemienia, ani też nie znam nikogo takiego w naszym kraju, któryby mi je potrafił zdjąć. Dlatego idę tą drogą, o której mi powiedziano, że na niej jedynie znajdę uwolnienie.

— A któż ci kazał iść tą drogą?

— Uczciwy pewien i szlachetny starzec, który, o ile pamiętam, nazywał się E w a n g e l i s t a.

Mę d r e k spojrział nań z uśmiechem politowania i rzekł:

— Chyba nie będziesz słuchał tak nierozsądnej rady. Wskazał ci najniebezpieczniejszą i najuciążliwszą drogę, jaką tylko można pomyśleć. Jak widzę, już tego nieco skusiłeś; znać na tobie ślady z B a g n a R o z p a c z y. A to tylko początek wszystkich tych doległości, które muszą znosić ci, co idą tą drogą. Słuchaj mię, jestem doświadczeńszy od ciebie: Na drodze tej czekają cię trudy, męczarnie, głód, niebezpieczeństwa, nagość, miecz, lwy, smoki, ciemności i śmierć i kto wie, co jeszcze więcej. Tysiące ludzi, którzy szli tą drogą, mogą stwierdzić te słowa mojem doświadczeniem. Czemuż tak nierozważnie chcesz iść za radą obcego człowieka i narażać się na tak niechybną zgubę?

— Wszystko to jest fraszką, nie warta wzmianki, jeżeli tylko pozbędę się swego ciężaru
— odparł Ch r y s t y n.

— Lecz jakże wogóle przyszedłeś do tego brzemienia?

— Przez czytanie tej oto książki.

— Tak też myślałem. To stało się już wielu umysłom słabych ludzi, którzy zapuszczając się za głęboko w wysokie rzeczy, rozumie się, stracili równowagę i dali się popchnąć do rozpaczliwych kroków, aby osiągnąć — sami nie wiedzą, co.

— Ale ja wiem, czego pragnę; pragnę pozbyć się swego ciężaru.

— Dlaczegoż jednak szukasz go właśnie na tej niebezpiecznej drodze? Chętnie wskażę ci drogę piękniejszą o wiele i wygodniejszą. Znajdziesz na niej wyborne towarzystwo, szczęście i zadowolenie serca. O, pomoc nie jest daleko.

— Więc proszę pokazać mi tę drogę.

— Oto tam na pobliskim wzgórzu mieszka w mieście Prawowite pan Prawny, cieszący się szeroką wziętością, a już wielu ludziom dopomógł wybrnąć z podobnego położenia. Posiada on sztukę leczenia takich ludzi, którym pod naciskiem swego ciężaru troszkę się pomieszało w głowie. Idź tylko do niego, a zapewniam cię, że ci pomoże także. Gdybyś zaś przypadkiem jego samego nie zastał w domu, to jego syn Szukowny może to tak samo znakomicie załatwić. Tam pozbędziesz się swego ciężaru, a jeżeli już nie myślisz wracać do swego miasta rodzinnego, czego bym ci zresztą nie radził, to możesz sprowadzić swoją żonę i dzieci i osiedlić się w mieście Prawowite. Warunki życia znajdziesz tam bardzo dogodne, a w krótkim czasie zjednałbyś sobie wśród obywatelstwa wielką wziętość i doszedłbyś do wysokich godności.

Chrystyn rozważał długo, ostatecznie jednak pomyślał sobie: Jeżeli pan ten ma słuszość,

no to chyba będzie najlepiej usłuchać jego rady. To też zapytał się Mędrka:

— A którędy to idzie się do owego miasta?

— Czy widzisz tam ów pagórek?

— Całkiem wyraźnie.

Na tymto pagórku leży miasto Prawowite. W pierwszym domu na prawo mieszka pan Prawny.

I o zgrozo, widziałem w swoim śnie, jak Chrystyn zboczył z prawej drogi i skierował się ku pagórkowi, aby w domu pana Prawnego szukać pomocy. Ale w miarę, jak zbliżał się ku pagórkowi, podnosił się tenże i rósł mu w oczach z niesłychaną szybkością. Olbrzymie złomy skalne zwisały nad nim groźnie, jakby już, już miały przywalić go i zmiażdżyć. I brzemie zaciężyło mu bardziej, niż przedtem. Z pagórka wylatywały ogniste zygzaki błyskawic, pioruny biły raz wraz, prując powietrze z piekielnym łoskotem i przeszywając serce jego do głębi. (2 Mojż. 19, 16. 18.) Chrystyna strach zupełnie pozbawił siły i zrosił czoło jego śmiertelnym potem. Jakże gorzko żałował, że poszedł za radą Mędrka. Do tego ujrzał jeszcze zbliżającego się do siebie Ewangelistę. Na jego widok najraczejby się gdzieś w ziemię zapadł ze wstydu, że właśnie tutaj spotyka go wierny doradca. Ewangelista zbliżył się doń z ponurem, groźnem spojrzeniem i zapytał:

— Cóż robisz tutaj?

Ze spuszczone mi oczyma stał przed nim Chrystyn, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Czyż nie mówiłem ci, że masz kierować się ku Ciasnej bramie, którą ci wskazałem? Przecież droga nie tędy prowadzi. Czemuż tak zboczyłeś od razu?

— Wkrótce po wydostaniu się z Bagna Rozpaczy spotkałem przystojnego pana, który wdał się ze mną w rozmowę i którego wskazówka wydawała mi się bardzo rozsądną.

— Cóż to był za jegomość?

— Nie wiem. Wyglądał na człowieka ukształconego, bardzo doświadczonego i życzliwego i nie mogłem oprzeć się usilnym jego namowom.

— Cóż więc radził ci takiego?

— Na jego zapytania, dokąd idę i czemu zostaję na tej drodze, powiedziałem mu, że według danych mi wskazówek będę się mógł na tej drodze pozbyć swojego ciężaru. Jaskrawemi barwami odmalował mi wszystkie niebezpieczeństwa drogi, na której stoję i powiedział, że zna drogę krótszą, wygodniejszą i mniej uciążliwą od tej, którą mi wskazano i że tą drogą dojdę do pewnego pana, który umie zdejmować podobne ciężary i chętnie każdemu pomaga. Uwierzyłem mu i skierowałem się tutaj w nadziei pozbycia się ciężaru. Teraz jednak zawiedziony i oszukany spostrzegam z niemałym

przerażeniem, że tylko wpadłem w pułapkę, z której nie wiem, jak się wydostać. O gdybym to był usłuchał ciebie!

— Słuchaj Bożego słowa: Patrzajcie, abyście nie gardzili tym, który mówi; albowiem jeśli nie uszli, którzy gardzili tym, który na ziemi na miejscu Bożem mówił, daleko więcej my, jeżeli się odwrócimy od tego, który jest z nieba. (Żyd. 12, 25.) Sprawiedliwy z wiary żyć będzie, ale jeśliby się kto schraniał, nie kocha się w nim dusza moja. (Żyd. 10, 38.) Czy słyszysz? Tyś jest tym mężem, który ma tę smutną odwagę, sprzeciwiać się radzie Najwyższego i schodzić ze ścieżki pokoju.

Z jękiem: „Biada mi, jużem zgubiony!“ padł Chrystyn na ziemię, jak martwy. Ewangelista, widząc to, ujął go za rękę i rzekł:

— Wszystek grzech będzie odpuszczony ludziom. (Mat. 12, 31.) Nie bądź niewierny, ale wierny. (Jan 20, 27.)

W sercu Chrystyna błysnął promyczek nadziei. Drżąc jeszcze ciągle, podniósł się i utkwiał w Ewangelistę trwożliwe i błagalne spojrzenie.

— Teraz już lepiej zważaj na to, co ci powiem. Czy wiesz, co był to za pan, który cię zwiódł? Nazywa się Mędrek i nosi słusznie to imię. Bo zna tylko światową mądrość (1. Jan 4, 5.) i nie lubi innej wiary, oprócz tej, którą głoszą w ko-

ściółach miasta P r a w o w i t e. Nie chciałby przecież zerwać ze światem i zepsuć swych interesów, a do tego wiara ta zabezpiecza go przed krzyżem Chrystusa, który jest mu bardzo nie na rękę (Gal. 6, 12.), bo zamysły jego są cielesne. To też każdemu, gdzie może, radzi, aby porzucił drogę krzyża. Jest to zresztą człowiek, który umie ocenić swoją wartość, lubi cieszyć się u ludzi szerokim poważaniem i uchodzić za męża wielkich zasług. Nigdy też, jak zawsze utrzymuje, nie myśli gardzić darami i błogosławieństwami Bożemi, gdy nań spływają w pełnych stodołach i w tłustych dochodach. I nigdy nie traci tej pewności, że go Bóg za jego wzorową porządność i gospodarność wzniesie kiedyś w niebieskie przybytki na skrzydłach aniołów i na wonnych obłokach kadzideł pogrzebowych. Lecz pomimo to Bóg obraca w niwecz zamysły ludzkie. Jakże więc mogłeś przyjąć radę M ę d r k a, a odrzucić radę Bożą? W książce twojej przecież wyraźnie stoi: Usiłujcie się, abyście weszli przez ciasną bramę. (Łuk. 13, 24.) A właśnie to jest owa brama, do której cię posłałem. I na innem miejscu jest napisane: Wchodźcie przez ciasną bramę, bo c i a s n ą jest brama, która wiedzie do żywota a ma ło jest tych, którzy ją znajdują. (Mat. 7, 13, 14.) Z tej to drogi zwiódł cię ów bezbożnik i zaprowadził omal nad otchłań zguby. Niech nigdy nie sprzykrzy ci się ta droga.

którą ci wskazałem; zbrzydź raczej siebie samego, żeś dał posłuch takiemu głosowi.

Niech tak samo nie obmierznie ci krzyż. Wi-nienieś cenić go wyżej, niż skarby Egiptu. (Żyd. 11. 25. 26.) Zresztą i Król nasz powiedział: Kto chce iść za mną, niechaj weźmie krzyż swój i tak naśladuje mnie. Bo kto chce zachować swoją duszę, straci ją, a kto duszę swą straci dla mnie i dla ewangelii, ten ją strzeże ku wiecznemu żywotowi i ten ją zachowa. (Mar. 8, 34. 35.) Więc nie daj się omamić, choćby chciał straszyć cię, że droga, którą ci wskazałem, może przyprowadzić cię o życie.

Zaś to, co obiecywał ci pan Mędr ek, nie ma najmniejszej wartości, bo właśnie on skierował cię w paszczę śmierci. Pan P r a w n y, do którego cię posłał, nie pomógł jeszcze nikomu i nikomu nie pomoże, gdyż z uczynków prawa (zakonu) nie zrzuci żadna dusza swego brzemienia. Głazy, których się bałeś, że zwałą się na twą głowę, nie są bynajmniej bezpieczne. Są to głazy góry Synaj. Pan Mędr ek jest poprostu kłamcą, pan P r a - w n y oszustem, a syn jego S z y k o w n y, choć ma słodziuchną minę, jest obłudnikiem. Obaj są w stanie przyprowadzić cię o zbawienie, jeżeli się będziesz wdawał z nimi.

Po tych słowach wezwał E w a n g e l i s t a Boga na świadka prawdy tego, co powiedział, a Bóg odpowiedział płomieniem z góry i słowami:

Albowiem ile ich jest z uczynków zakonu, pod przeklęstwem są; bo napisane: Przeklęty każdy, któryby nie został we wszystkim, co napisane w księgach zakonu, aby to czynił. (Gal. 3, 10.)

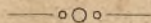
Włosy stanęły dębem Chrystynowi prze-
rażonemu śmiertelnie. Czuł coraz to więcej, jak nierozważnie postąpił, zważając na radę Mędrka. Wstydził się, że argumenty tego pana, które przecież jedynie zrodziły się z cielesności, zdołały nim tak dalece zawładnąć. W trwodze tej zapytał Ewangelisty :

— Czy nie masz już dla mnie żadnej nadziei? Czy już więcej nie mogę powrócić na prawą drogę? Czyż z powodu swojej niewierności nie zostanę odpędzony od Ciasnej bramy, choćbym nawet doszedł kiedyś do niej? Czy mogę się spodziewać jeszcze odpuszczenia grzechów?

— Wielkie jest wprawdzie twoje przewinienie. Opuściłeś bowiem nietylko jasno wskazaną ci drogę, lecz także puściłeś się drogą zakazaną. Mąż jednak, który cię ma wpuścić przez Ciasną bramę, jest człowiekiem bezprzykładnie życzliwym i miłosiernym. On nie odepchnie cię z pewnością. (Jan 6, 37.) Lecz teraz tem więcej strzeż się, abyś nie zbłądził i nie zginał na drodze, gdyż jego gniew zapali się wkrótce. (Psalm 2, 12.)

To rzekłszy, pożegnał Ewangelista serdecznie na drogę Chrystyna. Ten zaś tak spie-

sznie umykał z ziemi zakazanej, na którą wstąpił był za wskazówką Mędrka, jak gdyby go ta ziemia paliła w stopy.



IV. ROZDZIAŁ.

Brama Ciasna.

Wkrótce ujrzałem Chrystyna przed bramą, która nazywała się rzeczywiście Ciasna. Widniał nad nią napis: Pukajcie, a będzie wam otworzono. (Mat. 7, 7. 8.) Chrystyn zapukał kilkakrotnie, poczem wkrótce ukazała się w bramie czcigodna postać męża, który zapytał go, kim jest, skąd przychodzi i czego żąda?

— Jestem biednym, obciążonym grzesznikiem; przychodzę z miasta Zagłady, a idę na górę Syon, bo chcę uniknąć przyszłego gniewu. Powiedziano mi, że muszę przejść przez te wrota, więc proszę, wpuście mnie.

— I owszem, bardzo chętnie — odrzekł Serdeczny, takie bowiem było imię odźwiernego.

Otworzył drzwiczki i porwał Chrystyna trochę niedelikatnie za sobą. Zdziwionemu wyjaśnił potem, że tuż w pobliżu stoi twierdza szatana, z niej Beelzebub ze swymi towarzyszami obstrze-



liwa śmiertelnymi pociskami tych, którzy chcą wejść tutaj. Widząc właśnie wycelowane doń strzały, porwał go raptownie do wnętrza. Wiado-

mość ta przeraziła Chrystyna niemało. Jakże dobrze czuł się teraz w bezpiecznem ukryciu! A gdy na różne pytania pana Serdecznego trzeba było szczerze i uczciwie spowiadać się ze swoich zdarzeń, to świadomość własnej niegodności pogłębiała się w nim coraz to bardziej, a równocześnie wzrastała wdzięczność ku łaskawemu wybawcy.

Pytano się go, dlaczego nie przyprowadził z sobą nikogo z rodziny, lub z sąsiedztwa. Opowiadał, jak wszyscy, zwłaszcza żona i dzieci, chcieli go zatrzymać prośbami, groźbami i szyderstwem, co się im naturalnie nie udało. Opowiadał o O d p o r n y m i U k ł a d n y m, którzy prawie gwałtem chcieli go sprowadzić z powrotem do domu, jak U k ł a d n y szedł z nim nawet spory kawał drogi, lecz w B a g n i e R o z p a c z y, w które obaj wpadli, stracił odwagę i uciekł. Pan S e r d e c z n y szczerze żałował U k ł a d n e g o, że tak nisko cenił chwałę Syonu i nie chciał dla niej podstąpić ani trochę trudu. Chrystyn jednak musiał przyznać, że sam nie jest lepszy od niego. U k ł a d n y powrócił wprawdzie do domu z drogi żywota, ale i on ją porzucił, szukając za namową M ę d r k a pomocy u P r a w n e g o na drodze śmierci.

— Ależ to podle oszusty — rzekł S e r d e c z n y z tonem oburzenia. — Czy może poszedłeś za ich radą?

— Niestety tak; alem wnet spostrzegł, że m się źle wybrał. Ogromne głazy groziły runięciem na moją głowę, gdym się zbliżał do domu pana P r a - w n e g o.

— W istocie zgmiotły już niejednego. Możesz być rad, żeś wyszedł stąd cało.

— O tak, nie wiem, coby się było ze mną stało, gdyby w stanowczej chwili nie był zjawił się E w a n g e l i s t a. Bóg zesłał mi go z wielkiej Swojej łaski; bez niej by mnie teraz nie było tutaj. O, jam nie jest godny tego, że tu zostałem wpuszczony.

— Nikogo tu nie odpychamy z powodu tego, co leży poza nim. (Jan 6, 37.) Teraz chodź, pokażę ci drogę, którą masz iść dalej. Czy widzisz oto tę prostą wąską drogę? To jest twoja droga. Utorowali ją i szli nią patryarchowie i prorocy, Chrystus i Jego apostołowie.

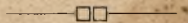
— Czy niemasz na niej odgałęzień i zboczeń, któreby mogły zmylić kogoś, co nie zna dobrze drogi?

— Tak, ale nie można zbłądzić, jeżeli się wie, że tylko droga prawa jest prosta i wąska, a wszystkie inne są kręte i szerokie.

— Lecz cóż pocznę ze swoim brzemieniem? Myślałem, że się go tutaj pozbędę, lecz i teraz jeszcze muszę je nosić i pomimo największych wysiłków nie mogę go zrzucić.

— Tylko chwileczkę cierpliwości; przyjdiesz wnet na miejsce wybawienia, a tam ciężar twój spadnie ci z plec sam od siebie.

Nim Chrystyn się pożegnał, aby puścić się wąską drogą, uwiadomił go jeszcze Serdeczny, że w pobliżu znajduje się dom Tłumacza, gdzie winien się stawić, aby mógł otrzymać od niego wiele pouczających, a koniecznych na drogę objaśnień.



V. ROZDZIAŁ.

W domu Tłumacza.

Wkrótce stanął Chrystyn przed oznaczonym domem. Wpuszczono go, zawołano pana domu, któremu się przedstawił i przedłożył swą prośbę o pozwolenie oglądania tych rzeczy, o których powiedziano mu u bramy, że je tu można ujrzeć i że mu mogą oddać w dalszej podróży wielkie usługi.

Z ujmującą uprzejmością oświadczył Tłumacz,^{*)} że mu pokaże wszystko, co potrzebuje wiedzieć.

Rozkazał potem słudze zapalić światło i poprosił Chrystyna za sobą. Wprowadził go

^{*)} Duch święty.

w komnatę pełną tajemniczych osobliwości. Wisiał tam na ścianie wielki portret męża, o rysach pełnych godności, z oczyma tęsknie skierowanymi w niebo; z obliczem, które rzekłbyś, wyrzeźbiła dłutem swoim prawda. W rękę trzymał biblię, spojrzenie jego czyste i płonące, świat ze swoim brudem, ze swą gonitwą i zabiegami leżał daleko poza nim; serce jego wypełniało jedno tylko pragnienie, pragnienie zagarnienia jak największej liczby ludzi do zbawienia. Nad głową jego unosiła się złota, promienna korona.

— Cóż to znaczy? — zapytał Tłumacza Chrystyn pełen podziwu.

— Sądzę, że obraz ten nie potrzebuje objaśnienia. Oczy jego zwrócone w górę i prawda bijąca z twarzy, to znaczy, że jego zadaniem jest rozeznawać ciemne sprawy i odślaniać grzech. Korona nad jego głową i świat poza nim wskazuje ci, że z miłości do swego Pana wzgardził dobrami świata, ale jest pewny dostąpienia chwały niebieskiej. Przypatrz mu się tylko, jak stoi, jakby zaklinał ludzi i chciał rozciąć serca ich mieczem obosiecznym swoich słów, jak bojuje o dusze ludzkie i zdaje się nie zważać na nic, czemby go świat chciał przynęcić, lub przestraszyć. Pokazałem ci tego męża najpierwej, ponieważ wielu będzie się chciało narzucać na twych przewodników, lecz nie wierz nikomu, w którym nie dopatrzysz się

tego obrazu. On jest wodzem twoim według królewskiego pełnomocnictwa.

Potem zaprosił Tłumacz swojego gościa do wielkiej sali, która już dawno, dawno nie widziała miotły. Rozkazał jednemu ze sług wymieść ją, ale to jak najspieszniej. Lecz gdy tenże zaczął salę umiatać, narobiło się tyle kurzu, który kłębił się w górę, że nie można było wytrzymać ani wytchnąć, a Chrystyn omal się nie udusił. Tłumacz zawołał teraz służącą, aby skropiła podłogę, i teraz sala dała się wymieść tak schludnie i czyściutko, że aż miło było poirzeć.

— A to cóż znowu? — zapytał Chrystyn.

— Tą salą jest serce człowieka naturalnego, które jeszcze nie zostało uświęcone łaską. Kurzeniem jest grzech pierworodny i zgubne jego następstwa. Mężem, który przyszedł z miotłą, jest zakon. Służącą, która skropiła podłogę wodą, jest ewangelia. Jak ów mężczyzna swą miotłą wymiatał proch, ale tem jeszcze zwiększył zło, tak i zakon, zamiast oczyścić serce z grzechu, pomnaża go, ożywia i umacnia w duszy (Rzym. 7, 9; 1. Kor. 15, 56; Rzym. 5, 20), gdyż tylko wykrywa go i zakazuje, ale nie może go pokonać. Lecz jak służąca potrzebowała tylko skropić salę wodą, aby oczyścić ją zupełnie i z łatwością, tak samo łagodna, ale skuteczna siła ewangelii potrafi przemódz grzech

i odnowić serce na przyjęcie Króla chwały (Jan 15, 3; Efez. 5, 26; Dzie. 15, 9).

Zaprowadził teraz Tłumacz Chrystyna do mniejszego pokoju. Siedziało w nim dwoje dzieci na swych krzeselkach. Starszemu było na imię Grymaśne, młodszemu Cierpliwe. Starsze wierciło się niecierpliwie na swem krzeselku i stroiło ogromnie kwaśną minę, młodsze siedziało sobie cichutko. Chrystyn zapytał się, czemu to starsze dziecko jest tak niespokojne. Tłumacz dał mu takie wyjaśnienie:

--- Ojciec tych dzieci obiecał im kupić z początkiem przyszłego roku dużo zabawek i śliczności. Kapryśne już chce mieć teraz wszystko, Cierpliwe zaś czeka grzecznie i już się teraz raduje z tego, co to kiedyś będzie posiadać.

Gdy jeszcze mówił, wszedł ktoś do pokoju i wysypał niegrzecznemu dziecku na łono całą paczkę przeróżnych zabawek i świecidełek. Z szyderczym śmiechem pojrzało Kapryśne na swą młodszą siostrzyczkę, ale już po krótkim czasie zostały z wszystkiego same tylko skorupy i strzępy.

— Proszę wytłumaczyć mi to jaśniej.

— Na obu tych dzieciach możesz widzieć różnicę pomiędzy dziećmi tego świata, a dziećmi niebieskiej chwały. Jak Kapryśne chce wszystko mieć już w tym roku, tak i dzieci tego świata chcą

używać wszystkiego dobrego już tu na świecie i nie potrafią czekać na świat przyszły. Przysłowie: — Wróbel w rękę lepszy, niż gołąb na dachu — jest szczytem ich mądrości i więcej znaczy niż wszystkie Boże obietnice przyszłej chwały. Przy końcu życia dopiero pokaże się, że z wszystkiego, za czem człek uganiał się w świecie, nie zostanie mu ani strzępka. Jakże znikome było wszystko, co K a p r y ś n e otrzymało już teraz!

— Widzę — rzekł C h r y s t y n, — że jednak Cierpliwe więcej ma oleju w głowie, gdyż po pierwsze, oczekuje o wiele wspanialszych rzeczy, powtórę, będzie ich wtedy właśnie używać hojnie, gdy już Kapryśne nie będzie miało ani odrobiny.

— Tak jest — dodał T ł u m a c z. Wspaniałość przyszłego świata nigdy się nie skończy, gdy tymczasem skarby tego świata przemijają nagle. K a p r y ś n e nie ma najmniejszego powodu szydzić z Cierpliwego. Kapryśne wzięło swoje najpierwej, Cierpliwe weźmie je na ostatku. Cóż jest lepsze? „Pierwsze“ musi i tak ustąpić „ostatniemu“, które po niem przychodzi, lecz po „ostatniem“ nie może już nic nastąpić więcej. Kto więc otrzymał swój dział najpierwej, ten musi liczyć się z tem, że go kiedyś pozbędzie, kto zaś otrzymał go na ostatku, może go posiadać na zawsze. Bogaczowi powiedziano: Odebrałeś dobre rzeczy swoje za żywota swego, a Łazarz także

złe; teraz zaś on ma pociechę, a ty męki cierpisz (Łuk. 16, 24).

— O co za banalność, dać się w niecierpliwości i w zaślepieniu przynęcić na lep szczęścia światowego!

— Tak, bo to, co jest widzialne, jest doczesne, ale co niewidzialne, to jest wieczne (2. Kor. 4, 18). A jednak cielesne zamysły, a dobra ziemskie, to bardzo bliscy i poufni sąsiedzi, którzy najczęściej wchodzą z sobą w braterską zażyłość, gdy tymczasem do skarbów niebieskich nie czuje cielesność najmniejszego pociągu.

To rzekłszy, Tłumacz zaprowadził swojego gościa do muru, u którego płonął ogień. Przy ogniu stał jakiś człowiek, który ciągle usiłował się zalać wodą płomień, który jednak, jakby na złość, buchał coraz to wyżej.

— Tego już całkiem nie rozumię.

— Ogień, — objaśnił Tłumacz — to łaska działająca w sercu. Ten, który zalewa go wodą, to szatan. Lecz czemuż nie może go zgasić? Chodź, pokażę ci; patrz, tam z drugiej strony muru stoi mąż, który ciągle niepostrzeżenie dolewa w ogień oliwy. Jest to Chrystus, który podsyca oliwą łaski ogień zapalony w sercu, tak, że nie wygaśnie, pomimo usiłowań szatana. Wszystko to zaś dzieje się pokryjomu, trudno więc, zwłaszcza w poku-

sach, odgadnąć, w jaki sposób utrzymuje się w duszy dzieło łaski.

Potem poszli do uroczego parku, w którym widniał okazały zamek. Na basztach jego widać było przechadzających się ludzi w szczerolśotych strojach, w promieniach szczęścia. Przed bramą stał poczet zbrojnych, którzy zaciekle rzucali się na każdego, kto chciał wnijsć. Opodał siedział za stołem mężczyzna z książką i z przyborami do pisania, który zapisywał imiona tych, co się chcieli przedrzeć do wejścia przebojem. Długo nikt się na to nie odważył. Wszystkich wstrzymywał strach przed zbrojną rotą. Wreszcie wysunął się z pośród tłumu silny i waleczny z wejrzenia mężczyzna, podał przy stoliku swoje imię, włożył na głowę hełm, wziął w rękę ostry miecz i rzucił się z bohaterską pogardą śmierci na zbrojnych u bramy. Wszyscy rzucili się nań bezlitośnie; niejedno cios i niejedno pchnięcie musiał wytrzymać, ale i on rozdzielał ciosy na prawo i na lewo, aż sypały się iskry i — przebił się. Natychmiast huknął gromki okrzyk powitania i rozległ się głośny tryumfalny śpiew, a zanieślugo zjawił się na zamkowej baszcie nowy wybraniec w błyszczącym stroju. Był to mąż, który właśnie odniósł zwycięstwo. Chrystyn uśmiechnął się i rzekł:

— To już rozumiem bez wykładu. Czy mogę teraz iść dalej?

— Nie, pozostań! Muszę ci jeszcze coś więcej pokazać. To mówiąc, wprowadził przewodnik pielgrzyma w ciemną przestrzeń; siedział tam mężczyzna w żelaznej klatce. Na twarzy jego malowało się straszne zwątpienie. Siedział z załamanymi rękoma i wzdychał tak przejmująco i boleśnie, że by omal serce nie pękło.

— Cóż się to z nim dzieje?

— Zapytaj się jego samego.

Na pytanie Chrystyna, co jest zasz, odpowiedział więzień:

— Jestem, czem nie byłem dawniej.

— Czemże to byłeś dawniej?

— Byłem kiedyś tak w oczach własnych, jak i w oczach ludzkich szczerym, wiele obiecującym wyznawcą Chrystusa (Łuk. 8, 12). Byłem pewny, że jestem na drodze do Syonu.

— A teraz?

— Teraz wpadłem w szpony zwątpienia, które trzyma mię tak mocno w swych kleszczach, że próbować mu się wyrwać znaczyłoby tyle, co chcieć złamać żelazne kraty klatki, w której siedzę. O gdybym tylko choć raz jeszcze mógł się wydostać na wolność! Lecz już teraz nie mogę, och nie mogę więcej!

— Cóż cię popchnęło tak głęboko?

— Zaniedbałem się w czuwaniu i w trzeźwości. Puściłem cugle swoim pożądliwościom, za-

smuciłem Ducha świętego i odszedł odemnie; wzywałem szatana, a szatan nie dał się prosić dwa razy. Teraz serce moje jest zatwardzone i nie mogę już pokutować, nie mogę wzywać imienia Bożego.

— Więc nie masz już dla ciebie żadnej nadziei? Czy musisz zostać już w tej klatce na zawsze?

— Tak, na zawsze! — rzekł więzień głucho.

— Jakto? Przecież Syn Boży jest tak miłosierny.

— Jego to ukrzyżowałem i zelżyłem powtórę (Żyd. 6, 6.), podeptałem Go nogami, nazwałem krew Jego nieczystą, zrzuciłem z siebie Jego jarzmo i wyzułem się z Jego łaski. Teraz nie pozostaje mi nic innego, tylko czekać na sąd i płomień, który pożre odpornych. (Żyd. 10, 27; 6, 6; 10, 29; Łuk. 19, 14.)

— Lecz cóż było powodem tego, żeś wpadł w tak okropne położenie?

— Dałem się omamić żądzom, rozrywkom i korzyściom tego świata. Ach, jak to wszystko przedstawiało mi się w cudnem świetle! Jak to wszystko mieniało się przepychem barw, łudzając oko i serce nadzieją niebiańskich rozkoszy! Lecz opadł barwny pyłek ze skrzydeł motyla, za którym goniłem, a we wdzięcznym na wejrzeniu zakazanym owocu siedział robak, który teraz za-

gnieździł się w mojem sumieniu i gryzie je na wieki.

— Czy nie możesz już więcej nawrócić się i pokutować?

— Pokutę musi zdziałać Bóg, a mnie jej odmówił. Jego słowo już nigdy nie wzbudzi we mnie wiary. Ba, Sam w Swej świętej sprawiedliwości zamknął mię tutaj i nie wyswobodzi mię stąd żadna siła ludzka. O wieczności, o wieczności! Jakże mam znieść to pasmo nędzy bezbrzeżnej, które snujesz mi teraz bez końca!

— Nie zapomnij tego nigdy, drogi Chrysty nie, coś widział teraz — rzekł Tłumacz z naciśnięciem.

— O to jest straszne! Sądzę, że tej chwili nie zapomnę nigdy. Niech mię Bóg uchwali od czegoś podobnego i pomoże mi czuwać i być trzeźwym w modlitwie. Czy teraz już wszystko widziałem?

— Muszę ci jeszcze jedno pokazać, potem możesz iść dalej.

W ciemnej komórze pokazał mu Tłumacz człowieka, który wstawał z łóżka i ubierał się, drżąc i trzęsąc się, jak liść osiki.

— Czemuż tak drży? — zapytał Chrystyn.

— Niechże sam ci powie.

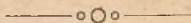
Zbudzony opowiedział swój straszny sen, który właśnie miał:

— Śniło mi się, że nad głową moją gromadziły się czarne chmury i zanosiło się na okropną burzę. Zaczęło błyskać się i grzmieć, a mnie zdjęła śmiertelna, nieopisana trwoga. Nagle chmury rozwarły się, a ponad obłokami siedział mąż w ognistym żarze i w olśniewającym blasku, otoczony zastępami wojsk niebieskich. Powietrzne przestrzenie przeleciał grzmiący odgłos trąb. Usłyszałem głos donośny: Umarli, wstańcie i pójďte na sąd! Porozpadały się skały, pootwierwały się groby, z których wychodzili umarli, jedni z wyrazem anielskiej błogości, inni pobledli ze strachu szukali ukrycia. Ten, który siedział na tronie w obłokach, otworzył księgę i zawołał wszystkich do siebie. Otaczał go płomień, jak odgrodenie w sali sądowej, tak, że nikt nie mógł zbliżyć się zanadto. (2. Kor. 5, 10; 1. Tes. 4, 16; 2. Tes. 1, 8—10; Jan 5, 28. 29; Objaw. 20, 12. 13.) Teraz rozległ się głos: Zbierzcie plewy (Mat. 3, 12.), wszystko nieurodzajne drzewo (Jan 15, 6; Mat. 7, 19.), wszystką słomę (Malach. 4, 1.) i wrzucie je w ogień! Przy tych słowach otworzyła się tuż przedemną otchłań piekła, z której buchnęły kłęby dymu i snopy płomieni, a powietrze przeszywały straszne wołania trwogi i biadania.

— Zbierzcie pszenicę do moich stodół! — rozległo się dalej. (Łuk. 3, 17.) Zostało wielu uniesionych i wziętych w chmury (1. Tes. 4, 16. 17.), mnie

Jednak zostawiono. Chciałem się ukryć, ale oko Sędziego było nieustannie skierowane na mnie. Wszystkie moje grzechy stanęły żywo przedemną i potępiały mię. — Wtem się ocknałem. I jeszcze teraz nie mogę otrząść z siebie przejmującego strachu. Och, co za okropność, iść na sąd tak bez przygotowania! I to przeszywające spojrzenie Sędziego, w którym czytałem dla siebie wyrok śmierci! I ta paszcza piekielna rozwarta, aby pochłonać mię żywcem na wieki! Inni wznoszą się w górę, przedemną przepaść się otwiera — o, to więcej, niż okropne!

Tłumacz spostrzegł wyraz trwogi na twarzy Chrystyna i napomniął go, aby chował to wszystko w swem sercu i aby to było mu bodźcem, któryby go popychał dalej i nie pozwolił mu zboczyć. Potem pożegnał go i pobłogosławił mu na dalszą drogę.



VI. ROZDZIAŁ.

Pod krzyżem.

Droga, którą nasz pielgrzym miał iść dalej, była ogrodzona z obu stron murem, zwanym Zbawienie. (Izai. 26, 1.) Jeszcze jednak ciągle wzdychał pod swym ciężarem, który utrudniał mu chód

niemało. Lecz po krótkiej wędrówce zobaczył na wzgórzu, do którego się zbliżał, wzniesiony krzyż, pod którym trochę niżej znajdował się otwarty grób. Teraz widziałem w swoim śnie, że skoro Chrystyn zbliżył się do krzyża, upadło brzemie z jego plec, stoczyło się do otwartego grobu i nie ujrzałem go już więcej.

Chrystyn nie pojmował, co się działo z nim; do uczucia lekkości i swobody, którego teraz doznał, nie był dotąd przyzwyczajony. W duszy jego zapanowała dziwna jasność i wesołość. Nie mogło mu się w głowie pomieścić, żeby proste spojrzenie na krzyż mogło zdziałać podobny cud. Stał chwilę cicho, pogrążony w myślach i zalany łzami radości.

Wtem zjawiły mu się trzy postacie promienne i pozdrowiły go serdecznem pozdrowieniem pokoju.

— Grzechy twoje są ci odpuszczone (Mar. 2, 5.)
— rzekła pierwsza. Druga zdjęła zeń obszarpane ubranie i oblekła go w strój świąteczny (Zach. 3, 4.); trzecia zrobiła znak na jego czole (Efez. 1, 13.) i wręczyła mu list zaopatrzony pieczęcią, z tem zleceniem, aby ciągle zaglądał do niego i przechowywał go starannie, bo się będzie musiał wykazać nim u bram Syonu.

Skacząc i wyśpiewując z radości, wybrał się Chrystyn w dalszą drogę. Wesołą jego wędrówkę



przerwał wkrótce widok trzech mężczyzn, którzy ze spętanymi nogami spali na uboczu drogi. Byli

to panowie Głupkiewicz, Drzemalski i Bezpieczny.

Chrystyn pospieszył obudzić ich i krzyknął:

— Obudźcie się i wstańcie! Na maszcie okrętu miotanego burzą bezpieczniej można spać, niż tutaj. (Przyp. 23, 34.) Pójdźcie stąd co prędzej, pomogę wam zerwać wasze więzy. Gdy nie słyszeli nic a nic, krzyknął im jeszcze raz w same uszy:

— Lew ryczący chodzi koło was i chce was pożreć! (Piotr 5, 8.) Teraz dopiero otworzyli senne oczy.

— Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa — mruknął Głupkiewicz na pół przez sen.

— Jeszcze chwileczkę tylko pozwól mi zasnąć — prosił Drzemalski, ziewając.

— Staraj się tylko o własną skórę; nie wtrącaj się tam, gdzie cię nikt nie prosi. Ja sam najlepiej wiem, co robię — bąknął Bezpieczny opryskliwie. I dalej chrapali wszyscy w najlepsze.

Musiał więc Chrystyn iść samotny, a smutno mu było, gdy myślał, że ludzie w tak niebezpiecznem położeniu mogą puścić na wiatr przyjacielską przestrożę. Idąc tak pogrążony w rozmyślniach, zobaczył nagle z lewej strony dwóch jego mościów, którzy przelazłszy przez mur, biegli szybko za nim. Nazywali się Pobożni i Świątoszek. Chrystyn pozdrowił ich i zapytał:

— Dokądże, Panowie?

— Pochodzimy z miasta P r ó ż n a C h ł u b a , a śpieszymy na górę Syon, bo chcemy, żeby nas ludzie widzieli i wychwalali — odrzekli obaj.

— Czemuście nie weszli bramą na początku drogi? Czy nie słyszeliście, co powiedziano o tych, którzy wchodzą którądy indziej? (Jan 10, 1.)

— W naszym mieście się to samo przez się rozumie, że droga najkrótsza jest zarazem najlepsza. Zaś droga, którą, jak się zdaje, ty obrałeś, jest mozolnem i niepotrzebnem zboczeniem.

— Ależ jak można tak lekceważyć i znieważać wolę Króla, gdy się pragnie być wpuszczonym do Jego miasta?

— Zwyczaj ten u nas uświęcony jest tysiącami lat i sięga bardzo zamierzchłych czasów. Przekazali go nam ojcowie, a pobożność ich nie ma sobie równej.

— Lecz z tego nie wynika, żeby się miał ostać przed prawem Króla.

— Sędzia bezstronny i wielkoduszny nie będzie chyba naruszał tak prastarego zwyczaju, lecz nada mu moc prawa. Zresztą czemuż wyszczególniasz się od nas? Jesteśmy na tej samej drodze, co ty i nie jesteś ani o krok dalej. Łaziłeś nie wiedzieć gdzie przez jakieś tam bramy, a myśmy sobie po prostu przeleźli przez mur. Więc cóż ci z tego? Jeżeli już jesteśmy na drodze, to nikt nie będzie się pytał, którądyśmy na nią przyszli.

— To jest właśnie wielkie pytanie. Bo to przecież nie jest drobnostką, czy się idzie podług woli Królewskiej, lub podług własnego widzimisie. Jesteście złodziejami na drodze, nie macie paszportu od Króla. Chcieliście sobie skrócić drogę, to i z wami Król załatwi się „z krótką“ i będziecie musieli odejść, jakoście przyszli, bez ułaskawienia.

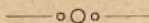
Pobożniś i Świętoszek zdobyli się tylko na tę odpowiedź, żeby Chrystyn raczej starał się o siebie samego. Chwilę szli obok niego w milczeniu. Wkrótce zaczęli znowu:

— Co się tyczy praw i rozkazów królewskich, to z pewnością przestrzegamy ich taksamo ściśle, jak ty. Więc czemu chcesz różnić się od nas? Chyba swem ubraniem, które prawdopodobnie ktoś ci podarował, ponieważ twoje zbyt już było podarte.

— Jeżeliście obeszli Ci a s n ą B r a m ę, to się nie ostoicie ze swoją pobożnością zasług, obrządków i zewnętrznych form, nie mających Ducha Bożego. Co do mojego ubrania, to macie zupełną słuszność. Otrzymałem je, ponieważ chodziłem w łachmanach, w darze od Króla Syonu. Noszę je w dowód przychylności Jego ku mnie i raduję się, że gdy przyjdę na Syon, to mię Pan pewnie po tym stroju pozna jako Swojego. Mam także znamię na czole, któregoście może jeszcze nie zauważyli, a które wycisnął mi jeden z najbliższych przyjaciół mego

Pana w dniu, w którym spadło brzemień z moich plec. Mam i list, zaopatrzony pieczęcią, który po drodze zawsze czytam z radością i który muszę oddać u bram Syonu. Tego wszystkiego wy nie macie w każdym razie, ponieważ nie przeszliście przez Ciasną Bramę.

Odpowiedzieli na to tylko drwiącym i dość głupkowatym uśmiechem. Chrystyn zaniedługo wyprzedził ich i zagłębiał się po drodze w swój list, który widocznie bardzo go pokrzepiał, gdyż twarz jego promieniała radością.



VII. ROZDZIAŁ.

Góra Trudów.

Przed podróżnym leżała góra, którą zwano Górą Trudów. U stóp tej góry droga rozdzieliła się. Na prawo szło się w jary Niebezpieczne, na lewo do miasta Zagłady. Prawa, wązka droga wiodła wprost w górę.

Chrystyn pokrzepił się ze źródła, które tryaskało u podnóża góry, śpiewem dodał sobie otuchy i zaczął wspinać się pod górę mozolnie. Po bożni i Świątoszek zjawili się także niezadługo u podnóża góry, lecz drogi mniej strome bardziej przypadły im do smaku, bo myśleli, że po tamtej stro-



nie góry i tak znowu zejda na drogę prostą. Jeden z nich puścił się gęstym lasem w jary Niebezpieczne, drugi skierował się drogą do miasta Zagłady. Obaj jednak przepadli gdzieś bez śladu.

Widziałem teraz, jak Chrystyn z wielkim tylko trudem posuwał się naprzód. Wspinając się w górę, musiał wdrapywać się rękami i nogami, tak stroma i urwista była ścieżka. I jakaż była jego radość, gdy ujrzał w połowie wysokości góry piękną altanę, którą sam Pan góry kazał urządzić na odpoczynek dla strudzonych podróżnych. Tu usiadł trochę dla wypoczynku i wyjął z zanadru swój list, aby się nim pokrzepić. Oglądał także darowaną sobie szatę z upodobaniem. Lecz przy tem skleiły mu się powieki i zmorzył go twardy i długi sen, który trwał aż do zmierzchu. We śnie wypadł mu z ręki list, który był zaczął czytać.

— Leniuchu, idź i przypatrz się mrówce! — krzyknął ktoś na niego głośno. — Popatrz się na jej życie i ucz się od niej. (Przysł. 6, 6.)

Na te słowa Chrystyn zerwał się na równe nogi i pośpieszył ze zdwojoną energią na wierzchołek, o ile to na tak uciążliwej drodze było możliwe. Na wierzchołku zabiegli mu drogę dwaj zdyszani i spoceni w szybkim biegu mężowie; byli to panowie Tchórznicki i Desperacki.

— Cóż to? Pędzicie przecież w przeciwnym kierunku.

— Chcieliśmy iść... na górę Syon — wykrztusił Tchórznicki — już mineliśmy... tę żmudną górę, gdy... gdy wśród wielu niebezpieczeństw... ujrzeliliśmy coś tak okropnego, że... och!

— Cóż to było?

— O tak — rzekł Desperacki, który tymczasem nieco ochłonał, — właśnie przed nami na drodze leżały dwa olbrzymie lwy. Wprawdzie nie wiemy, czy spały, czy czatowały, aleby pewnie było po nas, gdybyśmy się byli zbliżyli do nich.

— Przejmujecie mię naprawdę trwogą. Ale gdzież mam umknąć, by się wyratować? Wracać się nie mam czego, bo nad mojem miastem ojczy-
stem i tak niechybna zawisła zguba i tam spalił-
bym się w ogniu i siarce, lecz gdy dotrę do Syonu,
tam ocalony.

Wracać się? To tyle, co iść na śmierć. Iść na-
przód? To tylko kosztuje trochę strachu przed
śmiercią. A więc naprzód! Niech przyjdzie, co
chce, niech tam i dopiecze trochę trwoga, gdy tylko
potem nastąpi życie wieczne.

Tchórznic i Desperacki nie dali się
wstrzymać, ale i Chrystyn nie dał się odwieść
od swej drogi. Aby zaś spłoszyć ciemne myśli, się-
gnął w zanadrze po swój list — ale o zgrozo! List
gdzieś przepadł. Gdzież się podział? Przeszukał
wszystkie kieszenie, lecz napróżno. Cóż tu począć?
Musiał go przecież mieć, aby się wzmacniać w mo-
zołach, które go czekały, musiał go mieć, aby wyka-
zać się nim u kresu swej podróży i być wpuszczo-
ny do miasta na górze Syon. Wreszcie przypo-
mniał sobie, że musiał mu wypaść w altanie, gdzie

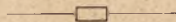
usnął. Padł na kolana i prosił Boga, by odpuścił mu tak wielką nieuwagę i wrócił się, aby go poszukać. Któż opisze żal Chrystyna, gdy musiał napowrót schodzić do altany? Czemuż musiał usnąć w miejscu, które przeznaczone było tylko dla krótkiego wytchnienia! Całą drogą płakał i robił sobie gorzkie wyrzuty. Bacznie jednak oglądał się wokoło, czy nie znajdzie go może. Zobaczył w końcu altanę, ale jej widok spotęgował jego wstyd i żal z powodu nierozważnego zaśnięcia. (1 Tes. 5, 6—8.)

— O, cóż za osiół ze mnie, — narzekał — żem tak mógł uleść swojemu ciału i zasnąć w biały dzień! Jakżeż mogłem spać wśród trudów i upaleń! Jakżeż mogłem tej altanki, którą urządzono tylko na pokrzepienie ducha, nadużyć na wzmocnienie cielesności! Ileż to próżnych kroków byłbym sobie oszczędził. Tak działo się i ludowi Izraelskiemu; musiał dla grzechów swych wracać się nazad w Morze Czerwone. Tak samo i ja teraz muszę odbywać tę drogę karkołomną po trzykroć; jednorazowa przeprawa, to już i tak więcej, niż dosyć. Do tego część drogi muszę z własnej winy odbywać nocą. O czemuż to musiałem usnąć!

Pod siedzeniem w altanie, w której chwilę usiadł zapłakany, odkrył wnet swój list. Podniósł go drżącą dłonią i ukrył starannie w zanadrzu. Jakże radował się, że go znów odzyskał. Był on bowiem dlań zarówno zabezpieczeniem na życie,

jak i kartą wstępu do miasta, na którem spoczywała cała jego nadzieja. Dziękował Bogu z głębi serca, że mu go pomógł znaleźć i wybrał się z nową radością w drogę. A śpieszył się bardziej, niż pierwszy raz, lecz nim doszedł na wierzchołek, zapadła noc, która przypomniała mu znów jego nieopatrzność, tak, że skarżył się:

— Jakże pójdę teraz w ciemności? Słońce zaszło, ciemne mroki pokryły mą ścieżkę, w koło słyhać jakieś złowrogie głosy, a temu wszystkiemu winien mój nieszczęsny sen. Mężowie ci mówili coś o lwach. A właśnie te zwierzęta wychodzą w nocy na łup; jeżeli mię tu wyśledzą w ciemności, jakże im umknę? Siły już go opuszczały, lecz trwoga parła go naprzód.



VIII. ROZDZIAŁ.

Pałac „Piękny“.

Gdy Chrystyn podniósł oczy, ujrzał w niewielkiem oddaleniu jakieś zabudowanie zamkowe. Przyśpieszył kroku, żeby o ile można, zdążyć tam jeszcze na nocleg.

Trzeba mu jeszcze było przejść krótki wąwóz. Trwożliwie rozglądał się w ciemności, aby się nie potknąć. Wtem, gdy przeszedł ścieżynę, ujrzał z

przerażeniem dwa lwy po obu stronach drogi, tuż przed mieszkaniem stróża pałacu, który nazywał się „Piękny”. Pewnikiem będą to te same, pomyślał sobie, przed którymi uciekli Tchórznicki i Desperacki. Na ich widok omal sam nie stchorzył i nie poszedł za ich przykładem. Wszak oczekiwał śmierci niechybnej na wypadek, gdyby miał zbliżyć się do nich. Staął, jak wryty, z zapartym oddechem. Na szczęście stróż pałacu „Pięknego”, widząc z jego postawy, że zamierza uciekać, zawołał nań:

— Gdzie jest twoja wiara? (Łuk. 8, 25.) Nie bój się lwów; przywiązane są silnymi łańcuchami, a leżą tu tylko dla wypróbowania wiary. Idź tylko pośrodkiem drogi, a nic ci się nie stanie. (Mk. 4, 10.)

Z bijącym sercem przeszedł Chrystyn pomiędzy lwami. Te wprawdzie zaryczały wściekle, ale nie zrobiły mu nic złego.

Odetchnął swobodnie, gdy już miał poza sobą okrutne zwierzęta i gdy stanął przed uprzejmym stróżem. Zapytał się go, czy nie znajdzie tu może noclegu.

— Pałac ten — rzekł stróż — zbudowano dla odpoczynku i bezpieczeństwa podróżnych. Kim jesteś? Skąd idziesz? Dokąd zdążasz?

— Nazywałem się dawniej Be z ł a s k i , teraz nazywam się Chrystyn. Przychodzę z miasta Zagłady, a chciałbym wyjść na górę Syon. Byłbym

bardzo wdzięczny za gościnne przyjęcie, bo mię noc zaskoczyła na drodze.

— Czemuż jednak przychodzisz tak późno?

— Prawda, jużbym tu mógł być wcześniej, gdybym nie był zasnął w altanie po tamtej stronie Góry Trudów. A że nieszczęście nigdy nie chodzi samo, więc na domiar złego zgubiłem jeszcze w altanie swój list. Aby go znaleźć, musiałem zejść tam powtórnie. List rzeczywiście znalazłem, ale bardzo żałuję swojego błędnego postępu i proszę gorąco o łaskawe przyjęcie.

— Dobrze, zawołam jedną z panien, której musisz się według naszego domowego porządku opowiedzieć, a która cię, jeżeli to uzna za odpowiednie, wprowadzi do naszego domu.

Na znak dzwonka zjawiła się piękna, dostojna dziewczica, imieniem *P r z e z o r n a*. Na zapytanie jej, czemu ją wołano, odparł stróż:

— Oto mąż ten jest w drodze na górę Syon, a przychodzi z miasta Zagłady. Zaskoczyła go noc, jest zmęczony i pragnie odpoczynku. Powiedziałem mu, że według naszego domowego porządku ty rozstrzygniesz o nim.

Wszystkie odpowiedzi Chrystyna na zapytania dziewczicy zrobiły na niej dobre wrażenie. Zawołała jeszcze trzy inne panny: *C h y t r ą*, *N a b o ż n ą* i *M i ł o s n ą*. Po krótkiej rozmowie wprowadziły go do pałacu i przedstawiły domownikom, z któ-

rych niektórzy wyszli na jego spotkanie aż do bramy pałacowej i powitali go serdecznem pozdrowieniem:

— Pójdź, błogosławiony Pański!

Chrystyn uklonił się skromnie i poszedł z nimi do pałacu. Gdy usiadł, podano mu mały posiłek, a dziewice Chytra, Nabożna i Miłosna usiadły obok niego, aby spędzić czas przyrządzenia wieczerzy na pożytecznej rozmowie.

Nabożna prosiła go, aby ku wzajemnemu pożytkowi opowiedział szczegółowo wszystkie przegody swojej podróży.

Chrystyn zgodził się na to chętnie, uradowany z tego, że wszyscy mają dla niego tak życzliwe i otwarte serce.

— Cóż cię skłoniło do tego, żeś się wybrał w tę podróż? — zapytała Nabożna.

— Ciągle brzmiał mi w uszach jakiś głos przestrogi, wzywający mię, abym uszedł niechybnego zginienia, które miało spotkać moje miasto rodzinne i mnie, jeżelibym w niem był został.

— Jakże potem znalazłeś drogę do nas?

— Jest to szczególnem Bożem zrządzeniem. Gdym bezradny i zapłakany stał, nie wiedząc, co począć i gdzie się zwrócić, przysłał mi przyjaciela Ewangelistę, a ten pokazał mi drogę ku Ciasnej Bramie, którejbym bez niego nie był znalazł.

— Czy nie przechodziłeś także koło domu Tłumacza?

— Tak; Widziałem tam rzeczy, których nigdy nie zapomnę, dopóki żyję. Szczególnie trzy obrazy głęboko utkwiły mi w duszy: Jak Chrystus nie-spostrzeżenie utrzymuje dzieło łaski pomimo zabiegów szatana, jak człowiek sam wyzbywa się wszelkiej nadziei Bożego miłosierdzia, a wreszcie senne widzenie tego, który nagle ujrzał się na sądzie Bożym. Straszny to był sen, jednak rad jestem, że mi go opowiedział.

— Czy to już wszystko, co widziałeś w domu Tłumacza?

— Nie, widziałem n. p. przechadzających się na basztach wspaniałego zamku jego mieszkańców w szczerozłotych strojach i jak właśnie przez zastęp zbrojnych, którzy u bramy bronili wejścia, przebił się nieustraszony bojownik i jak go radośnie powitano na zamku.

— Cóż widziałeś więcej jeszcze na drodze?

— Wiszącego na krzyżu Męża w potokach krwi, na którego widok stoczyło mi się z plec brzemię, które dotąd gniotło mię dotkliwie. Zrobiło mi się przytem tak dobrze, jak nigdy przedtem. Pod krzyżem zbliżyły się do mnie trzy postacie błyszczące. Jedna zapewniła mię o odpuszczeniu grzechów, druga zdjęła ze mnie moje łańchmany i przybrała mię w piękną, bogatą szatę, którą właśnie no-

sze, trzecia wycisnęła piętno na mojem czole i dała mi ten oto list.

— Widziałeś pewnie jeszcze coś więcej, nie prawda?

— To, co opowiedziałem, było ze wszystkiego najwspanialsze. Widziałem, rozumie się, więcej jeszcze, n. p. trzech śpiących na drodze mężów, związanych łańcuchami, którzy jednak nie dali się zbudzić, także dwóch mężczyzn, którzy przeleźli przez mur i chcieli iść na górę Syon, lecz nie dali się pouczyć i chybili celu. Ale i ja zmachałem się porządnie, gdym się wspinał na Górę Trudów, a widok lwów tak mię przestraszył, żebym może jeszcze w ucieczce szukał ratunku, gdyby nie szlachetny usłużny stróż, który jeszcze w porę dodał mi odwagi. Teraz, dzięki Bogu, jestem tutaj i jestem także wam niezmiernie wdzięczny, żeście mię tak przyjęły uprzejmie.

Teraz poprosiła także Chytra o pozwolenie zadania mu kilka pytań i rzekła:

— Czy nie odbiegasz też czasem w myślach do swojej ojczyzny, z której wyszedłeś?

— Tak, ale ze wstydem i ze smutkiem. Gdybym jeszcze naprawdę tęsknił za krajem, z którego wyszedł i za życiem, które tam wiodłem, to bym często miał sposobność wrócić się, lecz teraz pragnę lepszej, a zwłaszcza niebieskiej ojczyzny. (Żyd. 11, 15. 16.)

— Czy nie nosisz jeszcze na sobie czegoś ze swego starego człowieka?

— O tak, ale zupełnie wbrew swojej woli. Szczególnie myśli mojego serca skalane są często tem, w czem krajanie moi znajdują najwyższą rozkosz i radość, lecz mnie jest to teraz wielkim ciężarem. Jużbym nie myślał o tem więcej, gdyby to zależało odemnie, ale ustawicznie czepia się mnie to złe, którego nie chcę, a dobrego, którego chcę, nie umię wykonać. (Rzym. 7, 14—21.)

— Czy masz takie chwile, w których wiesz, żeś całkiem zdeptał i pokonał te rzeczy?

— Mam, ale jakże te złote chwile przychodzą rzadko!

— Czy nie zastanowiłeś się jeszcze nad tem, jak się to dzieje, że złe myśli tak czasem ustępują zupełnie?

— Tak jest, dzieje się to zwłaszcza wtenczas, gdy dużo myślę o tem, czego dożyłem pod krzyżem, lub gdy wyjmę swój list, lub gdy popatrzę na swój nowy strój, lub gdy stanie mi żywo przed oczyma upragniony cel mej podróży.

— Czemuż tęsknisz tak bardzo za Syonem?

— Tam spodziewam się widzieć w chwale Tego, który wisiał na krzyżu, tam będę także wolny od wszystkich pokuszeń. Jak słychać, nie-masz tam śmierci. (Izai. 25, 8; Obj. 21, 4.) Będę miał tam wspańiałe towarzystwo, które ustawi-

cznie wyśpiewuje na chwałę Jego: Święty, Święty, Święty, mówiąc otwarcie, miłuję Go, ponieważ On uwolnił mię od mego brzemienia i może uwolnić mię do reszty.

Wtedy i Miłosna zabrała głos i zapytała Chrystyna:

— Czy masz rodzinę?

— Mam żonę i czworo dzieci.

— Czemuż nie przyprowadziłeś ich z sobą?

Chrystyn wybuchnął płaczem i rzekł:

— O jak chętniebym je był wziął z sobą; ale każde z nich opierało się stanowczo i nie chciało mię zrozumieć.

— Trzeba było nalegać na nie i przedstawić jak najjaskrawiej grożące im niebezpieczeństwo.

— Zrobiłem to, ale mi nie wierzyły; wyśmiały się jeszcze z tego, com im powiedział. (1 Moj. 19, 14.)

— Czy błagałeś także Boga o to, aby błogosławił twoim słowom?

— A pewnie; prosiłem nawet bardzo gorliwie, bo i żona moja i dzieci były mi bardzo drogie. Mogły wyczytać z mojej trwogi i z moich łez, jak bardzo lękam się sądu, który wisi nad naszymi głowami.

— Cóż więc miały za wymówki, ażeby nie iść z tobą?

— Rozmaite; w gruncie rzeczy jednak żona nie chciała porzucić świata, a dzieci moje nie

chciały porzucić uciech młodzieńczych, któremi, jak myślały, darzyło ich tylko ich rodzinne miasto.

— Czyż może wadliwe twoje prowadzenie się nie osłabiło wpływu twoich słów?

— Nie chcę chwalić swojego życia i nie jestem bez błędów; wiem także, że obcowaniem można obalić to, co się chciało zbudować wymową i dowodami. Tyle jednak mogę rzec, że wystrzegam się starannie tego, aby nie zrazić ich swoim postępowaniem i nie zagrozić im drogi do żywota. Ba, właśnie to gorszyło ich najwięcej, że biorę tę rzecz za głęboko i za dokładnie i że potępiam te rzeczy, w których one nie dopatrują się niczego złego.

— Przypomina się tu Kain, który jedynie za to nie cierpiał swego brata, że tenże był sprawiedliwszy. (1 Jan 5, 12.) Widzę coraz to jaśniej, że jeżeli zginą, to nie na ciebie spadnie wina, gdyż sprzeciwiały się temu, co jest dobre. (Ezech 3, 19.)

Wieczera tymczasem była gotowa. Podczas jedzenia rozmawiano prawie tylko o swoim wspólnym Panu. Wielbiono Jego pieczołowitość, którą okazał zbudowaniem pałacu „Pięknego“, sławiono Jego dzielność i bohaterskość, z jaką wyrwał zadło śmierci, narażając własne swe życie. (Żyd. 2, 14. 15.)

— O tak — rzekł Chrystyn. Kosztowało Go to dużo mąk i dużo krwi, lecz koroną Jego dzieł

jest czysta Jego i wielka miłość, którą ma do nas; chcę Go też za to miłować coraz więcej.

Niektórzy z domowników poświadczyli, że po śmierci krzyżowej widzieli Go na własne oczy i rozmawiali z Nim. Mogli więc wiedzieć z własnych Jego ust, jak wiernie i troskliwie opatruje pielgrzymów i jak wyzbył się własnej chwały, aby mógł ująć się za najbiedniejszymi. Już niejednego zrobił księżciem, który z natury urodził się na żebraka (1 Sam. 2, 8; Psalm 113, 7). Zresztą sam wyraźnie zapewnił, że Jego miłość nie pozwoliłaby Mu mieszkać samotnie na Syonie.

Gawędzili tak ze sobą aż do późnej nocy, potem poruczyli się opiece swego Pana i poszli na spoczynek. Pielgrzymowi usłano w obszernej komorze, zwanej Zaciszna, gdzie smacznie spał aż do białego rana.

Następnego dnia jeszcze przytrzymano go, gdyż chciano mu pokazać wpierw kilka ciekawych osobliwości pałacu. Wprowadzono go najprzód do księgozbioru, w którym przechowywano bardzo stare dokumenty, między innymi rodowód samego Pana góry, który sięgał aż do wieczności (Mich. 5, 1), tudzież opisy wszystkich Jego czynów, spis wszystkich tych, których przyjął do Swojej służby i których po wiernej służbie powprowadzał do mieszkań, nie ulegających ani zmianom czasu, ani zmianom natury.

Czytali wspólnie niektóre opisy czynów Jego wiernych, jak zwalczali królestwa, czynili sprawiedliwość, dostępowali obietnic, lwom paszczęki zawierali; zgaszali moc ognia, uchodzili ostrza mieczów, mocnymi się stawali z niemocnych, mężnymi bywali na wojnie, wojska cudzoziemców do uciekania przywodzili (Żyd. 11, 33, 34).

Przejrzeli także inne dokumenty, w których Pan pałacu złożył na piśmie uroczyste oświadczenie, że przyjmie każdego, istotnie każdego, choćby przedtem dopuścił się przeciwko Jego osobie i największych zdrożności i przewrotności.

Znaleziono w księgozbiorze także wielką liczbę przyrzeczeń i obietnic, z których niektóre już się były wspaniale wypełniły ku wielkiej pociesze pielgrzymów i na postrach wrogom. W dniu następnym wprowadzono jeszcze gości do zbrojowni, w której Pan domu przechowywał rozmaitą zbrój dla pielgrzymów, jako to: miecze, oszczepy, tarcze, hełmy, pancerze i nagołennice, które nie rdzewieją. Zbrojownia była tak bogata, żeby mogła zaopatrzyć w broń całe wojska. Można było widzieć i osobliwe zabytki, n. p. czaszkę Mojżesza, dzbany, trąby i pochodnie Giedeona, procę Dawida i miecz Goliata.

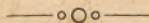
Na oglądaniu tych rzadkości zeszedł znów jeden dzień. Nazajutrz wczesnym rankiem chciał

się już puścić w dalszą podróż, lecz jeszcze raz proszono go, by się na pewien czas zatrzymał.

Chciano uradować go jeszcze widokiem Uroczych Wzgórz, które ciągną się w stronę Syonu, a zatem leżą bliżej upragnionego kresu, niż góra, na której się teraz znajdował. Ze smukłej wieżyczki pałacowej odsłonił mu się przepyszny widok na wzgórze, ustrojone lasami i winnicami, upstrzone kwieciami niw i ogrodów, ozłoczone wstęgami mieniących się w blasku zorzy potoków.

Pielgrzym nie mógł oczu oderwać od tak cudnego widoku. Zapytał o imię krainy i dowiedział się, że jest to kraj Immanuela, przeznaczony również dla wszystkich pielgrzymów; z tego kraju miała już być widzialna brama Syonu.

Teraz jednak pielgrzym nie mógł wytrzymać dłużej w miejscu. Wpierw jednak zaopatrzonego w zbrojowni w pełną, wypróbowaną zbroję od stóp do głów na wypadek jakiego nieprzyjacielskiego napadu. Potem dopiero puszczono go w dalszą podróż.



IX. ROZDZIAŁ.

Dolina upokorzeń.

W bramie, do której odprowadziło go kilku domowników, zapytał się stróża, czy nie widział może przechodzącego jakiego pielgrzyma.

— Tak — odrzekł stróż.

— Czy znałeś go?

— Nazywał się Wierny.

— Tego znam dobrze; jest to mój rodak i sąsiad. Jakże daleko mógł już zejść?

— Już zeszedł do stóp góry.

Chrystyn pożegnał stróża słowami serdecznej podziękii. Dziewice Baczna, Nabożna, Chytra i Miłosna chciały odprowadzić go do stóp góry.

Był im za to bardzo wdzięczny, gdyż tyle jeszcze spraw leżało mu na sercu, a teraz nadarzała się dobra sposobność omówić je dokładniej.

— Trudno było wyjść w górę — mówił Chrystyn, — ale mnie się zdaje, że zejście w dół jest jeszcze niebezpieczniejsze.

— Tak jest — odrzekła Chytra — w Dolinę Upokorzeń zejdzie rzadko kto, nie pośli-znąwszy się. Tam właśnie prowadzi teraz twoja droga. To też wyszliśmy, aby ci choć na chwilę towarzyszyć.

Z największą ostrożnością schodził więc Chrystyn w dół, a jednak potknął się parę razy. Gdy zszedł w dolinę, dały mu towarzyszeki jeszcze bochenek chleba, dzbanek wina i kilka winogron, poczem wróciły się nazad.

Chwilę zaledwie szedł Chrystyn doliną samotny, gdy nagle stanął przed nim złowrogi potwór;

imieniem Apollyon *). Chrystyn przeraził się nie mało. Nie wiedział na razie, czy uciec, czy dotrzymać placu; ale że uzbrojony był tylko z przodu, a plecy jego nie były dostatecznie zasłonięte, więc pomyślał sobie, żeby ucieczką tylko pogorszył swoje położenie, gdyż wróg tem dogodniej mógłby razić go z tyłu. Postanowił zatem wrogowi stawić czoło. Wkrótce obaj spotkali się oko w oko. A było to straszliwe człowieczysko, ten Apollyon. Okryty był calutenki rybiemi łuskami, miał skrzydła smocze, łapy niedźwiedzie i paszczę lwią, z której buchał dym i sypały się iskry. Potwór wlepił w Chrystyna swe przenikliwe ślepie i zapytał szorstko:

— Zkądże i dokądże to znowu, mopanku?

— Przychodzę z miasta Zagłady, a zdążam na górę Syon.

— Oho! To ty brachu prawnie należysz do mnie. Twoja ojczyzna jest mojem królestwem. Jak śmiesz tak bez pozwolenia umykać sobie samowolnie z granic swojego króla i Boga? Natychmiast bym zmiotł twoją pałkę, gdybym nie liczył na to, że przyjdiesz do rozumu i oddasz mi się znowu w służbę.

— Narodziłem się, co prawda, w twojem państwie, ale twoja służba była twarda, a płaciłeś tak

*) Niszczyciel.

licho, że nie można było z tego wyżyć (Rzym. 6,23). Gdym więc z latami urósł w rozum, robiłem to, co robi każdy, postarałem się o poprawienie swego losu.

— To myślisz, że król pozwoli ot tak bez dalszego swoim sługom, aby wypowiadali mu posłuszeństwo i wynosili się, gdzie im się podoba? I ciebie nie myślę puścić; zaś co do służby i nagrody, to obiecuję ci spełnić wszystkie twoje życzenia i obsypać cię w nagrodzie wszystkim, na co tylko stać moją krainę.

— Ale ja już ślubowałem wierność i posłuszeństwo innemu; oddałem się w służbę Królowi wszystkich królów. Jakże mam znowu oddawać się tobie?

— Wpadłeś z deszczu pod rynnę. Lecz jest to utartym zwyczajem, że ci, którzy przez pewien czas trzymali się tego Pana, wracają powrotnie do mnie. Zrób i ty tak samo, a wszystko będzie dobrze.

— Przysięgłem Mu wierność — wymawiał się Chrystyn. Gdybym zdradziecko złamał przysięgę, tobym nie zasłużył na nic lepszego nad to, aby wisieć.

— Ze mną to postąpiłeś jak zdrajca — dowodził Appollyon. Jam jest twoim prawowitym władcą. Czy nie chcesz zrozumieć mojej wielkiej wspa-

niałomyślności? Patrz, wszystko chcę puścić w niepamięć, byleś tylko wrócił do mnie.

— Służyłem ci wprawdzie, ale robiłem to tylko z nieświadomości, nigdy z rozmysłem. Nowemu Panu muszę być wdzięczny za to, że odpuścił mi wszystko, com zrobił w twojej służbie. Jego służba, Jego zapłata, Jego słudzy i towarzysze, Jego panowanie i Jego kraj podobają mi się o wiele lepiej, niż to, com miał u ciebie. Zostaw mię w spokoju! Pozostanę wierny Jemu.

— Ależ zastanów się nad tem trzeźwo i z zimną krwią. Czemu się tak sierdzisz na mnie od razu? Któż wie, co cię jeszcze czeka. Prawie wszyscy Jego słudzy skończyli haniebnie, ponieważ podeptali moje rozkazy, a twój Pan tam z góry jakoś zawsze albo nie umiał, albo zapominał wyrwać ich z mojej ręki. Już wielu takich, którzy służyli Mu wiernie, uwolniłem z pod Jego władzy; i ciebie także gotowym wyratować łaskawie.

— Jeżeli Pan mój nie od razu wybawi swoich, to czyni to jedynie po to, aby wypróbować ich miłość i aby poznać, czy chcą wytrwać przy Nim aż do końca. Co ty nazywasz końcem haniebnym, to było dla nich końcem upragnionym i chlubnym. Nie chodziło im wiele o doczesne wygody, ale gdy Pan nasz objawi się w Swej chwale, wtedy objawi się i ich chwała.

— Kiedy ty i tak już sprzeniewierzyłeś się swojemu Panu — rzekł Apollyon, zaczynając z innej beczki. Czy łudzisz się jeszcze nadzieją jakiejś szczególnej chwały?

— Czemże się to sprzeniewierzyłem?

— Już przy pierwszych krokach zabrnąłeś w bagno rozpaczy, poczem dałeś się zwieść na zakazaną drogę, aby uwolnić się od swego brzemienia, zasnąłeś nadto snem grzechu i zgubiłeś swój list; widok lwów napędził ci tyle strachu, żeś omal nie uciekł. W rozmowach o swojej podróży i o swojej przyszłej chwale byłeś pełny czczej próżności i żądzę uznania.

— Tego wszystkiego nie przeczę. Ani nawet nie masz pojęcia o tem wszystkim, co mi można zarzucić. Moje słabości i błazeństwa, któremi nasiąknęłam w twoim kraju, jeszcze teraz trzymają się mnie mocno i są moją kulą u nóg. Narzekałam już i płakałam nad niemi wiele. Ale Pan mój, któremu służę, jest tak pełny miłosierdzia, że odpuścił mi wszystko.

Teraz już Apollyon nie potrafił dłużej zapanować nad sobą i pohamować swej wściekłości. Oczy jego trysnęły nagle płomieniem piekielnego gniewu.

— Twoim Królem — krzyczał — brzydzę się z głębi duszy, nienawidzę Go osobiście zawziętą nienawiścią, wstrętne mi są Jego prawa, niena-

widzę Jego ludu. Wyszedłem, aby walczyć i przeciwko tobie.

— Rozważ, co czynisz! Stoję na królewskim gościńcu poświęcenia. Uważaj, żebyś sam czego nie oberwał.

Apollyon rozstał się bezczelnie na całą szerokość drogi, zaśmiał się szyderczo i krzyknął:

— Myślisz, że mi tem napędzisz strachu? Nie-doczekanie twoje! Gotuj się raczej na śmierć! Przysięgam ci na samo dno piekła, że nie zrobisz tu stąd ani kroku więcej. Twoja godzina już wybiła!

Przy tych słowach wypuścił doń ognistą strzałę. Chrystyn powstrzymał ją zręcznie swoją tarczą i odwrócił na razie szczęśliwie niebezpieczeństwo. Poznał jednak, że trzeba tu dołożyć wszystkich sił. Wyciągnął z pochwy swój miecz i stanął w gotowości do walki. Ale i Apollyon zrobił to samo z szybkością błyskawicy, ob-sypując przy tem Chrystyna gradem pocisków, raniąc go w głowę, w twarz, w ręce i w nogi, tak, że ten nieco zaczął się cofać. Apollyon wznowił atak, ale Chrystyn znów zebrał odwagę i bro-nił się zapamiętale. Walka ta na życie i śmierć trwała blisko pół dnia. Wskutek upływu krwi zaczął Chrystyn tracić siły i mdleć. Tego tylko czekał Apollyon. Zwalił za jednym zamachem Chrystyna, który utraciwszy na chwilę przy-

tomność, upadł bardzo ciężko; miecz nawet wypadł mu z rąk.



— Aha; mam cię nareszcie! — tryumfował wróg z szatańską radością. Dysząc zemstą, przyniatał go do ziemi i omal nie zagniół go na śmierć.

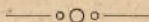
Chrystyn, ledwie żywy, myślał, że już jest po nim. Lecz gdy Apollyon zamachnął się, aby zadać cięcie śmiertelne, udało się Chrystynowi za łaską Bożą pochwycić swój miecz.

— Nie wesel się ze mnie, wrogu! Jeślim upadł, powstanę znowu (Mich. 7, 8.) — rzekł, zrywając się i godząc wroga tak silnem mistrzowskiem pchnięciem, że tenże śmiertelnie raniony, powalił się jak długi na ziemię. Widząc to Chrystyn, zawołał z odwagą:

— Ale w tem wszystkiem przewyciężamy przez Tego, który nas umiłował (Rzym. 8, 37.)! Apollyon, widząc, że z nim krucho, uznał za stosowniejsze, zwinąć chorągiewkę i rozwinąć swoje smocze błony, by zniknąć w chmurach i już się więcej nie pokazać.

Jeszcze mi w uszach dzwoni piekielny ryk Apollyona i bolesne jęki Chrystyna podczas walki. Przez cały ten czas nie widziałem w jego oczach ani promyczka radości, dopóki swym obojęcznym mieczem nie ugodził śmiertelnie Apollyona. Wtedy dopiero na wargach jego zawitał uśmiech, a oczy jego, wzniesione w niebo, zapalały tryumfalną radością, rozlewając po twarzy blask anielski. Lecz do prawdy, tak zaciętej walki nie widziałem jeszcze nigdy. Po walce padł Chrystyn na kolana, aby zasłać dzięki serdeczne przed tron Tego, który wyrwał go z paszczy lwa. Nie-

widzialna ręka rzuciła mu pęk liści żywota. Chrystyn przyłożył je na rany, które zaraz zaczęły się goić. Usiadł potem, aby się pokrzepić chlebem i napojem, zostawionym mu przez miłe towarzyszek. W dalszą drogę puścił się z dobytym mieczem, na wypadek, gdyby mu przyszło zetrzeć się z większą jeszcze liczbą nieprzyjaciół. Przeszedł jednak dolinę bez dalszych przygód.



X. ROZDZIAŁ.

Dolina Cienia Śmierci.

Gdy Chrystyn minął Dolinę Upokorzeń, ujrzał przed sobą znowu zejście w inną dolinę. Była ponura i ciemna i nazywała się Doliną Cienia Śmierci.

Obejść jej nie było można, gdyż wązka droga, która wiedzie na górę Syon, przechodzi przez pośrodek tej doliny. A była to kotlina dzika, bezdrożna, pustynna, wyschnięta i ponura; nikt po niej nie chodził i żaden człowiek tam nie mieszkiał (Jerem. 2, 6.). Czekwały w dolinie tej pielgrzymka gorsze jeszcze rzeczy, niż w poprzedniej. Zaraz u wejścia spostrzegł dwóch mężczyzn, uciekających w największym popłochu.

— W nogi! w nogi, komu życie miłe! — wołali. Szliśmy i my tą drogą, na której jesteś i dotarliśmy,

jak daleko można było, ale musieliśmy się wracać. Gdybyśmy poszli choć troszkę dalej, toby się już z nas gdzieś białały szkielety.

— Cóż was spotkało takiego?

— Spuściliśmy się już w dolinę, lecz na szczęście w porę spostrzegliśmy niebezpieczeństwo.

— Cóżście więc widzieli?

— Widzieli? O, w dolinie ciemno, jak oko wykol. Widzieliśmy tylko ciemne zarysy potworów, dyabłów i smoków przepaści. Słyszeliśmy wycie i krzyk, jakby ludzi jęczących w nieopisanej nędzy i w śmiertelnej trwodze. Nad doliną wisały ciężkie chmury „przestrachu“, w których unosiła się śmierć nad przepaścią i zapuszczała w nią bezustannie swoje sieci (Job 3, 5.; 10, 22.). Strach! Aż ciarki przechodzą po kościach, gdy się o tem pomyśli.

— Ze wszystkiego, co mówicie, mogę tylko wnosić, że właśnie to jest droga do Syońskiego miasta (Psalm 44, 19.).

— Na upór niema rady — odrzekli zbiegowie. My jednak nie myślimy leżeć niepotrzebnie w gardzie śmierci.

Obaj odeszli śpiesznie. Chrystyn kroczył dalej z dobytym mieczem, przygotowany na wszystko. Wzdłuż lewej strony drogi ciągnęła się na całą długość doliny wielka otchłań, do której w ciągu wieków wpadali niezmiernie liczni ślepi

wodzowie, ściągaając za sobą wiedzionych przez siebie ślepych, aby tam zginąć marnie na wieki. Z prawej strony również leżało bezdenne bagno, w którem tak samo już wielu ugrzęzło i zginęło bez ratunku. Wpadł tam niegdyś i Dawid (Psalm 69, 15., 16.), a tylko łaskawa ręka Boża wyrwała go stąd. Wśród przepaści z jednej i bagna z drugiej strony przewijał się wązki chodnik. Chrystyn znalazł się w fatalnem położeniu; gdy w gęstej ciemności chciał ominąć lewą przepaść, to groziło mu niebezpieczeństwo, że się oślizgnie w bagno z prawej strony. Musiał za każdym krokiem szukać po omacku stałego gruntu, aby się nie powinąć. Gdy już był mniej więcej w pośrodku doliny, Gdy już był mniej więcej w pośrodku doliny, ujrzał tuż przed sobą otwierającą się otchłań piekielną. Buchały z niej nieustannie snopy płomieni i kłęby dymu. Z głębi dolatywał przeraźliwy łomot. Miecz nie mógł mu się tu przydać na nic, więc włożył go w pochwę, a wyjął broń ustawicznej modlitwy (Ef. 6, 18.). Wzdychał z głębi serca: O Panie, wybaw moją duszę! Z tą modlitwą musiał przechodzić tuż koło liżących go płomienistych języków. Słyszał na odległość kilku mil takie zatrważające wycia i przejmujący grozą świst wiatru, że już ledwie był w stanie władać sobą i myślał, że wnet będzie rozszarpany i rozdeptany na błoto. Raz zdawało mu się, że całe wojsko czartów zastę-

puje mu drogę; dech prawie zamarł mu w piersi. Nie mógł ruszyć się naprzód, a nie wiedział, co począć. Czy mam się wrócić? pytał siebie samego, lecz nie, pewno już mam za sobą połowę doliny, a wybrałem cało z tyłu niebezpieczeństw. Cofać się już może niebezpieczniej, niż iść naprzód. Tymczasem czartowskie zastępy zbliżały się coraz to bardziej. Gdy już miały obskoczyć go, zakrzyknął donośnie:

— Idę w mocy Pana Panów.

I oto, cała zgraja pierzchnęła i znikła.

Jedno jeszcze należy wspomnieć. Chrystyn tak był tem wszystkiem oszołomiony, że nie był w stanie nawet rozeznąć własnego głosu. Gdy przechodził koło otchłani z płonącym jeziorem, zakradł się doń cichaczem jakiś złośliwy dyablik i podszeptował mu w ucho brzydkie, szatańskie bluźnierstwa przeciwko Bogu. Chrystyn wziął te podszepty za swoje własne słowa i myśli. A to więcej jeszcze stropiło go, niż wszystko inne, co dotąd przeszedł, bo myślał, że to budzi się w nim nienawiść do Tego, którego umiłował nade wszystko. Już nie miał na tyle przytomności umysłu, żeby spostrzedz, że te bluźnierstwa pochodzą skąd inąd. Sam przecież z pewnością nie chciał bluźnić Bogu.

Gdy Chrystyn przeszedł już spory kawał drogi w tym beznadziejnym i opłakanym stanie,

zdawało mu się naraz, że słyszy jakiś głos ludzki, mówiący: Choćbym też chodził w Dolinie Cienia Śmierci, nie boję się złego, boś Ty jest ze mną (Psalm 23, 4.). To dodało mu niemało otuchy. Wnosił z tego, że w tej dolinie znajdują się i tacy, którzy się boją Boga, tak samo jak on, a jeżeli w tak posępnej dolinie Bóg może być z pielgrzymem, to dlaczegożby nie miał być z nim, chociaż tego nie czuje? (Job 9, 11.). Głos zaś, który słyszał, nappełnił go nadzieją spotkania towarzystwa. Więc pośpieszył się, aby go dobieść.

Tymczasem robiło się coraz widniej. Gdy nastał dzień, obejrzał się Chrystyn jeszcze raz poza siebie, nie żeby pragnął się wracać nazad, lecz żeby zobaczyć, przez jakie to przeszedł trudności. I widział jeszcze wyraźniej, jak bezdenna otchłań, jak nieprzebyte bagno i jak wązka była ścieżka, która wila się przez pośrodek. W oddali dopatrzył się jeszcze kilku potworów i czartów otchłani. Odczuwał głęboką wdzięczność za wyratowanie z tylu kłopotów, które przedtem przejmowały go strachem, a które teraz mógł wyraźnie rozeznaczyć.

Wyłoniło się też słońko na niebo w całej pełni, co było dla Chrystyna szczególną łaską, gdyż jeżeli pierwsza część Doliny Cienia Śmierci była niebezpieczna, to druga jej część, która leżała przed nim, była jeszcze gorszą. Pełno tu było matni,

sideł, sieci, dziur, wybojów, grobli i śliskich pochyłości, tak, że gdyby nie miał światła słonecznego, toby mógł pozbyć nie jeden, ale i tysiące żywotów. Tak jednak mógł bez poważniejszego szwanku posunąć się aż na sam koniec doliny. Lecz co tam ujrzał, wstrząsnęło nim do głębi. Leżały tam kości i skaleczone zwłoki, widać także było popiół i ślady krwi, pochodzące najpewniej od pielgrzymów, którzy szli tą drogą. Na uboczu mianowicie była jaskinia, w której mieszkali dwa okrutne wielkoludy, „P a p i e ż“ i „P o g a n i n“^(*); wielu już pielgrzymów zginęło z ich rąk okrutnych. Chrystyn przeszedł koło nich bez większego niebezpieczeństwa. Później dowiedziałem się, że jeden z wielkoludów, P o g a n i n, dawno już nie żyje, drugi, P a p i e ż, żyje wprawdzie, lecz starość i ciężkie ciosy, które zniósł w młodszym wieku, złamały jego siły. Teraz, nie mogąc wyjść z jaskini, wyklina tylko pielgrzymów i zgrzyta wściekle zębami. Chrystyn przeląkł się trochę, gdy ujrzał skuloną postać i usłyszał jej wołanie:

— Nie będzie lepiej, dopóki znów nie popalą was wszystkich na stosach.

Ale C h r y s t y n popatrzył się nań bez obawy i przeszedł sobie koło niego spokojnie.

* prześladowanie chrześcian za cesarstwa rzymskiego.

XI. ROZDZIAŁ.

Wierny.

Dalsza droga wiodła na małą wyżynę, dzięki czemu mogli pielgrzymi objąć wzrokiem leżącą przed nimi przestrzeń. Gdy Chrystyn podniósł oczy, ujrzał śpieszącego wąską drogą męża; był to ten sam, którego głos niedawno co usłyszał, znajomego, Wierny. Chrystyn zawołał nań głośno:

— Czekajże, chcę iść z tobą!

Wierny obejrzał się.

Chrystyn zawołał powtórnie:

— Stój, stój! Pozwól mi dojść do ciebie!

Ale Wierny odpowiedział:

— Nie, tu rozchodzi się o moje życie.

To słowo przeraziło Chrystynę. Zebrał wszystkie siły, żeby Wiernego doścignąć.

Wkrótce zrównał się z nim, nawet prześcignął go trochę. To polectało jego miłość własną i obejrzał się na Wiernego z uśmiechem zadowolenia z siebie, lecz nie zważając przy tem na drogę, potknął się i upadł na ziemię. Nie mógł się pędzej podnieść, aż doścignął go Wierny i pomógł mu powstać. Dalej podróżowali obaj w bratniej miłości, opowiadając sobie wzajemnie swoje dotychczasowe przygody. Rozmowę zaczął Chrystyn i rzekł:

— Kochany mój przyjacielu i bracie, jakże jestem rad, że cię spotkałem. Jakże to pięknie, że na-

sze dusze tak przystają do siebie i że możemy razem tę wspaniałą odbywać podróż. O to wszystko jest dziełem łaski Bożej.



— O jakże chętnie — odpowiedział Wierny — chciałbym być mieć cię koło siebie już od początku drogi. Wyprzedziłeś mię, więc musiałem iść sam aż dotąd.

— Jak długo zostałeś jeszcze w domu, nim się wybrałeś, ażeby puścić się za mną?

— Aż nie mogłem dłużej wytrzymać. Zaraz po twojem odejściu gruchnęła w mieście wieść, że nasze miasto spłonie w ogniu i siarce.

— Czy ludzie mówili tak na prawdę? — zapytał Chrystyn zdziwiony.

— Tak, przez pewien czas mówiono o tem wszędzie.

— Czy oprócz ciebie nikt więcej nie ważył się opuścić miasta, aby uniknąć zagłady?

— Sądzę, że choć pełno było gadaniny o tem, to jednak nikt nie wierzył w to szczerze.

O twojej podróży wyrażano się też zawsze, jako o karkołomnym kroku. Jednak co do mnie, to widziałem i widzę jasno, że miasto nasze upadnie.

— Czy nie było czasem zmianiki o sąsiedzie Układnym?

— Tak, słyszałem, że szedł z tobą aż do Bagna Rozpacz y. Opowiadano sobie, że także w niem ugrzęznął, do czego wprawdzie sam nie chciał się przyznać, ale widać było na nim zbyt wyraźne ślady. O, nosi on na sobie różnokolorowe brudy, o tem jestem święcie przekonany.

— Cóż ludzie mówili na to?

— Od czasu swego powrotu jest przedmiotem pogardy i drwin, i to nawet u ludzi rozmaitych odcieniów i rozmaitych kierunków. Co gorsza, wielu zrywa z nim zupełnie wszelkie stosunki tak, że

ledwie gdzie może znaleźć kredyt, lub zajęcie. Teraz jest z nim sto razy gorzej, niż miał się przed opuszczeniem miasta.

— Czemuż się tak wszyscy nań zawzięli? Przecież i oni gardzą tą drogą, którą opuścił?

Jego niesłowność nappełniła ich wstrętem. Krzyczą za nim: Na stryczek z nim! Taka chorągiewka! Taki zaprzaniec! Moznaby myśleć, że Bóg podburzył przeciwko niemu własnych swoich wrogów, żeby stał się przedmiotem drwin i śmiechów. (Jerem. 29, 18.)

— Czy nie mówiłeś z nim jeszcze, nimeś odszedł?

— Spotkałem go raz na ulicy; ale widziałem, jak cofał się i usuwał na drugą stronę ulicy, udając bardzo zajętego. Omijał mnie, jak ktoś, co ma nieczyste sumienie. Nic zatem z nim nie mówiłem.

— Miałem trochę nadziei, że z niego coś będzie, lecz teraz zachodzi wielka obawa, że zginie razem z miastem Zagłady. Sprawdziło się na nim przysłowie: Pies wrócił się do tego, co sam nazwacał, a świnia umyta do wałania się w błocie. (2. Piotr 2, 22.)

— I mnie się tak zdaje, — przyznał Wierny. Wygląda to tak, jakby ciążyła na nim jakaś klątwa wielka.

Chrystyn radził, żeby skierować rozmowę raczej na to, co ich samych dotyczy i zapytał Wiernego:

— Jakże ci się wiodło w twej podróży? Byłoby przeciwko wszystkim regułom doświadczenia, gdyby ci się nic nie było przygodziło.

— Na szczęście nie wpadłem w Bagno Rozpaczy, co zdarzyło się, o ile wiem, tobie. Doszedłem także bez gorszego wypadku do Ciasnej Bramy. Spotkała mnie tylko *Lubieżnica* i omal nie wyrządziła mi szkody.

— Jakże dobrze, żeś się jej wywinął! Nastawała uparcie i na młodego Józefa, ale i on wyinknął się jej, jak ty, czego jednak omal nie przypłacił życiem. Jakże zabrała się do ciebie?

— Trudno opisać to w słowach, trzeba tego wprzód samemu doznać, jak ona umie cukrować swoje miłuchne słówka schlebianiem i ponętami. Przyrzekła mi tysiące uciech i rozkoszy.

— Nie przyrzekła ci chyba radości dobrego sumienia?

— Nie, tylko rozmałą cielesną i zmysłową słodycz.

— Dziękuj Bogu, że się ciebie nie uczepliła. Usta obcych niewiast są dołem głębokim; na kogo się Pan gniewa, wpadnie tam. (Przypow. 22, 14.)

— Nie wiem tylko, czy się z nią rozprawiłem już na zawsze.

— Jakto, przecież nie zgodziłeś się na jej żądania?

— Nie, nie dałem się omotać. Przypomniałem sobie stare przysłowie, które gdzieś czytałem: Nogi jej wstępują do śmierci, a do piekła chód jej prowadzi. (Przyp. 5, 5.) Dla tego zmrużyłem swe oczy, aby nie dać oczarować się jej spojrzzeniami. Szydziła ze mnie za to, ale ostatecznie dała mi spokój.

— Czy nie zdarzyło ci się nic więcej?

— U stóp Góry Trudów — odpowiedział Wierny — spotkał mnie jakiś podeszły starowina, pytając mnie, kim jestem i dokąd idę. Powiedziałem mu, że pielgrzymuję na górę Syon. Na to starzec zapytał mnie, czy nie zgodziłbym się służyć mu za nagrodę, którą mi wyznaczy, widział bowiem, że wyglądam na uczciwego człowieka. Zapytałem go o imię i mieszkanie. Pokazało się, że nazywa się „Stary Adam“ i mieszka w mieście „Zwodnicze“ (Ef. 4, 22.). Na dalsze pytanie, jakie ma być moje zajęcie i co mi chce dać w nagrodę, odpowiedział, że służbą jego jest sama przyjemność, a w nagrodę odziedziczyć kiedyś jego mienie. Wywiadywałem się dalej, jak prowadzi swoje gospodarstwo i jak liczną ma służbę. Odpowiedział, że należą mu wszystkie kosztowności świata, że ma także trzy nadobne córki, Żądzę Ciała, Żądzę Oczu i Pychę Życia (1. Jan 2, 16.) i dodał ze zna-

czącem spojrzeniem, że w jego domu może uśmiechać mi się dobra partya. Wreszcie na moje zapytanie, jak długo trwa ta służba, odpowiedział że przez cały przeciąg jego życia.

— I na czemże stanęło ostatecznie?

— Zrazu poczułem doń dość wielką skłonność; mówił nadzwyczaj uprzejmie i na pozór wcale do rzeczy. Ale gdym badawczym wzrokiem zmierzył jego twarz, odkryłem na czole jego wypisany wyrok: Zewleczenie starego człowieka z jego uczynkami. Sumienie moje wzbudziło się i mówiło wyraźnie: Miej się przed tym starym wygą na bacności. Tylko nie idź z nim, choćby schlebiał ci nie wiem jak. Gdy tylko raz wdasz się z nim i pójdziesz do jego domu, to cię gotów sprzedać lub uczynić swym niewolnikiem. Oświadczyłem mu zatem, że nie potrzebuję się więcej trudzić, gdyż nie myślę iść z nim. Na to zbeształ i zwy-myślał mi, co wlaźło, grożąc mi także, że poszle za mną kogoś, który mi dopiecze do żywego. Gdy chciałem odejść, porwał mię tak gwałtownie ku sobie, jakby chciał oderwać kawał mięsa od mojego ciała. Krzyknąłem: Nędznyż ja człowiek! (Rzym. 7, 24.) Wyrwałem się jednak i pośpieszyłem dalej pod górę. W połowie wysokości obejrzałem się i ujrzałem pędzącego za mną kogoś z szybkością wiatru; dopędził mię właśnie tam, gdzie znajduje się altana.

— W tej altanie usnąłem i zgubiłem swój list.

— Pozwól, niech dokończę. Skoro tylko dopędził mnie, grzmotnął mnie tak silnie, żem runął jak nieżywy na ziemię. Gdym po pewnej chwili przyszedł nieco do siebie, zapytałem go, co to wszystko ma znaczyć i czemu mnie tak uderza. — Z powodu twej skrytej skłonności do Starego Adama — była odpowiedź, poparta ponownie tak siarczystym kulakiem w piersi, żem jak niepyszny potoczył się w tył. I znów jak martwy leżałem u jego nóg. Gdym przyszedł do siebie, wołałem o miłosierdzie. Krzyknął, że nie zna miłosierdzia i dał mi jeszcze raz tęgiego szturchańca. Pewnieby był zrobił koniec mojemu życiu, gdyby nie był nadszedł ktoś, co się ujął za mną.

— Nie poznałem go zaraz, ale gdy się zbliżył, zauważyłem rany na jego rękach i na jego boku, z tego wnosiłem, że to był nasz Pan.

— Mężem, który ci tak dojął, był Mojżesz. Nie szczędzi on nikogo, ani nie zna miłosierdzia nad tymi, którzy przestępują jego przykazania.

— Widziałem to dobrze — odrzekł Wierny. Nie pierwszy to raz tak mi dogrzał. Już wtedy, gdy zamyślałem wybrać się w drogę, przyszedł do mnie i groził mi, że spali mi dom nad głową, jeżeli w nim zostanę.

— Czy nie widziałeś pałacu, który stoi na wierzchu góry?

— Owszem, widziałem i lwy, które o ile mi się zdaje spały, gdyż było południe. Lecz że jeszcze tyle drogi miałem przed sobą, ominąłem pałac i zszedłem z góry.

— Stróż mówił mi też, że widział cię, gdyś przechodził. Dobrze by jednak było, gdybyś był wstąpił do tego pałacu. Pokazano ci tam takie dziwy, żebyś ich nie zapomniał do śmierci. Lecz powiedz no mi, jakże ci się powiodło w Dolinie Upokorzeń? Czy nie spotkałeś nikogo?

— Tak, trafiłem niejakiego pana Niedosćciwskiego, który zadawał sobie bardzo wiele trudu, aby nakłonić mię do odwrotu. Mówił, że w tej dolinie nie zbiera się wawrzynów i że wszyscy moi krewni, panowie Butny, Pyszalski, Samochwał i Sławychciw bardzo się gorszą ze mnie i gniewają na to, że idę tą doliną.

— I cóż mu odpowiedziałeś?

— Powiedziałem mu, że wymienieni panowie są, co prawda, moimi krewnymi, ale wyrzekli się mnie od czasu, jak się wybrałem w podróż, a i ja przestałem z nimi obcować. Jesteśmy z sobą tak, jak gdybyśmy się nigdy nie znali. Dałem mu również do zrozumienia, że ma zupełnie fałszywe pojęcie o Dolinie Upokorzeń, gdyż według przysłowia chodzi pycha przed upadkiem, a pokora przed chwałą. Wolę raczej przez upokorzenia dojść do chwały, o którą ubiegają się ludzie naj-

lepsi i najmędrsi, niż kwapić się o cześć, którą zna on tylko i jemu podobni.

— Czyś zresztą nie spotkał w dolinie nikogo więcej?

— Tak, pana Wstydniśia. Ze wszystkich, których spotkałem w swej podróży, nikt nie nosił tak niedobranego dla siebie imienia, jak on. Raczej powinien by się był nazywać Bczwstydnik. Z każdym innym można było jakoś dojść do ładu, tylko ten Wstydniś, gdy się człowieka uczepił, to już ani rusz.

— Cóż ci mówił takiego?

— Odrzucał wogóle wszelką religię. Mówił, że to dla biedniejszego człowieka wstyd i hańba, mieć jeszcze z religią cośkolwiek do czynienia. Delikatne sumienie nazywać czemś arcytchórzowskiem, trwożliwe zważanie na swe słowa czemś godnem pogardy i czemś ubliżajacem człowiekowi hołdującemu duchowi wolności, a do takich należą najszlachetniejsi. Dowodził, jako fakt niezbity, że tylko znikająca mniejszość ludzi możnych, bogatych i uczonych myśli podobnie, jak ja, (1. Kor. 1, 26; Jan 7, 48.), a z pośród nich bodajby się znalazł choć jeden, któremaby wprzód nie musiano tej głupoty gwałtem wtłoczyć do mózgowicy. Po wszystkie czasy dali się naciągnąć do tej sprawy przeważnie ludzie z niskiego rodu i z najuboższych stanów, a zwłaszcza tacy, którzy w naukach przy-

rodniczych umieli się wyznać tyle, co nie przy-
mierzając osiołek w książce. Takim tonem roz-
wodził się jeszcze o wielu rzeczach z miną ogrom-
nie mądrą i napuszoną, usiłując się wprowadzić
choć trochę promyczków światła w mój ziemniakły
i ograniczony umysł. Mówił, n. p., że to wstyd
przecież, dać się kazaniem wzruszyć do płaczu,
lub zdradzić czemśkolwiek, że się jest dotknię-
tym, lub iść do domu z łkaniem i wzdychaniem,
że to wygląda wprost śmiesznie, gdy się sąsiada
prosi pokornie o przebaczenie za jakieś drobne wy-
kroczenia, albo gdy się zwraca rzeczy nieprawnie
nabyte. Religia odstręcza od nas wpływowe i mia-
rodajne osobistości, które przecież nie pozwolą,
aby ludzie prości i niewykształceni piętnowali ich
sposób i zwyczaje życia, jako występki, a z dru-
giej strony religia prowadzi nas do biednych i pro-
staczych kół, których trzeba się wstydzić przy-
stojnemu człowiekowi. Wszystkie te wywody po-
pierał odpowiednią miną i gestami, któremi uba-
wiłby niejedno towarzystwo.

— I cóż mu na to odrzekłeś?

— Istotnie, nie wiedziałem zrazu, co tu po-
wiedzieć. Docinał mi tak, że twarz mą oblał ru-
mieniec wstydu i myślałem, że mię zupełnie przy-
parł do muru. Lecz przypomniałem sobie, że to,
co ludzie cenią wysoko, jest u Boga obrzydliwo-
ścią (Łuk. 16, 15.) i że ten pan wprawdzie na wy-

lot znał ludzi i ludzkie myśli, ale zato o Bogu i o jego słowie nie miał najmniejszego pojęcia. Powiedziałem sobie, że w dzień sądu będą rozstrzygały przecież nie myśli wielkich i wybitnych tego świata, ale mądrość i prawa Najwyższego. A więc myślę, że co Bóg powiedział, to zawsze jest więcej warte, choćby i cały świat rzucił to do rupieci. A już to pewna, że „religia“ i „delikatne sumienie“ wysoką mają w oczach Boga wartość i że ci, którzy są błaznami w oczach świata, posiadają mądrość królestwa Bożego i że ubodzy tego świata, którzy są bogatymi w wierze, są bogatsi od największych bogaczy i ulubieńców świata. Nie, czego się tu mam wstydzić? Precz odemnie, panie Wstydnisiu! Jesteś rabusiem mego zbawienia. Precz z moich lic, zdrożne rumieńce! Czyż mam was cierpieć na przekór swojemu Panu? Jakżebyś kiedyś mógł stanąć przed Nim, gdybym się zań miał wstydzić? Jakżebyś potem mógł liczyć na Jego błogosławieństwo? Ale ani- byś nie pomyślał, drogi Chrystynie, jaki to był natręt i zuchwalec. Ledwo się go pozbyłem. Ciągłe tylko czepiał się mnie i bębnił mi w uszy o błędach i usterkach wyznawców Chrystusa, ustawicznie wmawiał we mnie, jacy to ludzie hardzi i wyniośli, ile między nimi jest fałszu i obłudy, jak bardzo przeto trzeba się wstydzić ich towarzystwa i unikać ich jak ognia. Zawsze musia-

łem mu dawać do zrozumienia, żeby sobie lepiej dla siebie schował swoje mądre wywody, gdyż właśnie to, co on tak depcze, jest dla mnie rzeczą największą i najpożądańszą. Wreszcie raczył zostawić mię w spokoju.

— Jakże rad jestem, żeś się oparł tak dzielnie temu urwiszowi. Trzeba wszędzie mieć się bardzo przed nim na baczności. Będzie on latał za tobą ulicami i ośmieszał cię wszem wobec i potrafi dokazać tego, że będziesz się rumienił ze wstydu przy każdym dobrym uczynku. Gdyby sam nie był tak bezwstydnym, toby się wstydził swojego natręctwa. Nosi, jak słusznie zauważyłeś, bardzo nieodpowiednie sobie imię. Lecz choć jest tak pewny siebie, to jednak każdy, kto go bliżej pozna, nie bardzo się doń zapala; tylko ludzie słabi i bezmyślni dają mu się wodzić za nos.

— Sądzę, — zauważył Wierny, — że trzeba nam będzie usilnie się modlić o pomoc Bożą przeciw temu wrogowi.

— O pewnie. Czy spotkałeś jeszcze kogo w Dolinie Upokorzeń?

— Nie. W ciągu całej reszty drogi świeciło mi słońce wspaniałe, nawet w Dolinie Cienia Śmierci.

— No, to bądź rad i dziękuj Bogu za tę łaskę. Ja zaraz u wejścia w dolinę musiałem stoczyć zacięty bój z Apollyonem. A tak ci mi dojął, że

już miałem się za straconego, szczególnie, gdy rzucił mną o ziemię i chciał mię zagnieść okrutnie. Miecz nawet wypadł mi z rąk. Już tryumfował nademną, ale wołałem do Boga, a ten mię wysłuchał i uwolnił ze straconego położenia. Dolinę Cienia Śimerci musiałem prawie połowę drogi iść w gęstej ciemności i nieraz myślałem sobie, że zginę. Wreszcie zawitał dzień; słońce wzniosło się precudnie na niebo tak, że drugą połowę drogi mogłem odbyć swobodniej i bezpieczniej.



XII. ROZDZIAŁ.

Jan Gadulski.

Gdy Chrystyn i Wierny szli zajęci żywą rozmową, spostrzegł Wierny, który obejmował się przypadkowo, dorodnego i przystojnego pana, — z daleka robił, co prawda, lepsze wrażenie, niż z blizka — śpieszącego nieco bokiem w tym kierunku. Zwrócił się więc do niego z zapytaniem:

— Dokądże to, przyjacielu? Czy może także na górę Syon?

Gadulski — tak się bowiem nazywał ów pan — odpowiedział:

— Tak, to jest mój cel.

— Wybornie — rzekł z radością Wierny. Pewnie zateni nie odmówisz nam swego miłego towarzystwa.

— I owszem, będzie mi bardzo przyjemnie.

— Nie prawda, zechcemy drogi czas spędzić jak najpożyteczniej, rozmawiając ze sobą o rzeczach najwznioślejszych i najważniejszych.

— O najważniejszych i najświętszych sprawach ludzkiego serca mówię zawsze z wielką ochotą. Jest to dla mnie nadzwyczaj miłą niespodzianką, że mam zaszczyt poznać w was ludzi tej samej myśli. Doświadczenie nauczyło mię, że mało jest takich ludzi, którzyby obok swoich zajęć mieli chęć i zrozumienie dla głębszych rozmów. Większość trwoni swój czas na pustej gadaninie. To mię zawsze drażni do żywego.

— Do prawdy, jest to rzecz bardzo pożałowania godna. Bo cóż jest dla naszego języka i naszych ust więcej zaszczytnem, jeżeli nie to, że możemy i śmiemy mówić o rzeczach Boskich i niebieskich?

— Trafiłeś w samo sedno — mówił Gadulski ze słodkim uśmiechem. Zupełnie, jak gdybyś to wyjął z moich własnych ust. Podobasz mi się za to okrutnie. Dodam jeszcze: Nie masz nic tak przyjemnego i tak bardzo zajmującego, jak rozmowy na temat religijny. Kto ma n. p. choćby trochę upodobania w ciekawych opowiadaniach o rze-

czach rzadkich i cudownych, ten musi poprostu zachwycać się biblią i jej historyami. Czegoś poważniejszego i więcej wzruszającego chyba nikt nie znajdzie.

— Zapewnie, ale przedewszystkiem musimy sami dla siebie odnieść z tego jakąś korzyść.

— To samo i ja mam na myśli; mówić o takich rzeczach jest bardzo pożytecznie. Niejedna głęboka prawda może przy tej sposobności utkwąć w sercu i rozjaśnić się w głowie, n. p. prawda o znikomości dóbr doczesnych, o ważności pożegnania z góry, szczególnie o konieczności odrodzenia, o niedoskonałości naszych uczynków, o niezbędnej potrzebie sprawiedliwości z wiary, tudzież o pokucie, wierze, modlitwie, cierpliwości, o wielkich, a tak uspokajających obietnicach i pociechach ewangelii i o tym podobnych kosztownych prawdach. Człowiek nauczy się przy tem zbijać błędne nauki, wyrażać prawdę jasno a zwięźle, i wprawiać się w pouczeniu nieumiejętnych.

— Na to wszystko zgadzam się zupełnie — oświadczył W i e r n y.

— Jakże wielkim jest to błędem, że wielu ludzi bodaj raz kiedy mówi o tych rzeczach. I stąd to pochodzi ten brak znajomości, że życie wieczne jest tylko dziełem łaski w sercu. Wielu, bardzo wielu marnuje się wskutek swej niewiedomości

w uczynkach zakonu, z których nikt przecież nie będzie zbawiony.

— Tak — zauważył W i e r n y, — ale pozwól mi zaznaczyć to, że prawdziwe poznanie łaski jest darem Bożym, którego nie osiąga się wytężonem myśleniem i długimi rozmowami.

— Całkiem słusznie. Nic nie może człowiek wiaść, jeżeliby mu nie było dane z góry (Jan 3, 27.). Wszystko pochodzi z łaski, nie z uczynków własnych. Setki wyroków biblijnych dowodzą tego jasno, jak na dłoni.

— Jużcić! Ale od czego teraz mamy zacząć rozmowę?

— Zdaję to zupełnie na twój wybór — oświadczył G a d u l s k i. Potrafię mówić o rzeczach niebieskich i o rzeczach ziemskich, o zakonie i o ewangelii, o sprawach duchownych i świeckich, przeszłych i przyszłych, obcych i ojczystych, o istotnych i nieistotnych znamionach rzeczy, jeżeli tylko odniesiemy z tego korzyść.

W oczach W i e r n e g o rósł pan G a d u l s k i coraz bardziej. Przybliżył się do Ch r y s t y n a, który tymczasem siedł samotnie i szepnął mu z cicha:

— Co to będzie za dzielny towarzysz w podróży, mówię ci; będzie z niego znakomity pielgrzym!

Chrystyn uśmiechnął się nieznacznie i rzekł:

— Ten człowiek, który ci się tak spodobał, gotów prawie każdego, kto go nie zna, pozyskać dla siebie i wystrychnąć na dudka.

— To ty go znasz?

— Ja miałbym go nie znać? Znam tego ptaszka lepiej, niż on samego siebie.

— Cóż on zacz?

— Nazywa się Gadulski; jest także naszym ziomkiem. Dziwię się, że go jeszcze nie znasz. Nasze miasto, co prawda, jest bardzo rozległe.

— Czyim jest synem?

— Jest synem niejakiego pana Gaduły, który mieszka na ulicy Gadatliwej. Pomimo swego biegłego języka jest to człowiek nader podejrzaney jakości.

— Ej, przecież jest to pan bardzo stateczny.

— Tak, jeżeli się go nie zna bliżej. Między obcymi, o to on umie się postawić i pokazać w jak najlepszym świetle, ale za to jego domownicy, którzy mają z nim bliżej do czynienia, umieją go inaczej ocenić i wiedzą lepiej, co w nim siedzi.

— Czy przypadkiem nie żartujesz sobie?

— Nie; nie będę przecież stroił sobie żartów kosztem oczerniania i poniżania drugih. chcę ci tylko napomknąć, że ten człowiek umie znaleźć się w każdym towarzystwie. O czem teraz mówi z tobą, o tem potrafi rozwodzić się także w towa-

rzystwie piwnem, z tym większym jeszcze zapalem; im lepiej sobie podpije, tem więcej świętych i namaszczonej słów popłynie z wymownych jego ust. Duch Boży nie ma miejsca ani w jego sercu, ani w jego życiu, ani w jego domu. Zdaje się, że jego hasło brzmi: Królestwo Boże zależy w mowie, a nie w mocy (1. Kor. 4, 2.). Wszystko u niego zaczyna i kończy się na języku. Celem jego zaś jest wypłynąć na wierzch i zamydlić ludziom oczy swoją wielkością.

— W takim razie zawiodłem się na nim bardzo.

— W każdym razie. Biblia opowiada o takich ludziach, którzy mówią, a nie czynią (Mat. 23, 3.). Ten pan mówi pięknie o modlitwie, pokucie, wierze, odrodzeniu, ale też tylko mówi i nic więcej. Miałem sposobność przypatrzeć mu się dokładnie i wśród obcych i wśród rodziny. W jego domu nie masz ani śladu bojaźni Bożej, ducha modlitwy, lub żalu za grzechy. Robi pobożności wstyd i zgorszenie u wszystkich, którzy go znają (Rzym. 2, 24.). Jego złe prowadzenie się tak zgubnie działa na całą dzielnicę, w której mieszka, że słowo Boże i Jego prawda wywołują tam tylko śmiech i szydertswo. Ludzie nazwali go „świętym“ w oczach świata i „szatanem“ w domu. Biedna jego rodzina cierpi na tem najwięcej. W obejściu ze swoimi jest szorstki i opryskliwy, ustawicznie zrzędzi na służbę, jest wymagający i nieprzystępny, nie wiedzieć, jak

mu dogodzić i jak się doń odezwać. Wszyscy robią mu na przekór i wszystko idzie opacznie. Słyszałem od niektórych, że lepiej mieć do czynienia z Turkiem, niż z nim. Oszukaństwo, krętaćstwo, dwulicowość i wyzysk — to wszystko może się bardzo dobrze pogodzić z jego chrześcijaństwem. Nadto i synów swych wychowuje na godnych swoich naśladowców. Jeżeli tylko u którego z nich znajdzie choćby cień głupiej trwożliwości, jak nazywa obudzone sumienie, to zbeszta go, nazwie osłem i durkiem skończonym i t. p. i co najmniej wyrzuci go za drzwi. Jestem mocno przekonany, że swoim postępowaniem przywiódł już wielu do zachwiania się i do upadku.

— Przeciwno temu oczywiście nie mogę nic rzec. Znasz go lepiej odemnie, a jako chrześcijanin nie mówisz tego chyba ze złej pobudki, tylko dlatego, że sprawa ma się tak istotnie.

— Gdybym nie był wiedział, co wiem o nim, to byłbym dał się pewnie zwieść pozorem, jak ty.

— Gdybym był tę nagane, którą musiałem wypowiedzieć, słyszał tylko z ust nieprzyjaciół religii, to bym był uważał ją za oszczerstwo, jakim ludzie źli chętnie obrzucają szlachetnych. Lecz to, com powiedział o nim, pochodzi z własnego doświadczenia. Ludzie, biorący poważnie chrześcijaństwo i którzy go znają, wpadają w zakłopotanie na samo wspomnienie jego imienia. Brata w nim przecież nie

mogą uznać, a jednak świat zalicza go do nas i sam także przyznaje się do nas.

— Nie myślałem, żeby słowa i czyny tak bardzo różniły się od siebie. Będę teraz ostrożniej baczyl na tę różnicę.

— Słowa i czyny, to dwie tak różne rzeczy, jak ciało i duch. Jak ciało martwym jest trupem bez ducha, tak i słowo martwym jest bez czynu. Praktyczne wypełnianie jest duszą religii. Czystem i niepokalanem nabożeństwem jest wobec Boga Ojca odwiedzanie wdów i sierot i zachowanie siebie samego niepokalanym od świata (Jak. 1, 27.). Ga d u l s k i o tem nie myśli. Wyobraża sobie, że słuchanie kazań i mówienie, że gonienie z jednego nabożeństwa na drugie i wysiadywanie ław kościelnych jest znakiem prawdziwego chrześcianina. O jakże zwodzi samego siebie! W dzień sądny przecież niewątpliwie trzeba będzie wykazać się owocami, gdyż dzień sądu jest żniwem świata, a żniwo jest od tego, aby zbierać owoce. Słuchania potrzeba, ale ono jest tylko wysiewaniem ziarna. Cóż z tego, że ziarna padają gęsto, jeżeli ani jedno nie wykłosoowało i nie przyniosło owocu. Braku owoców nie będzie można usprawiedliwić przed wiecznym sędzią częstem słuchaniem. Owoc wprawdzie wyrasta jedynie z wiary, ale wiara, która nie wyda owoców, musi też nie być prawdziwą. Paweł nazywa takiego człowieka nie

przynoszącego owoców, miedzią brząkającą i cymbałem brzęcącym (1. Kor. 13, 1.), przez co według listu 1. do Kor. 14, 7. rozumie rzecz martwą, która wydaje głos, ale nie ma życia. Bez rzeczywistego życia z wiary nikt nie może liczyć się do dzieci Bożych i do dziedziców nieba.

— Ach, jakże miłem było mi jego towarzystwo — żałował W i e r n y. Teraz jednak prawie muszę sobie życzyć, żeby się go pozbyć. Żeby tylko wiedział, jak się tu zabrać do tego?

— Poradzę ci, co masz zrobić, a sprzykrzy mu się twoje towarzystwo i odejdzie sam od ciebie, jeżeli Bóg nie zechce zmienić jego serca. Zapuść się tylko z nim w poważną, głębiej sięgającą rozmowę o sile i działaniu ewangelii. Będzie się pewno chętnie rozwodził nad tem długo i szeroko. Gdy skończy, zapytaj go bez ogródek, czy i w jego domu, w jego sercu i w jego obcowaniu dają się spostrzedz jej błogosławione wpływy.

W i e r n y zwrócił się teraz znów do G a d u l s k i e g o i zapytał:

— Jak się masz, przyjacielu?

— Dziękuję, dobrze odparł G a d u l s k i. Bylibyśmy mogli omówić niejedną pożyteczną rzecz, gdybyś był został przy mnie.

— No dobrze, zabierzmy się teraz do rozmowy, jeżeli masz ochotę. Zostawiłeś mi przedtem swobodę wyboru tematu do rozmowy. Pozwolę

sobie zaproponować, dajmy na to takie pytanie: Po czem poznać, że w sercu człowieka działa zbawiająca łaska Boża?

— Zgoda. Zatem mamy jasno wyświecić wpływ i znamiona prawdziwej wiary. Jest to przedmiot wielkiej doniosłości. Na takie pytania odpowiadam z największą chęcią. Otóż, żeby wyrazić się zwięźle, powiedziałbym mniej więcej tak: Po pierwsze, gdzie łaska Boża wstępuje w serce, tam wywołuje wielki krzyk przeciwko grzechowi, po wtóre — —

— Czekaj tylko! Zostańmy najpierw przy pierwszym punkcie. Czy nie możnaby rzec dokładniej, że łaska Boża budzi obrzydzenie do grzechu?

— Nie bardzo pojmuję, co jest za różnica między „krzykiem“ przeciwko grzechowi, a „obrzydzeniem“ do niego.

— O i jak wielka jeszcze. Krzyczeć przeciwko grzechowi może ktoś i z innych przyczyn, ale brzydzić się nim może tylko ten, w kim Bóg zdziałał to swoją łaską. Słyszałem już niejednego, który z kazalnicy piorunował na grzech, ale w swoim secru i w swoim obcowaniu niestety zbyt mu pobażał. I pani Józefa krzyknęła głośno, jak gdyby bała się grzechu, jak noża, a jednak sprzyjała mu z głębi serca. Niektórzy podobni są do matki, która z krzykiem łaja swe dziecko za pewne przywary,

równocześnie jednak pieści je i całuje. Tak samo postępują z grzechem.

— Twoje słowa coś zbyt są lepkie.

— Gdzie tam; chciałem tylko dokładnie się wyrazić. Tak doniosłe rzeczy trzeba zawsze traktować gruntownie. Cóż podajesz jako drugie znamię łaski Bożej?

— Głębokie poznanie tajemnic ewangelii.

Toby może lepiej było podać w pierwszym punkcie. Lecz mniejsza o to, czy w pierwszym, czy w drugim, gdyż i tu rzecz sama nie jest ujęta dość jasno i dobitnie, tak, żeby fałszywe zrozumienie nie było dopuszczalne. Poznanie? No dobrze, ale głębokie poznanie tajemnic ewangelii może być i tam, gdzie brak wewnętrznego życia. Może ktoś mieć wszystką znajomość, a jednak nie być „niczem“ (1. Kor. 13, 2.). Jeżeli to wiecie, mówi Jezus na pewnem miejscu (Jan 13, 17.), błogosławieni jesteście, jeśli to uczynicie. Jest i taka znajomość, która się nie przemieni w czyn. Sługa, który zna wolę swego Pana, a nie pełni jej, jest poprostu nicponiem i nie na wiele przyda mu się jego znajomość, owszem, tylko powiększa jego odpowiedzialność i jego winę. Ktoś może mieć tyle głębokiej znajomości, co anioł, a pomimo to być wszystkiem innem, tylko nie chrześcianinem. Dlatego i twój drugi punkt nie jest bardzo dosadny. Poznaniem mogą także upstrzyć się półgłówki i obrotne języki,, przed Bogiem je-

dnak płaci czyn. Prawda, że bez znajomości nie można być prawym chrześcianinem, ale znajomość, a znajomość, to czasem wielka różnica. Jest znajomość, która poprzestaje na próżnem mędrkowaniu i dowcipkowaniu, a jest też i taka znajomość, która rośnie z wiary i miłości. Kto nosi chrześcianstwo swoje tylko w gębie, temu wystarcza pierwsza, drugiej nabędzie ten tylko, kto przeszczepił je w serce. A taki zawsze będzie się modlił: Użycz mi rozumu, abym strzegł zakonu Twego i pełnił go z całego serca (Psalm 119, 34.).

— Zakrawa to znowu jakby na trzaseczkę, która ma paść na mnie osobiście. To nie bardzo budujące.

— Proszę cię, podaj dalszą cechę działania łaski Bożej w sercu!

— Lepiej dam spokój; rozmowa z tobą zaczyna mi być przykra.

— Czy wolno mi podać jeszcze niektóre?

— Owszem, nie przeszkadzam.

— Dzieło łaski daje się poznać albo samemu ułaskawionemu, albo jego otoczeniu. Temu, w którym działa, objawia się w ten sposób, że mu odsłoni grzech i całe głębokie zepsucie jego natury, grzech niedowiarstwa zwłaszcza, dla którego jest potępiony, chyba, że znajdzie łaskę przez wiarę w Jezusa. Będzie potem wstydział się grzechu i bolał nad nim szczerze. (Jerem. 31, 19.; Jan 16, 8.;

Rzym. 7, 24.; Mar. 16, 16.) Obudzi się w nim gorące pragnienie ścisłej społeczności ze swoim Zbawicielem, w którym znajdzie chleb i wodę żywota. Pokój i radość będą wzrastały w nim, lub słabły w miarę wzmaganie się, lub słabnięcia wiary jego w Zbawiciela i gorliwości w poświęceniu. Jego dążeniem będzie poznać Go i służyć Mu coraz to lepiej w świecie. Lecz chociaż znaki te są wyraźne, to jednak wierzący rzadko kiedy będzie mógł upewnić się, czy też rzeczywiście łaska działa w jego sercu. Grzech i zepsucie jego natury łatwo mogą wprowadzić go w błąd i zakryć prawdziwy stan rzeczy. Potrzeba na to bardzo wyostrzonego badawczego zmysłu, żeby mózdz rozeznąć na pewno, czy i gdzie ma się przed sobą dzieło łaski.

Poznać je można także po ochotnem wyznawaniu swej wiary w Chrystusa i pożyciu, które odpowiada temu wyznaniu, t. j. po uświęceniu całego życia, po uświęceniu serca, uświęceniu życia rodzinnego, uświęceniu życia towarzyskiego i społecznego. Łaska uczy go brzydzić się grzechem i w skrytości, tępić go i występować przeciwko niemu w rodzinie i w szerszych kołach, i to nie tylko łajaniem, bo to potrafi każdy obłudnik i każdy gaduła, lecz przede wszystkim własnem uniżeniem się pod słowo Boże i zaparciem samego siebie w wierze i w miłości (Rzym. 10, 10.); Mat. 5, 8.; Jan 14, 15.).

Czy zgadzasz się na takie pojmowanie? Powiedz tylko, co ci się nie wydaje odpowiedniem. Jeżeli nie masz temu nic do zarzucenia, to pozwolisz, że ci jeszcze zadam jedno pytanie, które mi bardzo leży na sercu. Nie prawda?

— Nikt ci nie broni.

— Czy i ty znajdujesz w sobie taką ochotę wyznawania Chrystusa? Jeżeli tak, czy życie twoje odpowiada temu wyznaniu? Jeżeli myślisz odpowiedzieć mi, to proszę cię usilnie, nie mów nic więcej nad to, co byś mógł powiedzieć i w obliczu samego Boga i w czem sumienie przyznaje ci słuszość. Nie ten jest sprawiedliwy, kto chwali samego siebie, lecz ten, kogo Bóg chwali. Jest to rzecz fatalna, jeżeli ktoś osławi się jako taki lub owaki, a sąsiedzi i domownicy zadają temu kłam.

Gadułski nieco zarumienił się kłopotliwie, wnet się jednak opanował i rzekł z przekąsem:

— Schodzisz tu zatem na doświadczenie i na sumienie. Niestety sposób i ton twoich wywodów jest bardzo niesmaczny i nie podoba mi się bynajmniej. Nie myślę też odpowiadać na takie pytania. Nie zobowiązałem się odpowiadać tu przed tobą, jak żaczek przed swoim profesorem, lub jak oskarżony przed sędzią. Skądże właściwie wzięła ci się myśl zadawania mi tak nietaktownych i wielce niedelikatnych pytań?

— Widziałem, że masz wprawdzie bardzo obrotny język, ale poza tem nie spostrzegłem jeszcze na tobie ani chrzty nowego życia. Albo raczej — powiem otwarcie całą prawdę — słyszałem, że twoja pobożność zanadto skupiła się na języku i nie licuje bynajmniej z twoimi świętymi słówkami, ba ktoś nazwał cię nawet zakałą chrześcijaństwa i twierdził, że twoje obcowanie robi wielki wstyd imieniu chrześcijan, że wyrządziłeś już wielu ludziom wielką szkodę na duszy, a wielu zgorszysz jeszcze, jeżeli tak dalej będziesz postępował. Twoje chrześcijaństwo może pogodzić się z życiem karczemnem i z pijatkami, z światowem życiem, nawet z chciwością i nieczystością, z kłátwami i z kłamstwem.

— Jeżeli nie potrafisz nic więcej, tylko zbierać blagi i plotki, aby potem osądzać bez dalszego i potępiać obcych, to jesteś człowiekiem dziwaczny, nieprzystojny i niezdolny, a z takim nie gadam. Bądź zdrow!

Teraz Chrystyn przystąpił bliżej do Wiernego i rzekł:

— Czy nie mówiłem ci, że tak będzie? Twoje cięte słowa i skryte jego żądności nie przystawają do siebie. I prędzej otrząśnię ciebie, niż przywary swojego życia. Musimy go naturalnie pozostawić samemu sobie. Jeżeli sobie odszedł, to sam na tem wyjdzie najgorzej. Nas tylko uwolnił od przykrego

obowiązku usunięcia go, gdyż apostoł mówi: Unikaj takiego (1. Tym. 6, 5.). Jeżeli chce pozostać takim, jakim jest, toby jego towarzystwo było nam tylko przeszkodą.

— Wdzięczny jestem Bogu — rzekł *Wierny* — że się mogłem z nim rozmówić; nuż kiedyś zastanowi się nad tem. W każdym razie mówiłem z nim tak otwarcie, nie obwijając niczego w bawelnę, że gdyby miał zginąć, to jestem czysty od jego krwi (Dzie. 20, 26. 27.).

— Dobrze jest, żeś rozmówił się z nim tak otwarcie. Otwartość jest dziś wśród chrześcijaństwa rzadkością i dlatego imię Chrystusa tak bywa bluźnione. Tacy *Gaduścy*, jeżeli się ich zawsze tylko znosi i cierpi, wyrządzają sprawie Pańskiej ogromną szkodę. Przypuszczeni do społeczności pobożnych, lecz bez prawdziwej pobożności i wiary, wprowadzają ludzi w błąd, kalają chrześcijaństwo i odstręczają od niego zwłaszcza szczere charaktery. Dobrzeby było, żeby każdy postępował z takimi ludźmi otwarcie i bez ogródek, jak ty postąpiłeś. Wtedyby musieli albo podać się karaniu prawdy, albowy wyszło na jaw, że nie są z nas.

Na dalszych rozmowach prędko upłynął czas *Wiernemu* i *Chrystynowi*, jakkolwiek okolica, przez którą przechodzili, była pustynna i jednostajna.

XIII. ROZDZIAŁ.

Spotkanie z Ewangelistą.

Doszli już prawie na skraj puszczy, gdy Wierny jeszcze raz obejrzał się wstecz i spostrzegł kogoś śpieszącego za nimi.

— Któż tam idzie? — zawołał.

Chrystyn obejrzał się także i rzekł z radością:

— Tóż to mój dobry przyjaciel Ewangelista.

— I mój także — odezwał się Wierny, — gdyż on to był, co wskazał mu wąską bramę.

Tymczasem nadszedł Ewangelista i pozdrowił serdecznie obu:

— Pokój wam, kochani bracia!

— Witaj, witaj, mój drogi Ewangelisto!
— wykrzyknął Chrystyn radośnie. Twój widok przywodzi mi na pamięć twoją dobroć i twoją niezmordowaną pieczę koło wiecznego zbawienia mej duszy.

— Tysiąckrotnie bądź pozdrowiony, czcigodny, drogi przyjacielu! — witał Wierny. Jakże nam biednym pielgrzymom pożądane jest twoje towarzystwo!

— Jakże wam się wiodło od czasu ostatniego naszego spotkania?

Chrystyni i Wierny mieli za sobą bogaty zasób przygód, które mu opowiedzieli dokładnie.

— Jakże rad jestem z tego wszystkiego! — rzekł Ewangelista. Nie z tego, że musieliście przechodzić różne próby, lecz żeście w całości wyszli zwycięzko i żeście dotąd pomimo niejednej słabości zostali na prawej drodze. Raduje mię to tak na myśl o sobie, jak i na myśl o was. Jam zasiał, wyście żęli. I spełniło się dziś ono słowo, że radować się będą i ten, co sieje i ten, co żnie. (Jan 4, 36.) Kiedyś we wieczności wypełni się to słowo jeszcze wspanialej. Tylko nie ustawajmy, gdyż swego czasu będziemy żąć bez przestanku. (Gal. 6, 9.) Czeką nas niezwiędła korona, bieście więc, abyście ją otrzymali. (1. Kor. 9, 24.) Niektórzy już stanęli do biegu, aby ją osiągnąć, ale gdy już ubiegli w wyścigach znaczną przestrzeń, dali się zatrzymać i przyprawić o koronę, a tymczasem inny ich wyprzedził i odebrał koronę. Dlatego trzymajcie, co macie, aby nikt nie wziął korony waszej. (Obj. 3, 11.) Jeszcze nie jesteście poza obrębem strzał szatana. Jeszczeście się nie sprzeciwili aż do krwi (Żyd. 12, 11.), walcząc przeciwko grzechowi. Nie dajcie niczem odwrócić swoich ocz od obiecanego królestwa chwały i nie patrzcie na rzeczy widzialne, które są doczesne, ale na rzeczy niewidzialne, które są wieczne. (2. Kor. 4, 18.) Niech nic nie zniewoli waszego

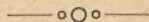
serca, co jest z świata. Najwięcej zaś czuwajcie nad swoim własnem sercem i nad jego żądościami, gdyż w niem siedzi sama tylko złość i zepsusie. Nie dajcie się odstraszyć niczem, gdyż ten, co włada niebem i ziemią, stoi przy waszym boku.

Chrystyn dziękował serdecznie za te napomnienia i zachętę i prosił Ewangelisty, aby został z nimi i nadał dodawał im otuchy. Jest przecież prorokiem i może ich z góry ostrzedz przed grożącym im niebezpieczeństwem tak, że się będą mogli prędzej ustrzedz i zwyciężyć. Gdy i Wierny poparł tę prośbę, rzekł Ewangelista:

— Słyszeliście ze słowa prawdy ewangelicznej, że przez wiele ucisków musicie przejść do królestwa niebieskiego (Dzieje 14, 22.) i że wszędzie czekają nas więzienia i uciski. (Dzieje 14, 22.) Nie możecie więc wcale liczyć na to, żeby dalsze uciski miały wam być oszczędzone na drodze. Owszem, przyjdą one na was to w tej, to w owej postaci. Przeżyliście niejedno i doznaliście prawdy owych słów, ale przyjdą na was — a zwłaszcza w najbliższym czasie — jeszcze gorsze rzeczy. Wnet będziecie mieli puszcę poza sobą. Potem odsłoni się waszym oczom widok wielkiego miasta. Tam otoczy was nieprzyjacielski tłum ze stanowczym zamiarem zgładzenia was ze świata. Przewiduję jasno, że jeden z was — może obaj — przy-

pieczętuje krwią swoją wiarę. Lecz bądźcie wierni aż do śmierci, bo Pan chce dać wam koronę żywota. (Objaw. 2, 10.) Temu z was, który będzie musiał położyć swe życie, dostanie się, choć umrze śmiercią nienaturalną i może wśród okropnych katuszy, jednak lepszy los w udziale, gdyż przyjdzie prędzej do Syońskiego miasta i ominie wiele ucisków, które czekają jeszcze pozostałego na drodze.

A gdy przyjdziecie do miasta i poznacie, że się sprawdziło moje proroctwo, to pomyślcie też o mnie. Cierpiąc według woli Bożej, poruczcie Jemu, jako wiernemu Stworzycielowi, dusze swoje, dobrze czyniąc. (1. Piotr. 4, 19.)



XIV. ROZDZIAŁ.

Miasto Próżności.

Ledwie podróżni minęli puszcę, którą wędrowali przez dłuższy czas, ujrzeli przed sobą mury i baszty przepysznego miasta, zwanego Miastem Próżności. W mieście tem rokrocznie odbywa się targ, dobrze znany pod imieniem targu Próżności. Nosi imię to tak od miasta, w którem się odbywa, jak i od towarów, które się tam wystawia na sprzedaż. Targ ten nie jest wczorajszy; istnieje on już od prastarych cza-

sów. Powstał on w taki sposób: Już przed wielu tysiącami lat wyśledzili Beelzebub i Apollyon ze swą czeredą, że pielgrzymi, którzy chcieli iść na górę Syon, musieli przechodzić przez Miasto Próżności i wpadli na ten pomysł, żeby w niem założyć stały targ, któryby w ciągu całego roku zwałbiał i zatrzymywał pielgrzymów różnego rodzaju próżnościami. Na targu tym sprzedaje się domy i role, urzędy i dostojęstwa, przywileje i tytuły, kraje i ludzi, królestwa i trony, władzę i znaczenie, rozkosze i rozrywki przeróżne, złoto i srebro, perły i dyamenty, bezbożne pisma i ślizkie powieści, nadętą wiedzę i uczoność, sławę i rozgłos, nawet mężczyzn i kobiety, panów i sługi, życie i krew, duszę i ciało — wszyściutenko, o czem tylko serce ludzkie może zamarzyć i czem dałoby się złować i odwieść od ważnych rzeczy. Pełno tam wszędzie uwija się kuglarzy, czarowników, błaznów, dowcipnisiów, linoskoków, małp, drapichróstów, urwipołciów, szubrawców i obieżyświatów najróżniejszego kalibru. Złodzieje, mordercy, cudzołożnicy, wiarołomni nie należą tu do wyjątków. Na targu są osobne dzielnice, gdzie sprzedaje się tylko pewien poszczególny gatunek towarów. — I tak jest tam n. p. dzielnica angielska, francuska, włoska, niemiecka, polska, rosyjska, na których gromadzą się na sprzedaż zawsze tylko pewne poszczególne gatunki próżności.

Pośrodkiem tego miasta z jego hałaśliwym i rozuzdanym zgiełkiem jarmacznym prowadzi droga do grodu na Syonie; innej drogi nie masz. Ktoby chciał dojść tam, omijając targowisko, tenby musiał wyniść z świata (1. Kor. 5, 10; Jan 17, 18.) Sam nawet Pan wszystkich Panów, gdy przechodził przez ten świat do Swojego królestwa, musiał iść tamtędy. Beelzebub, władca miasta we własnej osobie, zachwalał mu wspaniałość towarów swojego miasta i gotówby go zrobić panem całego targu, gdyby tylko chciał upaść przed nim i złożyć mu hołd. Że zaś Pan nasz był osobą, na której pozyskaniu zależało mu szczególnie, więc oprowadzał go jak najuprzejmiej po wszystkich ulicach i roztaczał przed Jego oczyma blaski i potęgę wszystkich królestw świata, w nadziei, że nasz uwielbiany Król przecież czegoś zapragnie. Ale ten patrzył na wszystko z pogardą i odrzucił stanowczo wszystkie propozycje. (Mat. 4, 1—10.)

I nasi dwaj pielgrzymi musieli iść tamtędy. Ledwie dali się spostrzedz, powstał w całym mieście okropny harmider i wielkie zbiegowisko. Złożyły się na to różne powody. Po pierwsze, pielgrzymi nosili ubranie zupełnie odmienne od stroju tamtejszych mieszczan; to też wszyscy gapili się na nich z wytrzeszczonemi ciekawością oczyma. (Żyd. 10, 33.) Ludzie nie wiedzieli, za co ich mają uważać. Niektórzy nawet sądzili, że są to pewni-



kiem zbiegi z domu obłąkanych, albo w każdym razie należą do niego. Po wtóre, nie mniej dziwili się ich mowie, którą ledwie niektórzy trochę rozumieli. Był to, rozumie się, język Kanaanu.

a w Mieście Próżności mówiono językiem świata. A co już nijak nie mogło wleźć im do głowy, było po trzecie to, że pielgrzymi nie zwracali na ich towary najmniejszej uwagi. Szli, nie patrząc ni w prawo, ni w lewo, a gdy kto chciał zalecić im to lub owo, zatykali sobie uszy i wołali w modlitwie: Odwróć oczy moje, Panie, aby nie patrzyły na marność! (Psalm. 119, 37.) Poglądali w górę, aby dać poznać, że skarb ich jest w niebiesiech. (Filip. 3, 20.)

Ktoś spróbował jeszcze raz zachęcić ich aprzejmie, ale usilnie do kupna. Zmierzyli go tylko poważnem spojrzeniem i rzekli:

— Kupujemy tylko prawdę, mądrość, karność, rozum i t. p. rzeczy. (Przyp. 23, 23.)

To dało powód do nowych pogardliwych szyderstw. Jedni śmiali się do rozpuku, inni kpili z nich, jeszcze inni obrzucali ich przezwiskami, — niektórzy już zaciskali pięście. Wszczynął się coraz to większy rejdach, wszystko rozprzęgło się do reszty. Natychmiast doniesiono o zajściu przełożonemu miasta, który stanął niebawem osobiście na miejscu i wydał kilku przybocznym swoim radcom zlecenie, aby wzięli na posłuchanie obu mężów, którzy spowodowali ten rozruch. W ratuszu miejskim zwołano posiedzenie, na które zawezwano obu. Przewodniczący zapytał ich, skąd przychodzą i dokąd idą i czemu nie zachowują i nie

ubierają się tak, jak każdy inny przystojny człowiek.

Chrystyn i Wierny oświadczyli, że są pielgrzymami i zupełnie obcymi w tem mieście i tylko przechodzą tedy do swojej ojczyzny, którą jest niebieski Jeruzalem; (Żyd. 11, 13—16.) nie wyrządzali zaś nic złego ani mieszkańcom miasta, ani przekupniom na targu.

Odpowiedź ta nie zadowoliła sędziów bynajmniej; owszem, utwierdziła ich tylko w tem przekonaniu, że mają albo przed sobą waryatów, albo co więcej ludzi, którzy naumyślnie robią tak, aby wszystko przewróciło się do góry nogami. To też pojmano ich, obito i obrzucono błotem, wreszcie zamknięto w żelazną klatkę i wystawiono tak na publiczne widowisko motłochu. Przez pewien czas byli zupełnie zdani na drwiny i kaprysy złośliwego i mściwego tłumu. Przełożony miasta nie tylko patrzył na wszystko przez palce, lecz nawet sam zachęcał i śmiał się, gdy ktoś zdobył się na jakiś niezwykle figiel. Pielgrzymi znosili cierpliwie wszystką krzywdę, nie odpłacali złem za złe, lecz błogosławili, bo wiedzieli, że na to są powołani, aby odziedziczyć błogosławieństwo. (1. Piotr. 3, 9.) Przewiska odpłacali słowami miłości, a nieznośne dokuczania uprzejmymi spojrzeniami.

Znalazło się jednak przecież kilku stateczniejszych i mniej uprzedzonych mężów, którzy czuli

się zmuszeni ganić lud i prosić go, aby w swych zapędach nie posuwał się za daleko. Lecz źle na tem wyszli. Motłoch teraz na nich skierował swe bezczelne klątwy i przezwiska:

— Ty i wy należycie do ich kompanii, hańbą wam! I wasby należało zamknąć tak do kozy, jak tych dwóch ptaszków.

Ci znów chcieli się uniewinnić i wołali:

— Przecież ci dwaj, nad którymi się tak znęcalicie, zachowują się najspokojniej i najtrzeźwiej w świecie i nie wyrządzają nikomu najmniejszej krzywdy. Niejednego z was prędzejby się zdało zamknąć do kozy. Tak z obu stron padały coraz to ostrzejsze słowa, wobec czego Chrystyn i Wierny zachowywali się zupełnie milcząco. Od wymiany słów przyszło do wymiany kułaków i do formalnej bójki ulicznej.

Wydobyto teraz z klatki biednych cudzoziemców i zaprowadzono ich ponownie przed sędziów. wszak oni byli przyczyną świeżej awantury miejskiej. Jednak zamiast przesłuchać ich bezstronnie, obito ich jeszcze okrutniej, niż przedtem, skrepowano w żelazne łańcuchy i oprowadzono po mieście, aby wszystkim dać odstraszący przykład i aby przypadkiem nikt nie ważył się stanąć w ich obronie, lub przyłączyć się do nich.

Lecz że pielgrzymi roztropni zachowywali się zawsze spokojnie i znosili wszystkie niesłychane

i oburzające zniwagi cierpliwie i z łagodnością, przeto ten lub ów nie mógł oprzeć się wrażeniu, że cudzoziemcy sprawiedliwsi są, niż ich oskarżyciele. Rozumie się, że była to tylko znikająca mniejszość, która przejrzała i stanęła stanowczo po ich stronie, jednak i to wystarczyło, aby po-



budzić wrogów do tem większej wściekłości. Co raz to liczniejsze głosy odzywały się za tem, że jest najwyższy czas, aby tych buntowuszczyków wyprawić na tamten świat. Grożono im, że jeżeli ani kłatką, ani łańcuchami nie dadzą przywieść się do rozumu, to nie ma innej rady, ale będą musieli oddać swe życie. Już i tak zawinili bardzo,

wprawiając spokojny, niewinny targ w tak okropny zamęt, a jeżeli na domiar zuchwalstwa zaczynają ucziwych obywateli zarażać swemi głupstwami i przewracać im w głowie, to już przechodzi granice cierpliwości i trzeba chwycić się radykalniejszych środków.

Tymczasowo znów wsunięto ich do klatki i zamknięto im nogi w kłodę z groźbą, że muszą przygotować się na gorsze rzeczy. W tem położeniu przypomnieli sobie, co słyszeli od swego przyjaciela E w a n g e l i s t y. To dodało im niemałej otuchy. Wszak pełniło się tylko to, co przepowiedział. Czy nie rzekł także, że temu, który będzie musiał podstąpić śmierć, dostanie się lepszy los w udziale? Każdy życzył sobie w głębi duszy, aby ten los dostał się jemu.

Poruczywszy się wszechmądrej i łaskawej opiece Bożej, mogli spokojnie znosić swą dolę i czekać, co stanie się dalej.

Tymczasem wyznaczono termin na ponowną rozprawę sądową. Po wprowadzeniu oskarżonych przedłożono skargę. Była prawie tej samej treści, co przedtem, tylko w nieco zmienionej formie. Brzmiała mniej więcej tak:

— Oskarżeni wszczęli rozruch w mieście, zakłócili swawolnie miły pokój targowego życia i przerwali handel; uwikłali nawet pokaźną liczbę mężów w sieci swych zaraźliwych mrzonek i skło-

nili ich do jawnego nieposłuszeństwa wobec obowiązujących praw krajowych i wobec porządków miasta.

Na obronę przemówił W i e r n y :

— Nie możemy żadną miarą nazwać dobrem tego, co dzieje się wbrew woli Tego, który jest wyższy od najwyższych tej ziemi, choćby nie wiem ilu ludzi uznawało to za dobre. Prawda i słuszość muszą być po Jego stronie. Opierając się tym, którzy sprzeciwiają się Najwyższemu, mamy po swojej stronie prawo Boże. Rozruchów ani nie wszczynaliśmy, ani nie pragnęliśmy wszczynać. Jesteśmy ludźmi pokoju. Na sztukach zwodzenia nie znamy się wcale. Tylko pewna liczba obywateli, przekonawszy się, że jesteśmy ludźmi spokojnymi i niewinnymi, zmieniła swoje dotychczasowe usposobienie — i to jest wszystko. Zmiana przekonań nie jest przecież sama w sobie ani występkiem, ani nieszczęściem; można przecież i wyzbyć się przesądów, a nabrać lepszych przekonań. Tego chyba nikt nie potępi. Nie mogę naturalnie zaprzeczyć, że poddanym waszego księcia być ani nie mogę, ani nie chcę. Jest on wrogiem mego Pana. We wierze w mego Pana śmiem odważyć się stawić mu czoło.

Ogłoszono teraz, aby raczył zgłaszać się każdy, kto chce powiedzieć słowo w obronie zaczepionego tak bezczelnie księcia. Trzej mężowie zgło-

sili się natychmiast: Z a z d r o ś n i k, Z a b o b o n i L i z u ń. Wezwano ich, aby się wypowiedzieli, czy i jak dalece znają oskarżonego i co mogą powiedzieć przeciwko niemu na korzyść dostojnego księcia. Z a z d r o ś n i k pierwszy otrzymał słowo.

— Moi Panowie! — zaczął — znam już od dawna tego człowieka i chcę przed tym prześwietnym sądem złożyć zeznanie i, jeżeli potrzeba, stwierdzić je przysięgą, że...

Przewodniczący przerwał mu, aby odebrać od niego przysięgę. Po jej złożeniu Z a z d r o ś n i k mówił dalej:

— Moi Panowie! Ten człowiek jest pomimo pięknego swego imienia jednym z najnikczemniejszych ludzi, jakich tylko świat widział. Nie szanuje ani Księcia naszego miasta, ani naszego ludu; nic go nie obchodzą względy i uświęcone zwyczaje, nie umie nawet uszanować praw naszego kraju i narzuca jeszcze innym ludziom swoje buntownicze urojenia, które nazywa wiarą i poświęceniem i chce tymi banialukami otumanić wszystkich. I o zgrozo! Nie waha się twierdzić otwarcie, że chrześcijaństwo, a zwyczaje i życie M i a s t a P r ó - ż n o ś c i są sobie wręcz przeciwne i podobne do siebie tak, jak pięść do nosa, a temsamem, moi Panowie, potępia nie tylko nasz wielce uczciwy obrót handlowy, lecz i całe nasze miasto i nas samych

skazuje do piekła. Takich rzeczy nie puszcza się płazem.

— Czy Pan już skończyłeś? — zapytał sędzia.

— Nie jedno jeszcze mógłbym powiedzieć, ale nie chcę dłużej wstrzymywać innych Panów. Byłoby mi milej, gdyby inni świadkowie przyszli do słowa i złożyli swoje zeznania, a ja bym może pozwolił sobie wtrącić tu i ówdzie jakieś bliższe objaśnienie, lub uzupełnienie, o ile jeden, lub drugi punkt nie będzie dostatecznie wyświełtłony.

Poproszono pana Z a z d r o ś n i k a, aby tymczasem cofnął się na swoje miejsce, a głos zabrał pan Z a b o b o n, który po złożeniu przysięgi przemówił następująco:

— Moi Panowie! Oskarżony dość mi jest obcy; nie znam go, ani nie pragnę zapoznać się z nim bliżej. Jednak to pewna, że ten człowiek jest bardzo niebezpieczny. Wiem to z krótkiej rozmowy, którą wczoraj miałem z nim tutaj. Pomyślcie sobie, nie wstydził się powiedzieć, że nasza cała religia jest do niczego i że przed Bogiem nie ma najmniejszej wartości. Rzecz niesłychana! To chyba ma znaczyć, że wszyscy pójdziemy do piekła, że możemy spokojnie porzucić swoje nabożeństwa i przestać chodzić do kościoła, bo to nie warte funta kłaków. Więcej nie potrzebuję mówić.

Także L i z u Ń złożył przysięgę i rzekł:

— Moi wielce czcigodni Panowie i prześwietni Sędziowie! Znam tego draba już od dłuższego czasu; słyszałem od niego bardzo wiele nieprzyzwoitych i karygodnych rzeczy. Już nie raz, nie dwa dopuścił się zbrodni obrazy majestatu. Nietylko bowiem obrzucił oszczerstwem osobę naszego ukochanego księcia Beelzebuba, lecz także wyrażał się bardzo ubliżająco o jego przeznaczonych powiernikach i radcach, jakimi są panowie *Staryczek*, *Ciałosłuż*, *Buiny*, *Nadymalski*, *Lubieżnik*, *Szuja*, *Dusigrosz* i inni szlachetni panowie. Powiedział nawet, że gdyby wszyscy byli tejsamej myśli, co on, toby cała ta nasza szlachta musiała zebrać swoje manatki i wynieść się z miasta. Obelżywe i wyzywające słowa, które odważał się rzucać w oczy wszystkim mieszkańcom, skierowane są i przeciwko wam, prześwietni Sędziowie. Wszystkich was nazwał bezbożnikami. To wystarczy.

Sędzia *Dobrychbij*, który przewodniczył rozprawie, zwrócił się do *Wiernego* i zaczął:

— Ty odszczepieńcze, ty sekciarzu, ty zdrajco! Czy poznajesz teraz na podstawie świadectw tych szlachetnych mężów, coś ty za człowiek? Jeżeli jeszcze masz choć szczyptę rozumu, to sam możesz wymierzyć sobie wyrok.

— Czy śmiem powiedzieć kilka słów na swoje usprawiedliwienie?

— Milcz, gałganie jakiś! Jeszczebyś się chciał wykręcać sianem, co? Powinienbyś na miejscu wisieć. Lecz nie — żeby cały świat poznał, że jestem bezstronnym i sprawiedliwym sędzią, pozwolę ci jeszcze raz zabrać głos.

— Po pierwsze — rzekł *Wierny* łagodnie, ale stanowczo — pozwolę sobie odeprzeć zarzuty pana *Zazdrośnika*. Powiedziałem tylko, że wszystkie prawa, rozporządzenia i zwyczaje narodów, które sprzeciwiają się słowu najwyższego Króla, a chrześcijaństwo — to dwie nie dające się ze sobą pogodzić sprzeczności. Dowiedźcie mi, że ta zasada jest fałszywa, a chętnie odwołam.

Po drugie, do skarg, które wytoczył pan *Zabobon*, dorzucę tę uwagę, że co prawda powiedziałem, że do prawdziwej służby Bożej potrzeba wiary zrodzonej z Boga. Taka wiara powstaje i gruntuje się tylko na podstawie Bożego objawienia. Wszystko, co sprzeciwia się temu objawieniu, nie może mieć przed Bogiem znaczenia, choćby je w największej mierze miało przed ludźmi i choćby błyszczało pozorem prawdy.

Jeszcze po trzecie odpowiem krótko na wywód pana *Lizunia*. Czuję się zmuszony oświadczyć uroczyście tu na tem miejscu wszem wobec, że książę tego kraju razem z swoją przyboczną świtą i razem z wszystkimi dostojnikami, których wymienił pan *Lizuń*, lepiej przydałoby się piekłu,

niż temu biednemu miastu, któremu tylko przynoszą zagładę. Obrażających przezwisk, o jakie mnie posądzano, nie używałem i nie myślę używać. Polecam się teraz sprawiedliwości i miłosierdziu prześwietnego Sądu. Skończyłem.

Przewodniczący zwrócił się do grona sędziów przysięgłych i rzekł:

— Moi Panowie, widzicie oto sami tego człowieka, który spowodował tyle hałasu i niepokoju w mieście, słyszeliście obwiniające zeznania panów świadków, a teraz oto i ostatnie oświadczenie oskarżonego. Waszą jest rzeczą, uznać go winnym, lub niewinnym. Nie będzie jednak od rzeczy, jeżeli odświeżę w waszej pamięci niektóre ustawy naszego kraju, które w danym wypadku szczególnie potrzeba mieć na oku.

Za dni Faraona Wielkiego, który był uległym satrapą Najjaśniejszego naszego Władcy, wydane zostało prawo, na mocy którego należało wrzucić do rzeki wszystkich chłopców mnożącego się ludu odmiennej religii (2. Moj. 1.).

Za panowania Nabuchodonozora Wielkiego, który dorównywał potęgą Faraonowi, zatwierdzono prawnie rozporządzenie, ażeby każdego, który nie będzie w kornem uwielbieniu bił czołem przed złotym jego obrazem, wrzucono do rozżarzonego pieca (Dan. 3.).

Wreszcie ogłosił możny i szlachetny król Daryusz, że kto w oznaczonym czasie będzie się modlił do innego Boga, a nie do niego, zostanie wrzucony do jamy lwiej. (Dan. 6.) Ten zaś oto buntowuszczyk nie tylko przekroczył wszystkie te ustawy myślami, co byłoby już aż nadto karygodne, lecz także sponiewierał je słowem i czynem. Zaznaczam jeszcze i to, że Faraonowi rozchodziło się o środki zaradcze, nie zaś o ukaranie popełnionych występków. Tutaj zaś mamy przed sobą popełnioną już zbrodnię obrazy majestatu. Tę karze się śmiercią. Grono sędziów powstało z miejsc i usunęło się. W skład jego wchodził panowie: Ślepowiedz, Ladaco, Złośnik, Swawola, Niesłony, Hardzik, Wgórenos, Podżegacz, Fałszerz, Tygrysi, Światłowróg i Zawzięty.

Gdy zjawili się, wypowiedział każdy z nich swój wyrok.

— Ten człowiek jest sekciarzem; to widzi ślepy — zawyrokował Ślepowiedz.

— Precz z nim ze świata! — rzekł Ladaco z naciskiem.

— O tak — syknął jak żmija Złośnik. Nie mogę znieść jego widoku.

— Nie mogłem cierpieć go nigdy — dorzucił Swawola.

— I ja nie, gdyż potępia całe moje życie —
wycedził *Niesłony*.

— Powinien wisieć natychmiast, lepiej dziś niż
jutro! — domagał się *Hardzik*.

— To obdarty zacofaniec! To wstyd dla na-
szego oświeconego stulecia! — wymędrkował
Wgóręnos.

— Krew mi się burzy na jego widok — wrza-
snął do najwyższego stopnia rozdrażniony *Pod-
żegacz*.

— Szkoda dlań szubienicy. Zasłużył na coś
podlejszego — ryknął *Tygrys*.

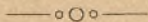
— Oczy mu wylupić i utopić! — radził *Świa-
tłowróg*.

— Choćby dawano mi cały świat, tobym prze-
cież nie chciał się z nim pojednać — mówił *Za-
wzięty*, zaciskając pięście. — Wszyscy zga-
dzamy się na to, że winien jest śmierci.

To też natychmiast zapadł wyrok śmierci na
Wiernego. Postanowiono odstawić go na tar-
gowisko, ażeby tam na postrach wszystkim uśmier-
cić go w najokrutniejszy sposób, na jaki tylko mo-
żna było się zdobyć. Przystąpiono natychmiast do
wykonania wyroku. Miasto całe zbiegło się gro-
madnie na miejsce stracenia. Osmagano go naj-
pierw biczem, potem obito pięściami, wpychano
noże w jego ciało, obrzucano go kamieniami, cięto

szablami, a wreszcie spalono na stosie. Tak zakończył *Wierny*. —

Poza tłumem ujrzałem wóz, zaprzęgnięty w parę śnieżnobiałych rumaków, który czekał na *Wiernego*. Natychmiast po straceniu zabrał go i uniósł z szybkością wiatru przez obłoki do bram Syonu, gdzie powitał go okrzyk tryumfalny zbawionych mieszkańców z dźwiękami niebieskiej muzyki.



XV. ROZDZIAŁ.

Ufny i Podszywański z towarzyszami.

Z powodu spóźnionej pory odroczoneo sprawę *Chrystyna* na później i odprowadzono go znowu do więzienia. Bóg jednak zrządził, że tym razem zdołał ująć z rąk wrogów i puścić się w dalszą podróż. Gdy już znacznie oddalił się od miasta, spostrzegł śpieszącego za sobą mężczyznę. Był to *Ufny*, na którego słowa i zachowanie się pielgrzymów zrobiły głębokie wrażenie. *Ufny* okazał szczere życzenie przyłączenia się do *Chrystyna*. Tak Pan umiał wypełnić lukę powstałą wskutek śmierci męczeńskiej *Wiernego* i wzbudzić z popiołów drugiego świadka prawdy. *Ufny* mógł nawet zapewnić *Chrystyna*, że

jeszcze kilku innych mężów nosi się z myślą opuszczenia miasta i pójścia za nim.

Tuż przed nimi szedł również pielgrzym, imieniem P o d s z y w a ł s k i. Gdy zrównali się z nim, zapytali go, skąd jest rodem i jak daleko pójdzie z nimi tą samą drogą. Odpowiedział, że pochodzi z miasta S z u m n o s ł o w i a i zdąża do niebieskiego miasta na górze Syon.

— Z S z u m n o s ł o w i a? — zapytał C h r y s t y n. To pewnie jest tam dużo pięknych rzeczy?

— Tak, niejedno.

— Czy wolno poprosić o imię Pańskie?

— Jesteśmy sobie wzajemnie obcy, lecz jeżeli Pan zgodzi się na moje towarzystwo, to bardzo mi będzie przyjemnie korzystać z tego zaszczytu. W przeciwnym razie będę musiał odbywać swą drogę samotnie.

— S z u m n o s ł o w i e jest, o ile sobie przypominam, miejscowością bardzo zamożną?

— A pewnie. Mam tam dużo bogatych krewnych.

— Czy śmiem prosić o kilka imion Pańskich krewnych?

— Jestem spokrewniony prawie z całym miastem. Do bliższych moich krewnych należą panowie C h o r a g i e w k a, M o d n i ś, F r a z e s o w i c z, którego przodkowie nadali imię temu miastu, potem także panowie G ł a d k i ś l i ż, D w u -

licy, Wszemurad, a wreszcie i mój własny brat cioteczny, a nasz przewielebny duszpasterz, pan Dwujęzyczny. Jestem jednym słowem człowiekiem wyższych sfer towarzyskich i panem całą gębą, a moje imię cieszy się w mieście bardzo wielką wziętością. Wprawdzie mój dziadek był tylko jednym z biednych wioślarzy, którzy posiadają właściwą sobie zdolność patrzenia w jedną stronę, podczas gdy łódź kierują w stronę przeciwną. I ja tej samej sztuce zawdzięczam to, żeś wyszedł na człowieka i żeś się czegoś dorobił w świecie.

— Czy masz Pan żonę?

— Tak jest; moja żona jest wszędzie mile widzianą i pochodzi z lepszego domu. Jej matka była rodzona z Uda w a l s k i c h. Żona moja jest też bardzo ukształcona i umie ze wszystkimi ludźmi dać sobie radę. Nasze religijne poglądy są wprawdzie odmienne nieco od tych tak zwanych stanowczych chrześcijan, ale tylko w dwóch drobnych punktach. Po pierwsze, nie sądzimy, żebyśmy musieli koniecznie i pod każdym warunkiem płynąć przeciwko prądowi, powtóre zważamy bacznie na to, czy z góry wieje wiatr pomyślny i ubieramy się w płaszcz religii wtedy, gdy tenże bogato wysadzony jest złotem i perłami i gdy promienieje w słońcu przychylności i poklasków ogółu.

Przy tych słowach wpadł Chrystyn na przypuszczenie, że jest to pan Podszzywalski z Szumnosłowa. Przestraszył się tem niemało i skinął znacząco na Ufnego, aby się miał na baczności przed nowym towarzyszem. Ufny rzucił zapytać się go otwarcie o imię, którego się przecież nie powinien wstydzić. Chrystyn więc zwrócił się doń i zapytał:

— Czy nie mylę się, jeżeli się domyślam, że mam zaszczyt z panem Podszzywalskim z Szumnosłowa?

— Tak się właściwie nie nazywam. Jest to tylko przezwisko, które nadali mi moi wrogowie. Lecz cóż robić? Nie masz prawego człowieka, któryby nie musiał znosić jakiejś hańby.

— Takie przydomki nie są najczęściej wyssane z palca. Czy Pan nigdy nie dał ludziom powodu do zmyślenia tego przezwiska?

— Nie, nie!

Najgorsze, co mógłoby może zrazić moich nieprzyjaciół, jest to, że dziwnym trafem poglądy moje dostrajały się jakoś zawsze do poglądów i do dążeń czasu, na czem sam wychodziłem korzystnie. Jeżeli tą drogą zyskałem majątek i uznanie ogółu w większej mierze niż inni, to w tem widzę tylko błogosławieństwo Boże. Nasz duszpasterz Dwujęzyczny nie napróżno akcentował zawsze z wielkim naciskiem słowa tekstu: Bądźcie

chytrzy, jak węże. Te słowa złotej prawdy głęboko utkwiły mi w sercu. Ludzie zaś złośliwi robią mi z tego zarzut i przekręcają te słowa tak, jakoby się chciał podszycać pod różne płaszczyki, stosownie do danych okoliczności.

— Jeżeli wolno mi być szczerym, to pozwolę sobie wyrazić Panu obawę, czy przydomek ten może bardziej nie jest Panu do twarzy, niżby Pan pomyślał.

— Jeżeli Pan tak łatwowierny, to na to niema rady; powiem tylko tyle, że Pan pozna mię lepiej, jeżeli zgodzi się dalej na moje towarzystwo.

— Jeżeli Pan chcesz nadal iść z nami, to Pan wbrew swej zasadzie będziesz musiał płynąć przeciwko prądowi. Pańska religia nie powinna zależeć od tego, jaki wiatr wieje z góry. Pan musi na wąskiej drodze zostać wiernie, bez względu na to, czy się na niej uśmiechają korzyści i sława, lub czy naraża na więzienie i śmierć.

— Któż wam dał prawo narzucania się na sędziów mojej wiary? Pozwólcie mi tylko iść z sobą, ale poza tem zostawcie mi mą wolność.

— To się nie da.

— Dla was chyba nie porzucę swoich starych wypróbowanych zasad. Jeżeli tak źle jesteście do mnie usposobieni, to pójdę sobie znowu samotnie. Może znajdzie się ktoś, co się chętnie zgodzi na moje towarzystwo.

To rzekłszy, P o d s z y w a l s k i zatrzymał się na miejscu. C h r y s t y n i U f n y pośpieszyli dalej. Jeden z nich obejrzał się za nim i ujrzał trzech ichmościów, którzy właśnie zeszli się z nim i oddawali mu na powitanie głębokie ukłony. Byli to starzy znajomi P o d s z y w a l s k i e g o , mianowicie Światowiec, Złoturad i Skąpiec. Siedzieli razem z nim na ławie szkolnej. Nauczycielem ich był niejaki pan Ł a p a j z dzielnicy targu Wielkie Zyski, rodem z hrabstwa Zdzierzyszał na północy. U tego nauczyciela wykształcili się w sztuce, jak dochodzi się do czegoś drogą gwałtu, podstępu, łaszenia się, kłamstwa lub też podszywania się pod płaszczyk świętości. Robili znakomite postępy, każdy wyniósł ze szkoły świadectwo z odznaczeniem i wkrótce mógł poszczycić się nawet stopniem doktora z kwalifikacją na posadę profesorską w tejże szkole.

Po wzajemnych ukłonach zapytał Złoturad:

— Cóż to są za mężowie, którzy idą przed nami?

— Jest to para oryginalnych świętoszków — odrzekł P o d s z y w a l s k i, — którzy chcą w swój własny sposób podróżować na Syon.

— Czemuż nie czekają, aż się złączymy z nimi? Przecież mamy ten sam cel.

— Rozumie się, że mamy, ale oni ci się tak wśrubowali i zakopali w swych osobliwych przy-

widzeniach, że dla nikogo innego nie mają najmniejszego wyrozumienia, że lekceważą i wyłączają ze swego towarzystwa i najpobożniejszych ludzi, jeżeli nie zgadzają się z nimi co do joty choćby w najdrobniejszej błahostce i jeżeli ich nie mogą przekabacić na swoją własną modłę.

— To nie dobry znak — zauważył Skąpiec. Nieraz czyta się o takich przesadnych pobożniakach, którzy w swych surowych i jednostronnych zasadach dla każdego mają tylko słowa potępienia i zawsze widzą źdźbło w oku bliźniego, ale nie baczą na balke w oku własnem. Bardzoby mię to zajmowało, w których punktach nie zgadzają się z tobą.

— W swym naiwnym uporze ubzdurali sobie, że należy zawsze pędzić przeciwko wiatrowi, ja zaś sędzę, że jest o wiele dogodniej kierować się nieco podług wiatru i podług zmian pogody. Oni chcą dla Boga narażać się na możliwie największe niebezpieczeństwa; ja zaś sędzę, że nie tylko jest wolno, ale nawet obowiązkiem każdego dbać także o samego siebie i umieć w tym celu wykorzystać każdą sposobność. Im zdaje się sprawiać przyjemność, gdy cały świat jest przeciwko nim, ja zaś o tyle jestem za religią, o ile na to pozwalają stosunki; zawsze przecież trzeba mieć na to wzgląd, w jakim czasie się żyje. Oni obstawają przy swej niezrozumiałej pobożności, choćby mieli ześć przy

tem i na żebraków, ja zaś myślę, że religia zyska na tem niemało, gdy będzie tego rodzaju, że będzie mogła przyjąć się i w kołach oświeconszych i wpływowszych, tak, aby i stojący więcej w oddaleniu mogli na pobożnych widzieć coś z błogosławionych jej wpływów.

— Brawo, kochany Podszyszowski! — rzekł Światowiec. — Rozumie się samo przez się, że niedojdą jest ten, który nierozumnie odrzuca od siebie, co ma i co wolno mu posiadać. Bądźcie chytrymi, jak węże — mówi Bilbia święta. Pocóż iść na deszcz, kiedy można poczekać pogody? Kto chce suszyć siano, ten przecież także, o ile się da, zważa na pogodę. Skrzętna pszczoła wyczekuje cierpliwie pomyślnej pory roku. Bóg spuszcza deszcz i każe świecić słońcu. Pocóż tu opierać się porządkowi Bożemu? Najlepsza religia jest ta, która nam zapewnia swobodne i hojne używanie błogosławieństw Bożych. Dla czegoż Bóg daje nam dobrą tego świata? Czy nie po to, abyśmy ich używali z wdzięcznością? Abraham i Salomon mieli religię, która im nie zbraniała zбогacić się, a Job mówi: I będzie Wszechmocny wybornem złotem twojem i srebrem i siłą twoją. (Job 22, 25.)

— Sądzę — rzekł Skąpiec — że rozwodzić się nad tą sprawą nie potrzebujemy dłużej. Jesteśmy wszyscy jednej myśli.

— Całkiem pewnie — dodał Złoturad. Kto nie uznaje ani Pisma św., ani rozumu — a oboje mamy po swojej stronie — ten naturalnie nie pojmuje wolności dzieci Bożych i Bożego błogosławieństwa, które idzie z nią w porze.

— Zostawmy to, drodzy bracia — prosił Podszywański. Jesteśmy wszyscy czterej pielgrzymami; ażeby zużytkować czas podróży i uchronić się od możliwych przygód, zastanówmy się nad następującem pytaniem:

Przypuśćmy, że na przykład duchownemu, albo kupcowi, uśmiechnie się jakaś dogodna sposobność polepszenia swego materyalnego bytu, ale tylko w ten sposób, że przynajmniej pozornie okaże większą gorliwość w pewnych punktach życia religijnego, o które się przedtem nie dużo troszczył. Czy wolno mu bez poszkodowania swego sumienia i nadszarpnięcia swej czci chwycić się tych środków?

— O, już widzę — podchwycił Złoturad — do czego zmierza twoje pytanie. Jeżeli pozwolicie zabrać mnie pierwszemu głos w tej materyi, to będę się starał ująć moje myśli w krótką i węzłowatą odpowiedź.

Weźmy pod uwagę, dajmy na to wypadek, że jakiś kaznodzieja, człowiek nieposzlakowanego charakteru, posiada tylko bardzo szczupłe dochody, lecz oto otwiera się jakaś tłusta posada,

a ów duchowny miałby większe widoki otrzymania jej, gdyby odtąd gorliwiej jeszcze dołożył się do pracy, niż przedtem, gdyby kazał częściej i z większem ogniem i gdyby trochę zmienił niektóre swoje poglądy i dostosował się więcej do sposobu myślenia zboru. Czy wolno mu tak postąpić? — Nie widzę najmniejszego powodu, dla czegoby nie.

Gdyż po pierwsze: Pragnienie większych dochodów nie jest z pewnością niczem bezprawnem. Nawet można powiedzieć, że Boża opatrność zsyła mu tę dobrą sposobność. Dlaczegożby ze swej strony nie miał wszystkiego uczynić, aby ją wyzyskać?

Po wtóre: Zamiar ten powiększenia swoich dochodów robi go w służbie czynniejszym i gorliwszym, a przeto miłszym Bogu i pożyteczniejszym ludziom.

Po trzecie: Jeżeli usiłuje dopasować się do sposobu myślenia i zdolności pojmowania zborowników, odstępując dla nich od niektórych swoich zasad, to tem daje dowód, że posiada wysoki stopień zdolności zaparcia samego siebie, że jest mężem bardzo wyrozumiałym i wspańałościwym i że z obu tych powodów tem lepiej nadaje się na kaznodzieję.

Po czwarte: Jeżeli ma więcej dochodów, to

może na większą skalę rozwinąć swoją dobroczynność.

Na tem musi mu dużo zależeć.

Ze wszystkiego tego wyciągam po piąte ten wniosek, że nie powinno się od razu potępiać jako skąpca duchownego, który chce szczupłe swoje dochody zmienić na większe. Boć przecież nie ma na oku nawet własnej swojej korzyści. Kształcąc się i wzmagając swoją pilność, staje się tem pożegnańszym i urodzajniejszym dla zboru. Wielu przeto odniesie z tego korzyść, nie mówiąc już o rodzinie, którą przecież także trzeba zaopatrzyć.

Drugim wypadkiem, który miałeś na myśli, jest kupiec, który ma kiepskie zyski, ale mógłby rozszerzyć pole zbytu i pomnożyć liczbę odbiorców, lub pojąć bogatą małżonkę, gdyby tylko spożył. I w tem nie widzę nic nieprawego, gdyż 1) wszelka pobożność jest cnotą; 2) pojąć bogatą żonę, albo zwiększyć swój odbiór, także nie jest grzechem; 3) osiągnie swą pobożnością, a więc dobrym środkiem coś dobrego, bo dobrą żonę i dobry zysk, i w dodatku i sam się przy tem polepszy.

Tymi wywodami trafił pan Złoturad wszystkim do serca i zyskał niepodzielne uznanie. Przyjaciele byli tak mocno przekonani o niezbitej prawdzie swych twierdzeń, że w nastroju pełnem

zwycięstwa powzięli zamiar, zabrać się do Chrystyna i Ufnego, którzy nie zniknęli im jeszcze z oczu i wyłuszczyć im te święte prawdy. Zawołali na nich. Obaj przystanęli, czekając na ich spotkanie. Że zaś Podszywański już przedtem starł się był z oboma pielgrzymami w dość ciętej dyspacie, przeto uznano za stosowniejsze, aby nie zaostreżać sprawy i nie nalewać oliwy do ognia, dać głos komuś innemu z nich, n. p. Światowcowi. Po krótkiem pozdrowieniu i wzajemnem przedstawieniu się streścił Światowiec w krótkości sprawę, o którą chodziło, prosząc ich o wypowiedzenie swych poglądów, za co zgóry składa im serdeczne podziękowanie.

— Sądzę — odpowiedział Chrystyn, że nie potrzeba wiele światła, albo namysłu, aby zbić cały tuzin podobnych twierdzeń. Już to nie jest w myśl Chrystusa, że się Go naśladuje dla chleba. (Jan 6, 26.) A jeżeli brzydzi się takimi naśladowcami, to o ileż musi być Mu obrzydliwszem robienie zarobku z pobożności, (1. Tym. 6, 5.), albo środka do używania świata. Tylko poganie, obłudnicy, zdrajcy i czarownicy mogą tak myśleć.

1) Poganie, gdyż na przykład Hewici, dali się swego czasu włączyć przez obrzezkę do ludu Bożego, aby tylko posiąść bydło i córki Izraelskie. (1. Moj. 34, 20—24.)

2) Obłudni faryzeusze, którzy swą żądze

i zachłanność na domy wdów ukrywali pod maską długich modlitw. (Łuk. 20, 46—47.)

3) Zdrajcy, gdyż Judasz okazywał miłość Jezusowi i pocałował Go, ale tylko aby zapełnić swą sakiewkę. (Łuk. 22, 48.) Zginął jednak jako syn zatracenia.

4) Czarownicy, gdyż Szymon czarnoksiężnik pragnął Ducha św., aby Nim zyskać sobie sławę i dorobić się grosza. (Dzieje 8, 19—22.)

Wszyscy wymienieni ludzie hołdowali temu samemu pojmowaniu religii. Nie mogę również oprzeć się tej myśli, że ludzie, którzy pobożnieją dla ziemskich zysków, dla tychże zysków równie prędko światowieją i odrzucają maskę pobożności, gdy jest im już niepotrzebna. Judasz tak samo dla świata sprzedał swego Chrystusa i swą pobożność. Jeżeliście, co bardzo przypuszczam, rozwiązali w ten sposób tę kwestyę, to takie rozwiązanie mogę nazwać tylko pogańskim, obłudnem, i szatańskim. Mówię dla tego tak ostro, aby was uchronić od straszliwego końca.

Tymi słowami czterej ochotnicy tak zostali przyparci do muru, że nie wiedzieli, jak usta otworzyć. Stali tylko bez ruchu, patrząc na siebie w milczeniu. Ufny poparł trafną odpowiedź Chrystyna i — znów nastąpiło kłopotliwe milczenie. Podszewalski potem chciał się jeszcze coś wykręcać, ale nie mógł się jakoś nijak

wyjęzyczyć i musiał się cofnąć ze swoimi towarzyszami. Odniechciało im się nazawsze zaczepić naszych dwóch pielgrzymów i towarzyszyć im w podróży.

W dalszej drodze odezwał się Chrystyn do Ufnego:

— Jeżeli ci ludzie już teraz nie mogą ostać się przed ludzkim sądem, jakże potem będą mogli ostać się przed wyrokiem Bożego sądu? Jeżeli przed kruchymi naczyniami zapominają języka w gębie, to jakże będą mogli spierać się z Bogiem, który jest ogniem trawiącym?

Droga, którą pielgrzymi podążyli dalej, wprowadziła ich na wdzięczną polanę, zwaną Spoczynek, w której owił ich chłodzący wietrzyk i w której zrobiło im się bardzo miło na duszy. Polana była jednak bardzo ścieśniona; minęli ją w zanedo krótkim czasie. W miejscu, gdzie droga opuszcza polanę, wznosi się nieco na uboczu mały pagórek, imieniem Skarbiec, w którym znajduje się kopalnia srebra. Niejeden pielgrzym dał się zwabić z drogi, aby obejrzeć sobie ten osobliwy pagórek, gdyż czegoś podobnego nikt nigdy nie widywał na drodze. Na nieszczęście, przechodnie ci, zbliżając się zanedo do szybu i wglądając weń z pożądliwą ciekawością, ginęli najczęściej marnie, już to, że grunt zwodniczy usuwał im się z pod nóg, już to wskutek odurzających wyziewów, uno-

szących się z kopalni. Jedni wpadali na łeb na szyję do głębiny, że stawali się kalekami na całe życie.

Na drodze po stronie pagórka stał Demas, który w najsprawniejszy i najdawniejszy sposób starał się zwracać pielgrzymom uwagę na tę rzadkość niezwykłą. Wabił także uprzejmie i nalegał na naszych podróżnych i wołał:

— Pójdźcie, pokażę wam coś!

— Cóż mógłbyś nam pokazać, coby było tak ważne, żebyśmy dla tego mieli opuścić ważką drogę? — zapytał Chrystyn.

— Jest tu kopalnia srebra, w której z niewielkim trudem można sobie napchać niem pełne wory — zapewniał chytry Demas.

— Pójdź, popatrzymy się! — proponował Ufny.

— Za nic w świecie! — odparł Chrystyn stanowczo. Słyszałem więcej razy, ilu pielgrzymów zginęło tu marnie. Te skały są zresztą tylko łapką na tych, którzy ich szukają. A chociażbyśmy i wyszli szczęśliwie stamtąd, obciążeni kupą srebra, czyż ono nie obciążałoby nas najwięcej w podróży? Nie prawda, Demasie, to miejsce jest niebezpieczne?

— Właściwie tego nie można powiedzieć, może tylko dla bezmyślnych i nierozumnych ludzi — rzekł Demas, rumieniąc się.

— Nie będziemy ruszali się z drogi, ani kroku.

— Radbym tylko wiedzieć, — rzekł Ufny — co robi Podszywański, gdy pójdzie tędy i usłyszy to zaproszenie.

— Według swych zasad prawdopodobnie nie odrzuci zaproszenia i pójdzie w pułapkę.

Demas zapraszał ponownie:

— Czy nie zechcecie pójść i zobaczyć kopalni?

Ale Chrystyn odparł:

— Demasie, jesteś niebezpiecznym wrogiem królestwa Bożego. Sam jesteś potępiony wyrokiem Króla-Sędziego, gdyż zboczyłeś z drogi i uniłowałeś świat na nowo. (2. Tym. 4. 10.) Cemuż innych chcesz przywieść do podobnego potępienia? Jeśli zboczymy z prawej drogi, to z pewnością usłyszysz o tem nasz Król i będziemy musieli stanąć przed Nim ze wstydem, zamiast z radością.

Demas wołał raz jeszcze i zapewniał:

— Czekajcie tylko, przecież i jam chrześcijaninem i waszym bratem. Czekajcie tylko troszkę, a pójde także z wami.

— Jakże się nazywasz? — zapytał Chrystyn. Przecież nie nazwałem cię fałszywie?

— Tak, nazywam się Demas i jestem synem Abrahama.

— Więc jednak cię znam. Nie prawda, jednym z przodków twoich był Gchazy, a ojcem twoim

był Judasz? Wstępujesz wiernie w jego ślady i bardzoś się nań podał. Prowadzisz dzieło szatana, zwodząc innych do zguby. Czy nie wiesz, że Gchazy został ukarany trądem, (2. Król. 5, 20—27) a ojciec twój, Judasz, powiesił się, jak zdrajca? (Mat. 27, 5.) Uważaj, żebyś i ty nie skończył podobnie.

Tymczasem i Podszyswalski z towarzyszami nadeszli znowu bliżej. Zwieść ich z drogi — było dla Demasa tylko igraszką. Pobiegli za nim zaraz za pierwszym jego skinieniem. Co się z nimi stało potem, czy wpadli do szybu, gdy spozierali weń z brzegu, czy zadusiły ich kopalniane gazy, albo czy też wydarzyło im się co innego, o tem nie wiem nic pewnego. Wiem jednak, że nie widziano ich już nigdy na wązkiej drodze.

Uwagę pielgrzymów zwróciła teraz na siebie osobliwa postać, stojąca tuż przy drodze. Podobna była do skamieniałej postaci niewieściej. Obejrzeli ją uważnie od stóp do głów, lecz nie widzieli zrazu, co z nią począć. Wreszcie po dokładniejszem badaniu odkrył Ufn y na czole jej jakieś starożytne nieczytalne dlań pismo. Zawołał swego uczonego towarzysza, który po kilkakrotnem przestudyowaniu liter wyczytał słowa: „Pamiętaj na żonę Lotową“. (Łuk: 17, 32.) Wiedzieli teraz, że stoją przed słupem solnym, w który została przemieniona żona Lotowa, której serce nie mogło się oderwać od

bogatego mienia zostawionego w Sodomie. (1. Mojż. 19, 26.) Ten widok skierował ich rozmowę na poważne tory.

— Pomnik ten — rzekł Chrystyn — uirzeliśmy w samą porę i jest wyraźną odpowiedzią Boga na zaproszenie Demasa. Czyż nie napomina nas do podwójnej wdzięczności za to, że nie padliśmy ofiarą jego ponęty? Tyś, bracie kochany, był bardzo za tem, aby przejść do niego. Czyż nie zasłużylibyśmy potem na to, aby spotkał nas los tej kobiety i abyśmy również byli postawieni na przestrożę dla potomnych?

— Boli mię bardzo, że mogłem być tak nierozsądny. Jest to cudem łaski, że i ja nie skamieniałem, jak owa żona Lotowa. Czemże bowiem różni się jej grzech od mojego? Ona tylko zwróciła oczy poza siebie, a ja byłem skłonny do zboczenia znacznie w bok. Wstydzę się, że się tak zblamowałem.

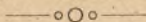
— Weźmy sobie do serca to, cośmy tu widzieli jako ważną przestrożę na przyszłość. Ta niewiasta uszła sądu, gdyż nie dotknęło ją zniszczenie Sodomy, a przy tem jednak jeszcze nie ocalała.

— I ja chcę zapamiętać to sobie. Nie pojmuję jednak, jak może Demas prowadzić swe szatańskie rzemiosło tak spokojnie, mając tę solną postać ciągle przed oczyma, tem więcej, że ona

tylko obejrzała się za skarbem, on zaś wydobywa go nawet z kopalni.

— W istocie jest to niepojęte; widać, jak serce ludzkie może się zatwardzić. Takich ludzi najlepiej możnaby porównać do złodziei, którzy kradną jeszcze w oczach sędziego i pod szubienicą. Jeżeli Sodomczyków spotkała za ich grzechy tak ciężka kara, że cały ich rajski kraj został zniszczony ogniem i siarką, to ci, którzy wobec tak odstrasżających przykładów grzeszą uporczywie, odniosą chyba tem cięższy sąd.

— O dziękujmy Bogu jeszcze więcej, niż dotąd, za Jego łaskę, bójmy się Go i pomnijmy zawsze na żonę Lotową, — dokończył rozmowę Ufny.



XVI. ROZDZIAŁ.

Zamek Wątpliwości.

W dalszej drodze przyszli pielgrzymi nad uroczy strumień, który król Dawid nazywa strumieniem Bożym, (Psalm 65, 10.) a Jan czystym strumieniem żywej wody. (Objaw. 22, 1.) Droga ich wiała się przez pewien czas wzdłuż brzegu strumienia. Aż miło było iść tędy; pielgrzymi pokrzepiali się jasną i świeżą wodą ze strumienia, która była tak rozkoszną, że na sam jej widok

robiło się mile w duszy. Oba brzegi zdołała zieleni drzew, to umajonych wonnem kwieciem, to uginających się pod ciężarem kosztownych owoców, które wyzierały z pośród liści o sile leczniczej. Po obu stronach strumienia zieleniły się łąki, obsiane liliami i kwieciem, kwitnącym przez cały rok. Tutaj mogli położyć się i odpocząć, by znów dalszą drogę odbywać po miękkiej murawie. Kilka dni trwała ta piękna podróż; nic dziwnego, że w drodze i podczas odpoczynków wznosiła się niejedna pieśń dziękczynna przed tron dobrego Pasterza, który wprowadził ich na tak śliczne błonie i do żywych wód. (Psalm 23, 2.) Nie małą sprawiło im to boleść, gdy po kilku dniach odbiegła od strumienia ich droga, sami zaś nie śmieli opuścić jej, choć teraz wydawała im się tak szorstką i kamienistą, gdyż nogi ich nieco zdelikatniały na murawie. Zniechęceni zapragnęli wygodniejszego chodnika.

Wkrótce ujrzeni z lewej strony drogi powabną łąkę i kładkę, która wiodła na nią przez przykopę. Łąka ta nazywała się *Z b o c z y s k a*. *C h r y s t y n* rzekł do swego towarzysza:

— Jeżeli łąka ta ciągnie się wzdłuż naszej drogi, to moglibyśmy sobie zboczyć na nią, a szło by się nam o wiele wygodniej.

Aby się rozejrzeć bliżej, przeszedł kładkę i spostrzegł, że jak daleko okiem sięgnąć, łąka

przylegała do gościńca, a nawet jej pośrodkiem wiodła ścieżka, do niego równoległa.

— Droga ta jest zupełnie po mojej myśli — rzekł Chrystyn. — O piękniejszej nie moglibyśmy ani marzyć. Jakże dobry jest nasz Pasterz! Pójdź, kochany bracie, przejdziemy sobie na nią!

— Ale czy nie boisz się, że ścieżka ta mógłaby odwiedzić nas od prawego gościńca?

— To jest bardzo nieprawdopodobne. Przypatrzyć się przecież, czyż nie biegnie wzdłuż naszej drogi?

Ufnym dał się nakłonić i przeszedł kładkę za swoim towarzyszem. Podróż po miękkiej murawie była dla pielgrzymów prawdziwym odpoczynkiem. Po pewnym czasie ujrzeli przed sobą śpieszącego mężczyznę — nazywał się Pewny. Zapytali go, dokąd prowadzi ta ścieżka.

— Do niebieskiego miasta — brzmiała pewna odpowiedź.

— Czyż nie mówiłem tego? — rzekł z zadowoleniem Chrystyn. — Teraz jesteśmy bezpieczni.

Szli sobie dalej ochoczo w chłódki wieczornym; ściemniało się jednak coraz bardziej. Zapadła wreszcie tak czarna noc, że stracili z oczu swego poprzednika. Aż tu nagle rozległ się głuchy łomot. Tknięci złem przeczuciem, zawołali:

— Cóż to tam?

Odpowiedzią był jęk, który wkrótce zamilkł.

Pewny, który szedł przodem, zmylił drogę i wpadł w głęboki dół, wykopany naumyślnie przez zarządcę łąki, aby węń łapać próżnych i powierzchownych półgłówków. Pielgrzymom zrobiło się jakoś niedobrze. Ufny dopytywał się:

— Gdzieśmy to zaszli?

Chrystyn milczał. Nie mógł teraz oprzeć się tej strasznej myśli, że zabłądzili, a winowajcą był on. Na domiar złego lunął deszcz strumieniami, pioruny ryknęły, a obłoki zaczęły rozrywać błyskawice — zaszalała straszna burza.

— Ach, czemuż nie zostałem na prawej drodze? — wzdychał Ufny.

— Któżby pomyślał, że ta urocza ścieżka jest zwodnicza?

— Już od początku miałem jakieś niedobre przecucie; odważyłem się wyrazić nieśmiało swoją obawę, ale ponieważ jesteś starszy, uspokoiłem się i zaufałem ci.

— Czy możesz mi przebaczyć? O, jak ciężko mi, że cię sprowadziłem na błędną ścieżkę i naraziłem na tak straszne niebezpieczeństwo!

— Uspokój się, Chrystynie, już ci dawno przebaczyłem; wszak i ja nie zupełnie jestem czysty od winy. Pewnie i to będzie służyło nam ku dobremu.

— Dzięki ci serdeczne. Jesteś bardzo pobłażliwym przyjacielem. Lecz dłużej nie śmiemy się tu zatrzymywać; musimy się wracać coprędzej.

— Pozwól mi pójść przodem.

— Nie, jam zawinił, żeśmy zbłądzili i nie mogę puścić cię naprzód, boby potem ciebie pierwszego bezwinnie mogło spotkać jakieś zło.

— Boję się, żebyś prędzej mógł potknąć się, albo coś przeoczyć, bo jesteś bardzo zmiészany i rozdrażniony.

Pielgrzymi musieli doznać tego do syta, że łatwiej jest zejść z prawej drogi, niż odnaleźć ją, gdy się zbłądziło. Wody wezbrały, droga bardzo oślizła, ciemności zaległy coraz grubsze, podróż była coraz niemożliwsza. Pomimo wielkiej przeczności nie udało im się odnaleźć wśród nocy owej kładki, po której zeszedli na łąkę. Zatrzymali się na ostatku w miejscu więcej osłoniętem, ażeby przeczekać burzę. Lecz ponieważ byli niezmiernie wyczerpani, zmorzył ich twardy sen.

Niedaleko od ich legowiska stał zamek, zwany Wątpliwości, własność i mieszkanie olbrzyma, nazwiskiem Przygnębiciel. Spali, nie wiedząc o tem, na jego ziemi. Każdego ranku chadzał zwykle olbrzym na pole, aby obejrzeć swą posiadłość. Podczas takiego spaceru zdybał obu pielgrzymów, pogrążonych w twardym śnie. Zbudził ich, huknąwszy im gwałtownie w same uszy:



— A wy skądże, opryszki? Czego tu chcecie?
To moja posiadłość. —

Drżąc w strachu, odpowiedzieli pokornie, że
są pielgrzymami i że zgubili drogę.

— Wyście targnęli się na mój majątek, zniszczyliście i zdeptali moją trawę — ryczał olbrzym. Czekajcie jeno, ja was tu nauczę tłoczyć i wylęgiwać się na cudzych łąkach. Marsz naprzód! Pójdziecie ze mną.

O oporze nie można było ani myśleć. Nic też nie mogli powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, gdyż oskarżało ich własne sumienie.

Olbrzym wpędził ich do zamku i wrzucił bez ceregieli w ciemne, szkaradnie cuchnące więzienie. Bez kawałka chleba, bez kropli wody i bez promyczka słońca, leżeli tu przez kilka dni. Musieli tak biedować, a nikt ani się nie zapytał o nich. To opłakane położenie przygniatało Chrystyną podwójnym ciężarem, bo jemu oprócz tego, co znosili obaj, dojmowało jeszcze uczucie winy. Żona olbrzyma, Zgryźliwa, której małżonek opowiedział całą sprawę, radziła mu ochłostać więźniów, co wlezie. To przypadło mu odrazu do gustu. Urznął sobie potężnego laskowca, wskoczył do więzienia i zaczął więźniów okładać nim z taką bezwzględnością, żeby i najsurowszy człowiek wobec psa najpodlejszego nie zdobył się na takie okrucieństwo. Gdy zziąjany wysapał się nieco, rozpoczął na nowo swe dzieło i walił jeszcze silniej. Bezbronni zdani byli całkiem na jego łaskę i niełaskę. Nie mogli ani się ruszyć, tem mniej stawiać choćby słaby opór. Gdy wyszedł z więzienia, mogli

tylko wic się w swych boleściach i jęczeć nad swą rozpaczliwą dolą.

Następnego wieczoru musiał olbrzym znowu zdać swojej żonie sprawę z tego, co jest z jego więźniami. Gdy usłyszała, że jeszcze są przy życiu, radziła mu, aby nagnał im strachu, odjął wszelką nadzieję polepszenia losu i wreszcie nakłonił ich, żeby sami odebrali sobie życie.

Olbrzym punktualnie zastosował się do jej rady, poszedł do nich następnego poranku, a widząc, że jeszcze bardzo cierpieli od wczorajszych razów, zapewniał ich z miną szyderczą, że o ucieczce niema ani mowy, że będzie wymyślał coraz to nowe katusze, aby im obrzydzić życie. Chciał dać im się domyślić, że jest tylko jedno wyjście z tego położenia, mianowicie, żeby sami położyli koniec swojemu życiu. Położył obok nich nóż, stryzynek, strzelbę i truciznę, potem chciał wyjść. Gdy jednak zamiast usłuchać jego rady, odważyli się prosić go o wolność, wpadł w taką wściekłość, że byłby ich udusił, gdyby nagle nie był dostał zawrotu głowy i gdyby jego ręka równocześnie nie była opadła bezwładnie.

Takich uderów epileptycznych dostaje często olbrzym Przysnę biciel, gdy trafi go ciepły promień budzącej się otuchy do życia. Wywłókł się, kulejąc, a więźniowie znów zostali zostawieni samym sobie i siedzieli w milczeniu.

Chrystyn przerwał milczenie i rzekł:

— Bracie, cóż teraz pocniemy? Tak dłużej nie może być! Trapi mię myśl, której ledwie mogę się oprzeć, że grób tysiąc razy byłby przyjemniejszy, niż ta straszliwa pieczara. Jak tam słodko, jak



tam cicho! Zgiełk i burze życia nie zamąca snu w grobowej komórcie. Rozumiem dobrze, że święci mężowie, jak Job (7, 5.), Jeremiasz (20, 14—18.) i inni życzyli sobie śmierci.

— Położenie nasze istotnie jest rozpaczliwe. Śmierć byłaby lżejszą, niż te męczarnie, ale po-

mnij na to, że nasz Król powiedział: Nie zabijaj! Nie śmiemy nikogo mordować, a samobójstwo jest jeszcze o wiele gorsze, niż morderstwo. Morderca tylko zabija ciało drugiego, samobójca zaś zabija swoje ciało i duszę śmiercią wieczną. Wspomniałeś z takim utęsknieniem o pokoju grobowym, lecz czyś zapomniał o piekle, do którego mordercy pójdą z pewnością? Mężobójca nie ma żywota wiecznego w sobie zostawającego (1. Jan 3, 15.). Olbrzym *P r z y g n ę b i c i e l* też nie jest ani wszechmogący, ani wieczny. O ile wiem, umknęło z jego rąk już wielu ludzi, których trzymał u siebie przez dłuższy, lub krótszy czas. Bóg jest wszechmogący. Może on olbrzyma albo uśmiercić, albo ubezwładnić go silniejszym udarem. Jestem gotów wierzyć, choćbym nic nie czuł i czekać na dogodną sposobność, aby uwolnić się z wytężeniem wszystkich sił z jego rąk.

Właściwie mielibyśmy już wcześniej wykoryzystać lepiej dogodne chwile, gdy olbrzym był bezwładny. Lecz miejmy tylko cierpliwość; godzina wyzwolenia musi wybić kiedyś. Ale nie targajmy się na własne życie. Te słowa dodały i *C h r y s t y n o w i* więcej otuchy.

W dzień później przyszedł olbrzym znowu, aby widzieć, czy więźniowie usłuchali jego rady. Znalazł ich jeszcze, ku wielkiemu zdziwieniu swemu, przy życiu. To było, rozumie się, wszystko, gdyż

wskutek długotrwałego postu i upływu krwi pozbawieni byli sił i nie byli zdolni do niczego. Ledwie tylko dychali. To jednak wystarczyło, aby doprowadzić olbrzyma do wściekłości w najwyższym stopniu. Oto odważyli się nic sobie nie robić z jego pogroźek.

— Wy krnąbrne, uparte pały — krzyczał — zagrzeję ja wam tak, że będziecie musieli przeklinać dzień waszego narodzenia. To mówiąc, zatrzasnął drzwi.

Pielgrzymi przełękli się okropnie i drżeli na całym ciele. Zwłaszcza Chrystyn, który omdlał zrazu, a potem nie mógł już pokonać w sobie wstrętu do życia.

Ufny pocieszał go uprzejmie, lecz poważnie.

— Czyż nie pamiętasz, kochany bracie, na swą dawniejszą dzielność? Zmogłeś Apollyona, wyszedłeś zwycięsko z wszystkich strachów Doliny Cienia Śmierci, przebyłeś już tyle mokołów, trwóg i bied. Przypomnij sobie tylko, jak dzielnie trzymałeś się w Mieście Późności; nie bałeś się ani więzów ani śmierci. Dlaczegoż teraz tracisz wszelką nadzieję? Czemużby Bóg nie umiał wydobyć nas właśnie z tego ucisku? I jam w tem samem położeniu, co ty, a jestem z natury od ciebie słabszy i bojaźliwszy. I jam zbity do krwi, jak ty, muszę pościć tak samo, jak ty, siedzę w cie-

mności i smucę się, jak ty. Musimy ćwiczyć się w cierpliwości. Gdybyśmy teraz mieli porzucić wiarę, toby to była szkoda, która nie dałaby się powetować ani we wieczności. Nie, tylko nie to!

Wieczorem musiał olbrzym przyznać swej ciekawej żonie, że się jeszcze nie uporał z więźniami. Mówił, że są to uparte kozły, które przenoszą nędzę nad śmierć. Podsunęła mu jeszcze jedną radę:

— Zaprowadź ich na podwórze zamkowe i pokaż im kości i czaszki tych, którycheś już pozbawił życia. Powiedz im, że taki jest ich los, że w najbliższym czasie rozszarpiesz ich w kawałki. Małżonek, niewolniczo uległy i posłuszny swojej uwielbionej połowicy, postanowił wypełnić jej zlecenie co do joty. O świcie następnego poranka wyprowadził więźniów na podwórzec zamkowy i rozwinął wymownemi słowy przed nimi w jaskrawych przesadnych barwach przejmujące grozą historię swych bohaterskich nadludzkich czynów, których dokazał na tych oto słabych ludziach, którym należały te czaszki, przygnębiając ich takim zwątpieniem, że sami porywali za stryczek, albo w jakikolwiek inny sposób pozbywali się własnego życia. Nawet i najpobożniejsi nie mogli się przed nim obronić. Kto był upartszy, tego rozszarpywał we dwoje i rzucił w głębie. A z pewnością oni nie będą tymi pierwszymi, z którymi

się nie potrafił uporać. Po takiej lekcyi wpędził ich znowu batem do więzienia.

I znów leżeli w okropnej ciemnicy, biadając nad swą niedolą. Za radą żony, która przypuszczała, że więźniowie żyją w nadziei, że ich ktoś wyratuje, lub mają wytrychy, postanowił olbrzym zaraz nazajutrz przeszukać ich starannie.

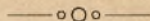
Więźniowie o północy jakoś nabrali otuchy i zaczęli się modlić żarliwie i z wiarą. Modlili się tak aż do świtu. Tuż przed brzaskiem odezwał się Chrystyn wśród modlitwy:

— Ach, cóż też ze mnie za ślepy osioł! Męcę się tu w tej ciemnej norze, a mógłbym być wolny, jak ptaszek. Mam przecież klucze w kieszeni, klucze obietnicy, które na pewno otworzą każde drzwi w zamku.

— To wyjmujże je czempredzej i próbuj! — wołał radośnie Ufn y. I w istocie, za pierwszym obrotem klucza, otwierały się drzwi jedne za drugimi z wielką łatwością. Tylko z ostatnią żelazną bramą poszło trochę trudniej. Gdy wreszcie odskoczyła zasuwą, zaskrzypiały zawiazy tak głośno, że się aż olbrzym obudził. Wstał co prędzej, aby ich dopędzić, ale dostał tak silnego napadu, że zwałił się z nóg i nie mógł ruszyć się z miejsca.

W blasku jasnego słońca odszukali pielgrzymi swą prawą drogę z łatwością. Tu już olbrzym tem mniej mógł im szkodzić, gdyż leżała poza

obrębem jego władzy. Gdy przechodzili nieszczęsną kładkę, rozważali, czyby nie dało się jakoś innych uchronić od podobnego losu. Wreszcie — co uznali za najodpowiedniejsze — postawili słup i przybili na nim tabliczkę z napisem: „Tą kładką idzie się do zamku okrutnego olbrzyma Przygnębiciela, który gardzi Królem Syonu i czyha na życie pielgrzymów.“ Tablica ta nie jednemu oddała już wielką przysługę.



XVII. ROZDZIAŁ.

Wzgórza Urocze.

Jako najbliższy cel podróży ujrzeli pielgrzymi przed sobą Wzgórza Urocze, te same, które wskazano im już w pałacu „Pięknym“. Weszło kroczyli w górę przez ogrody i winnice, pośród kwiatowych klombów i wodotrysków. Ze świeżych źródeł gasili swe pragnienie, kąpali się w przejrzystych rzekach i spożywali różne owoce. Na wyżynach, tuż podle drogi, ujrzeli pastuszków ze swymi trzodami. Pielgrzymi podeszli do nich i pytali się, komu to wszystko należy.

— Cały ten łańcuch wzgórz — odrzekli pastarze — nazywa się krajem Immanuela. Jemu należą i te trzody owiec. Wykupił je Swem wła-

snem życiem. Ze Swojego zamku na Syonie może przejrzeć cały ten kraj dokoła.

— Więc jesteście tutaj na prawej drodze do Syońskiego miasta? — zapytał Chrystyn.

— Tak jest.

— Czy daleko jeszcze do Syonu?

— Za daleko dla każdego, kto nie chce wejść tam z całą usilnością.

— Czy droga bardzo niebezpieczna?

— Sprawiedliwi przechodzą po niej bezpiecznie, upadają tylko występni. (Hos. 14, 10.)

— Czy nie macie tu czem pokrzepić zmęczonych i omdlałych pielgrzymów?

— Pan nasz kazał nam być gościnnymi, to też wszystko, co rodzi ta ziemia, jest wam do usług (Żyd. 13, 2.). Będziemy wam służyć, czem możemy.

Pielgrzymi musieli także i z swej strony odpowiadać na różne zadawane im pytania, n. p. skąd przychodzą, jak przyszli na tę drogę, którą znajduje niewielu, jak udało im się dotrzeć aż do tych wzgórz, co także nie jest bagatelą. Prostudusne odpowiedzi pielgrzymów podobały się pasterzom nadzwyczaj; przyjęli ich serdecznie, jak braci i zaprosili do swych namiotów, ażeby ich szczerze ugościć. A że się już i zciemniło, zaprosili ich także na nocleg. Pielgrzymi przyjęli zaproszenie bardzo wdzięcznie.

Nazajutrz pasterze zbudzili pielgrzymów, by oprowadzić ich po wzgórzach i pokazać im kilka urczych widoków, ale także kilka godnych widzenia osobliwości. Do takich należał n. p. pagórek znacznie wyżej sterczący ponad inne, którego jedna strona spuszczała się jak ściana, spostrzegli pielgrzymi z niemałym przerażeniem zmiażdżone i roztrzaskane trupy ludzi, którzy widocznie spadli tam z wierzchołka. Byli to ludzie, którzy zapuszczali się zanadto w nadduchowe, przytem małostkowe spekulacje, a wspinając się za wysoko, chcąc nawet wlecieć w obłoki i ogarnąć wszystko potęgą swego twórczego ducha, zapomnieli, że są słabymi ludźmi, poślizgnęli się tuż nad brzegiem głębiny, dostali zawrotu głowy i runęli w dół. Dla przestrogi innym pozostali dotąd niepogrzebani.

Z innego pagórka można było widzieć cmentarz, na którym ujrzano błakających się pomiędzy grobami ludzi, którzy zawsze potykali się o groby, chwiali się i nie mogli wydostać się z pomiędzy labiryntu mogił, bo widocznie byli ślepi. Zapytano pielgrzymów, czy nie widzą także małej kładki, która niedaleko od wzgórzy prowadzi na lewo z gościńca na łąki. Pokazało się, że jest to ta sama kładka, która prowadzi na łąkę Zboczyska i do zamku Wątpliwości. Zaś ludzie, których widzieli błakających się po omacku między mogiłami, byli także niegdyś pielgrzymami, którzy jednak woleli

opuścić twardy, skalisty gościniec, a iść sobie wygodniej trawnikiem przez łąkę, lecz schwytał ich olbrzym Przygnębiciel wrzucił do więzienia, wyłupił im oczy i wyprowadził ich na cmentarz, gdzie błakają się bez ratunku. Można sobie wyobrazić, z jakim uczuciem słuchali pielgrzymi tych opowiadań.

U stóp innego pagórka znajduje się wejście. Gdy pielgrzymi wejrzeni w nie, spostrzegli czeluść ciemną i zasmoloną kopącym dymem, usłyszeli coś jakoby trzeszczenie gwałtownego ognia i jęczczenie katowanych duchów; poczuli też zapach siarki.

Są to, jak pasterze mówili, boczne drzwi do piekła, któremi wchodzi obłudnicy, tacy, którzy sprzedali swoje pierworództwo, jak Ezaw, tacy, którzy sprzedali Jezusa, jak Judasz, albo tacy, którzy bluźnią ewangelii, jak Aleksander, albo którzy kłamią i oszukują, jak Ananiasz i Safira.

Ufn y wyraził zdziwienie, że wszyscy ci ludzie przez pewien czas uchodzili za pielgrzymów.

— Tak, i to jeszcze przez dosyć długi czas — zauważyli pasterze.

— Jak daleko zaszli mniej więcej?

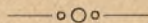
— Niektórzy nie doszli do tych wzgórz, inni nawet zaszli dalej.

— Do prawdy, trzeba nam bardzo prosić o siły — westchnęli pielgrzymi.

— Tak, i o to, żeby ich potem mądrze używać — dodali pasterze.

Potem odprowadzili pielgrzymów aż ku kończynom wzgórz. Z ostatniej wyżyny, zwanej Jasną, mogli już przez dalekowidz pokazać im bramy Syonu. Lecz to, co przedtem widzieli i słyszeli, wzruszyło ich tak mocno, że drżały im ręce i nie byli w stanie utrzymać i nakierować wręczonych im szkieł. Ujrzeni jednak coś podobnego do bramy i coś jakby odbłask wspaniałości owego miejsca.

Lecz komu w drogę, temu czas. I nasi pielgrzymi musieli puścić się w dalszą drogę. Jeden z pasterzy dał im na pożegnanie mapkę drogi, inny ostrzegł ich przed zwodzicielami, trzeci ostrzegał ich przed zaśnięciem na zaczarowanej ziemi, czwarty życzył im opieki Bożej.



XVIII. ROZDZIAŁ.

Odstępca. Małowierny.

W dalszej podróży przechodzili pielgrzymi koło Kraju Urojcń. Z tego kraju wiedzie krzywa, wązka ścieżka na gościniec Syonu. Ścieżką tą przymaszerował do nich żwawy młokos, imieniem Płytkiewicz. Na zapytanie Chrystyna, skąd przychodzi i dokąd idzie, odpowiedział:

— Opuściłem swój kraj ojczysty, a idę na górę Syon.

— To jednak nie jest tak łatwą rzeczą. Czy jesteś pewny, że tam wejdiesz? Masz minę tak swobodną, jakbyś nie wiedział o czekających cię niebezpieczeństwach.

— Dokażę tego, jak wszyscy inni dobrzy ludzie.

— Czy masz świadectwo, albo cośkolwiek na piśmie, czembyś się mógł wykazać u bramy?

— O, żyłem przecież porządnie, spełniam ściśle swoje obowiązki, każdemu daję, co mi się należy, nie oszukuję, ani nie wyzyskuję nikogo, daję nie mało jałmużny, modłę się dużo, już nawet pościłem i oto nawet opuściłem ziemską swoją ojczyznę, ażeby dostąpić niebieskiej.

— Powinieneś być jednak bezwarunkowo przejść przez Ciasną Bramę na początku drogi. Boję się, że choć masz o sobie dobre mniemanie, to jednak nie wejdiesz do miasta, gdyż król nie uznaje nikogo, kto wchodzi którędy indziej. (Jan 10, 1.)

— Jesteśmy sobie zupełnie obcy. Dziwi mnie trochę, że tak odrazu chcecie mi się narzucać na mistrzów. Nie mięszam się do religii waszego kraju, więc i mnie zostawcie w spokoju. Każdy swojemu Panu stoi i upada. Ciasna Brama, o której mi mówicie, jest w każdym razie bardzo od

naszego kraju odległa i nikt u nas nie zna drogi do niej. Lecz nie potrzebujemy niepokoić się o to. Mamy, jak widzicie, bardzo wygodną, zielenią usłaną ścieżkę, która prowadzi wprost z naszego kraju na gościniec Syonu, którym i wy idziecie. Gdy Chrystyn widział, jak się łudził biedny Płytkiewicz urojeniem swej niezwyklej chytrłości, szepnął do Ufnego:

— Jeżeli widzisz kogo, który myśli, że jest mądry, to wiedz, że więcej się można spodziewać po błaznie, niż po nim. (Przypow. 26, 12.) I na ten czas, gdy głupi drogą idzie, serce jego niedostatek cierpi; bo pokazuje wszystkim, że głupim jest. (Kazn. 10, 3.) Czy mamy dalej mówić z nim, albo czy nie lepiej będzie pozostawić go samemu sobie, ażeby rozważył to lub owo z tego, cośmy mu powiedzieli. A może później nadarzy się pomyślna chwila, w której będzie można powiedzieć mu rozumne słowo.

— Lepiej będzie w istocie zostawić go w spokoju; po pewnym czasie możemy mu znów powiedzieć, ile będzie mógł znieść.

Obaj wyprzedzili wkrótce Płytkiewicza, który pozostawał coraz to bardziej w tyle. Dalsza droga zawiodła ich do głębokiego wąwozu, który był dość ciemny. Dostrzegli w ciemności, jak siedmiu szatanów pędziło skrępowanego siedmiu silnymi powrozami mężczyznę do tego samego

wejścia, które widzieli już ze Wzgórzy Uroczych. (Mat. 12, 45; Przypow. 5, 22.) Na ten widok pielgrzymi zadygotali na całym ciele. Chrystyn sądził, że musi znać tego człowieka i że jest to pewnikiem pan Odstępca z miasta Odpadłe. Dokładniej jednak nie mógł mu się przypatrzeć, gdyż miał kapelusz głęboko naciśnięty na twarz i spuszczoną głowę, jak złoczyńca, który nie chce być poznany. Ufny odkrył na jego grzbiecie plakat z napisem: Przemierzły odstępca i nędzny zaprzaniec.

— Szczęśliw ten, kto stąd wyjdzie z żywą duszą — zauważył Chrystyn. Słyszałem już dawniej o fatalnem zdarzeniu, które spotkało tutaj pewnego pielgrzyma. Nazywał się Małowierny i był człowiekiem całkiem sobie uczciwym.

Mieszkał w mieście Niebaczne i przechodził raz tędy. A trzeba wiedzieć, że u wejścia do tego wawozu, w którym się znajdujemy, schodzi się z naszym gościńcem uliczką, zwaną ulicą Umiałych, która prowadziła tutaj z gościńca Szerokiego. Nazwisko to nosi dlatego, że wielu ludzi postradało na niej życie. W pobliżu tej to uliczki usiadł Małowierny, by odpocząć i usnąć. Właśnie pędziło ulicą z gościńca Szerokiego trzech zawadyaków, Zajęcze Serce, Rozpacznik i Winowajca. Ci widząc śpiącego pielgrzyma, rzucili się nań hurmem. Bieda-

czysko właśnie obudził się ze snu i gotował się w dalszą podróż, gdy usłyszał przenikliwy rozkaz: „Stój!” Zbladł jak chusta i nie był w stanie ani uciekać, ani się bronić.

— Pieniądze, lub życie! — wrzasnął Zajączkowe Serce. Gdy jednak Małowierny nie okazywał zbyt wielkiej ochoty do wydobycia swej sakiewki, zabrał się do niego drugi, towarzysz Rozpacznik i wyciągnął mu z kieszeni torebkę pełną srebra.

— Złodzieje, złodzieje! Łapajcie ich! — krzyczał Małowierny.

Jednem uderzeniem w głowę powalił go Winowajca na ziemię. Małowierny leżał na ziemi we własnej krwi bez znaku życia. Wtem zbójcy usłyszeli zbliżające się kroki, a ponieważ obawiali się, że jest to pan Wielkołaski z miasta Otuchy, który im już nieraz przetrzepał skórę porządnie, więc i teraz woleli zostawić swą ofiarę i dać drapaką. Małowierny przyszedł znowu do siebie i powłókł się z trudem dalej.

— Czy zabrali mu wszystko, co miał?

— Nie. Nie mogli odnaleźć miejsca, gdzie schował klejnoty. Te mu zatem zostały. Ale o ile słyszałem, biedak bardzo boleł nad swoją stratą. Miał bowiem bodaj tyle grosza zdawkowego, ile mu było potrzeba do końca podróży. Był nawet zmuszony, o ile nie powiadomiono mię fałszywie,

rzeczywiście żebrać, aby się przebiedować, gdyż klejnotów swoich nie chciał sprzedawać.

Lecz choć oszczędzał i wydzielał jak mógł, choć żebrał i ścisnął, to jednak większą część drogi musiał przebyć z próżnym żołądkiem. Czyż nie jest to cudem — dziwił się Ufn y, — że nie zabrali mu jego poświadczenia, którego potrzebuje u wejścia do niebieskiego miasta.?

— Tak, jest to bądź co bądź wielkim cudem. W każdym razie nie zawdzięcza tego swojej rozwadze. Podczas napadu był zupełnie oszołomiony i nie był chyba w możności ukryć albo uchronić czegoś, gdyby nie łaska Boża, która poraziła rabusiów ślepotą i odwróciła niebezpieczeństwo (2. Tym. 1, 14; 1. Piotr 1, 5).

— Było to dlań z pewnością wielką pociechą, że nie skradziono mu klejnotów.

— Mógłoby tak być, ale strata pieniędzy tak go gryzła i przyciskała nędza, że przez większą część podróży zapomniał, jak bardzo jest bogaty, a budzące się myśli pociechy tłumił natychmiast gorzkimi wyrzutami z powodu swej straty.

— Biedny człowiek — żałował Ufn y. Jakąż musiało mu to sprawiać boleść!

— Ale czyżby i nam podobnie się nie działo, gdyby nas w nieznanym kraju tak napadnięto z nie-nacka i pobito? Biedne serce. Jeszcze cud, że nie pękło z bólu! Mogę snadnie wierzyć, co mi powie-

dziano, że w ciągu całej swej podróży tylko narzekał i płakał gorzko, opowiadając każdemu, kogo spotkał, co za nieszczęście go spotkało, jak napađnięty i obrabowany, ledwie uszedł z życiem.

— Dziwi mię naprawdę, że go nędza nie popchnęła do sprzedania klejnotów.

— Co? — rzekł zdziwiony Chrystyn. — Czy postradałeś rozum? Komużby ich sprzedał? Klejnoty jego nie mają w całej okolicy, gdzie go obrabowano, najmniejszej wartości i niktby nie wiedział, co z nimi począć, a do tego nie mógłby za nie znaleźć pomocy, której szukał. Nadto musiał się przecież wykazać nimi, jeżeli chciał objąć swoje dziedzictwo. A być pozbawionym tego dziedzictwa, byłoby dlań stokroć gorszą stratą i klęską, niż obrabowanie przez zbójców, albo przemijająca nędza.

— Jednak on nie byłby pierwszy, który uległ pokusie. Ezaw sprzedał swój najkosztowniejszy klejnot, bo swoje pierworodztwo za miskę soczewicy. (Żyd. 12, 16.) Czemużby i Małowierny nie miał postąpić podobnie?

— Ezaw sprzedał wprawdzie swoje pierworodztwo i przypisał się tem o największe błogosławieństwo. Od tego czasu niejeden zrobił to samo, co on. Ale musisz, kochany Ufn y, wziąć pod uwagę, że między Ezawem, a Małowiernym zachodzi ogromna różnica. Pierworodztwo

Ezawa nie było niczem dotykalmem, Małowierny zaś znajdował się w posiadaniu rzeczywistych klejnotów. Ezaw był poza tem zmysłowy i krótkowidzący; nie pragnął niczego więcej ponad zaspokojenie swych żądz i swych najbliższych potrzeb, a bogiem jego był brzuch. „Muszę umrzeć“, mówił, „cóż mi po pierworodztwie?“ (1. Moj. 25, 32.). O Małowiernym nie można tego przecież powiedzieć. Nie wiemy nic o wierze Ezawa, Małowierny zaś wprowadzić także nie miał jej zbyt wiele, ale ta, którą miał, wystarczyła, aby go uchronić od podobnego zaślepienia. Nic dziwnego, bo gdzie nie masz wiary, któraby przeważała panującą cielesność, tam człowiek musi uleść pokuszeniu i zaprzedać się z duszą i z pierworodztwem swojem szatanowi dla zaspokojenia chwilowej rozkoszy. Z Małowiernym jednak było inaczej; jego umysł był w gruncie rzeczy zwrócony do nieba i żywił się pokarmem duchownym z góry. Wobec tego nie można było ani przypuścić, żeby był sprzedawał swoje klejnoty za próżne fraszki, choćby nawet był znalazł kupców.

Człowiek, który choć trochę poznał coś lepszego, nie wyda ani szeląga na siano, ażeby zapełnić niem swój żołądek. Gołębica nie będzie spożywała ścierywa, jak kruk.

— Ale owi trzej szubrawcy — sądził Ufny — porządnie jednak byli podszyci tchórzem, boby

inaczej nie czmychnęli natychmiast, skoro tylko usłyszeli kroki ludzkie. Gdyby Małowierny był o tem wiedział prędzej, toby się mógł z nimi spróbować i prawdopodobnie byłby ich odpędził z łatwością.

— Wielu tak mówi, ale niewielu pamięta o tem w stanowczej chwili. Trwoga, rozpacz i wina zbiły już z tropu wielu ludzi tak dalece, że tracili głowę i zapomnieli o jakiegokolwiek obronie. Zresztą nie są oni znów tak całkiem bezsilni, jakby się to zdało na pozór.

Stoi za nimi możny książę bezdennej przepaści, w którego siłę walczą, a który na każde ich skinienie gotów im pośpieszyć z pomocą (1. Piotr 5, 8.).

I ja raz zostałem tak napadnięty, a mówię ci, nie była to zabawka. Nie odrazu straciłem przytomność, lecz walczyłem, jak przystoi na chrześcijanina. Gdy spostrzegli, że nie mogą się ze mną uporać tak łatwo, zawołali swego mistrza, a ten natychmiast stanął przedemną we własnej osobie. Zginałbym niechybnie, gdybym nie był uzbrojony pełną zbroją Bożą. Lecz i tak musiałem zebrać wszystkie siły, aby się mężnie ostać w walce. Nie można mieć o takiej walce ani wyobrażenia, jeżeli się jej nie zna z własnego doświadczenia.

— Rozumiem — rzekł Ufny. Ale dlaczego ci trzej uciekli tak zapamiętale na samo przy-

puszczenie, że może w pobliżu znajdować się Wielkołaski?

— Ponieważ często zmusił do ucieczki nawet samego ich mistrza i tryumfował nad nim. Lecz i on nie łatwo miał sprawę z nim i z jego uczniami. Ciągłe na nowo próbowali zwalić go z nóg. A chociaż włada wprawnie bronią, to jednak liczne blizny, które nosi, świadczą, jak zacięte staczać musiał walki, z których nie zawsze wychodził zwycięsko. A dojęli ci oni także innym bohaterom, takiemu Dawidowi tak, że smucił się, biadał i wił się z bóleści pod ich ciosami takiemu Hemanowi, Hizkiaszowi i innym, których przecież nie można nazwać małodusznymi lalkami i którzy stawiali opór z całą zaciętością. Piotrowi nawet, który się ich rzeczywiście nie lękał i który pomimo przestroóg Mistrza ślubował z zapalem, że się lepiej sprawi z nimi, niż inni uczniowie, nalali tak gorącego sadła za skórę, że zatrwożył się nawet przed biedną dziewczką.

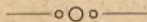
Tem więcej my słabi nie powinniśmy myśleć, żebyśmy okazali więcej dzielności, niż ci, którzy ulegli; ani też nie powinniśmy schlebiać zanadto swojej próżności i łechtać się urojonemi myślami o swojej niezwykłej odwadze. W godzinie pokusy najbardziej z wyniosłymi krucho, bo pycha chodzi przed upadkiem. Wspomniany Piotr myślał, że

lepiej wyzna Pana, niż inni uczniowie, a jednak jakże haniebnie upadł!

Gdy słyszymy, że i na drodze Królewskiej waleśają się ci zbóje i wyrządzają takie łotrowstwa, to nie wystarczy tylko znajdować się na niej, ale trzeba ciągle zważać na dwie rzeczy: W pierwszym rzędzie, nigdy nie śmie się zapomnieć przywdziać pancerza i wziąć tarczy. Bez nich czeka nas niechybna zguba, bo wróg nie ma wtedy przed nami najmniejszej obawy. Dobry pewien bojownik dał nam tę radę: Przedewszystkiem weźcie tarczę wiary, którąbyście mogli zgasić wszystkie strzały owego złośnika. (Efez. 6, 16.) Po wtóre, nie śmiemy zapomnieć prosić Króla, aby nam towarzyszył. Błogo nam, jeżeli idzie z nami; w przeciwnym razie jesteśmy zgubieni. Dawidowi, nawet gdy szedł przez Dolinę Cienia Śmierci, dodawała otuchy ta pewność: Tyś jest ze mną. (Psalm 23, 4.) Mojżesz wolał raczej umrzeć, niż ruszać się choćby o krok bez przewodnictwa swego Pana. (2. Moj. 33, 15.) O tak, miły bracie, gdy On jest z nami, nie potrzebujemy się bać, choćby i całe obozy wojsk rozłożyły się, aby na nas uderzyć. (Psalm. 3, 7; 27, 3.)

I jam już stał w bojowym ogniu, a jestem, jak widzisz, jeszcze przy życiu; lecz sobie i swojemu mężtwu nie mogę z pewnością przypisywać zwycięstwa. Wolałbym ja stokroć, bym już więcej nie musiał chwycić za broń, jakkolwiek wiem,

że przyjdzie jeszcze stoczyć nam niejeden bój. Nie traćmy tylko wiary, a Pan zostanie i nadal z nami i wyrwie nas z rąk każdego wroga.



XIX. ROZDZIAŁ.

Zwodziciel. Ateista.

Rozmowa pielgrzymów naraz się urwała. Droga prosta, którą szli dotąd, rozdzieliła się, lecz tak, że teraz ujrzeli przed sobą dwie równie proste i równie zapraszające drogi. Zatrzymali się, lecz pomimo długich obrad i rozmyśłów, nie mogli powziąć postanowienia, którą tu drogą puścić się dalej. Gdy stali pogrążeni w myślach, zbliżyła się do nich biała postać — jaśniejąca jej szata zakrywała, rozumie się, jej czarną brzydotę — z zapytaniem, dla czego tu stoją i czekają tak długo? Odpowiedzieli, że chcieliby iść na górę Syon, lecz nie wiedzą, czy mają zwrócić się na lewo, czy na prawo.

— Pójdźcie ze mną — rzekł przybysz, — mam ten sam cel. Poszli uradowani, że znaleźli dobrego przewodnika. Ale droga niespostrzeżenie zbaczła z prawego kierunku tak, że wkrótce byli do Syonu odwróceny tyłem. Byli w kłopotcie, czy iść za nim dalej, czy wrócić się. Ale zanim się

mogli zmiarkować, co się działo z nimi, wprowadził ich w taką powikłaną sieć rozmaitych krętych dróg, że o jakimkolwiek wyjściu nie było ani mowy. Tymczasem przewodnik zrzucił błyszczącą swą szatę i pokazał się pielgrzymom w swej właściwej czarnej postaci. Teraz spostrzegli ku wielkiemu swemu przerażeniu, że się znowu dali wyprowadzić w pole. Mogli teraz tylko narzekać i biadać nad sobą.

— Cóżśmy to zrobili! — wzdychał Chrystyn. Czyż na Wzgórzach Uroczych nie ostrzegł nas wyraźnie jeden z pasterzy przed zwodzicielami, przed którymi powinniśmy się byli mieć na baczności?

— Inny dał nam także mapę drogi. Jakże mogliśmy tak zapomnieć rozglądać się w niej — dorzucił rozpaczliwie Ufny.

Biedni pielgrzymi stali bezradnie. W tem spostrzegli jaśniejącą postać z płomiennymi oczyma i z różgą w ręku. Postać ta zbliżała się do nich coraz więcej, wreszcie zapytała ich, skąd przychodzą i skąd się wzięli tutaj. Dygocąc z bojaźni, odpowiedzieli, że pielgrzymują na górę Syon, ale czarny jakiś mąż w szacie jasnej zwabił ich z drogi prawej zapewnieniem, że i on ma ten sam cel, a nie znając na razie drogi, przyłączyli się doń chętnie.

— Był to pochlebca i fałszywy apostoł, który ubrał się w szatę światłości — odpowiedział anioł.

(2. Kor. 11, 13—15.) Pójdźcie za mną, a wywiode was z tej matni na prawą drogę. Po drodze pytał się ich, gdzie spędzili ostatnią noc, na co odpowiedzieli:

— U pasterzy na Wzgórzach Uroczych.

— Czy nie otrzymaliście jakiej mapy drogi?

— Tak.

— Czemuście się nie kierowali podług niej?

— Nie wpadło nam to całkiem na myśl.

— Czy nie ostrzegali was pasterze przed zwodzicielami?

— Rozumie się, ale nie mogliśmy przypuścić, żeby człowiek, który mówił z nami tak mile, był zwodzicielem. (Rzym. 16, 17, 18.)

— Widzicie, uszlibyście całego kłopotu i niepotrzebnego zbłądzenia, gdybyście byli trochę tylko uważali! Tych, których miłuję, strofuję i karzę. (Dzieje 3, 19.)

To mówiąc, rozkazał im anioł położyć się i zaczął smagać ich dotkliwie, aby drugi raz byli ostrożniejszymi. Potem pozwolił im pójść dalej, wskazawszy im prawą drogę i rozkazał zważać dokładnie na zlecenia pasterzy.

Po krótkim czasie ujrzeli zdala mężczyznę, który szedł samotną drogą Królewską naprzeciwko nich, a więc w przeciwnym kierunku.

— Patrz — zawołał Chrystyn — oto idzie ktoś, co obraca się do Syonu tyłem.

— Miejmy się na baczności; może także zachce nas zwodzić i zniechęcać.

Gdy przybysz, nazwiskiem Ateista*) przechodził koło nich, zapytał się, dokąd idą.

— Na górę Syon — brzmiała odpowiedź.

Ateista parsknął śmiechem i rzekł szyderczo:

— Jak też można być tak ograniczonym i podejmować się takiej uciążliwej i daremnej podróży. Waszą nagrodą w najlepszym razie będzie to, że znowu będziecie musieli się wrócić.

— Dlaczegoż nie mielibyśmy zostać przyjęci w niebieskim mieście? — zapytał Chrystyn.

— Cha, cha, cha! Miasto takowe, o którem marzycie, nie istnieje na całym dalekim świecie.

— Rozumie się, że nie na tym świecie.

— W domu ojcystym także dałem wmówić w siebie, że istnieje takie wspaniałe miasto. Wybrałem się w drogę, by go szukać gorliwie. Na szukaniu tem zmarnowałem dwadzieścia lat, teraz po upływie tego czasu znalazłem z niego tyle, co w pierwszym dniu swego szukania.

— Myśmy nie tylko słyszeli o takim mieście, lecz także wierzymy, że je znajdziemy.

— I ja miałem tę wiarę, inaczejbym się nie ruszył z domu, aby go szukać. Podróżowałem dalej, niż wy. Nazbierałem w świecie o wiele więcej do-

*) Zaprzeczający istnieniu Boga.

świadczenia. Zajrzałem do niejednej uczonej książki i znam wszystkie wyniki najnowszych badań i odkryć ludzkich. Gdyby takie miasto istniało, toby je przecież musiano znaleźć, a ja bym musiał coś wiedzieć o niem. Ale widzę, że moja wiara była złudzeniem, wytrzeźwiałem i przeto powracam do ojczyzny, ażeby swobodnie używać tego, czego mi dziecinna moja łatwowierność nakazywała się wystrzegać.

Chrystyn przemówił do Ufnego:

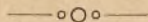
Czy może to być prawdą? Cóż mam na to odpowiedzieć?

— Uważaj, bo jest to zwodziciel. Nie zapominać, w jaką już raz wpadliśmy biedę, gdyśmy usłuchnęli takiego człowieka. Czy zapomniałeś już, jak bardzo bolała różga? Co? Góra Syon miałaby nie istnieć? Czyż nie dojrzelismy bram miasta na Syonie z wierzchołków Wzgórzy Uroczych? Nie, podróżujmy dalej w wierze. (2. Kor. 5, 7.) Nie chcemyż należeć do tych, którzy się odwracają, lecz do tych, którzy wierzą i ratują swoją duszę. (Żyd. 10, 39.)

— Nie zadawałem ci tego pytania, drogi bracie, dla tego, jakobym sam powątpiewał o naszej nadziei, lecz ponieważ chciałem się upewnić o twojej słabości w wierze. To przecież jasne, jak słońko, że tego człowieka omamił bóg tego świata. My

wiemy, że prawda jest przy nas i że z prawdy nie rodzą się kłamstwa. (1. Jan 2, 11.)

— Tak — przyznał zgodnie U f n y — radujmy się, bo mamy wspaniałą nadzieję!



XX. ROZDZIAŁ.

Historia nawrócenia Ufnego.

Ateista tymczasem poszedł ze śmiechem dalej. Pielgrzymi uradowani, że znów pozbyli się jednego uprzykrzonego zwodziciela, puścili się także w dalszą drogę. W okolicy, do której teraz przyszli, owionęło ich powietrze dziwnie ubezwładniające i usypiająco ciężkie. U f n y uczuł najpierwszy, że członki ciążyą mu, jak ołów. Ziewnął przeciągle i rzekł do Ch r y s t y n a :

— Cóż się dzieje ze mną? Ogarnia mię senność; powieki mi się gwałtem kleją, ledwie je mogę podźwignąć. Połóżmy się troszkę i zaśnijmy.

— Pod żadnym warunkiem! — odparł Ch r y s t y n. Usnęlibyśmy, aby się więcej nie zbudzić.

— Czemu? Przecież zmęczonemu drzemka nie szkodzi. Człowiek potem wstaje rzeświejszy.

— Czy zapomniałeś już, że jeden z pasterzy ostrzegał nas przed Z a c z a r o w a n ą Z i e m i ą? Chciał powiedzieć, że tam szczególnie winniśmy

mieć się na baczości. Na tej ziemi obecnie znajdujemy się niewątpliwie. Dlatego też nie śpijmy, jako inni, lecz czuwajmy i bądźmy trzeźwymi. (1. Tess. 5, 6.)

— Ach, jakże jestem niebaczny; gdybym był tu sam, tobym zasnął na śmierć. Jakże dobrze mieć wiernego przyjaciela! Lepiej dwaj, niż jeden. (Kazn. 4, 9.) Twoje towarzystwo, Chrystynie, było dla mnie zawsze prawdziwym dobrodziejstwem.

— Czyż nie mogliśmy omówić ze sobą coś ważnego, aby odpędzić senność?

— Zgoda! — oświadczył Ufn y.

— Jeszcze nie miałem sposobności usłyszeć od ciebie, co cię spowodowało do wybrania się w podróż na Syon.

— Opowiem to chętnie. Długo i ja miałem wielkie upodobanie w rzeczach, któremi zaopatrywało swoich mieszkańców Miasto Próżności.

— Jakież rzeczy masz na myśli?

— Wszystkie skarby i bogactwa świata. Jego hulanki, obżarstwa, pijatyki, kłatwy, kłamstwa, nieczyste żądze, znieważanie niedzieli i wszystko inne, co kazi i niszczy duszę. Opamiętało mnie szczególnie to, co słyszałem od ciebie i od spoczywającego w pokoju Wiernego, który poniósł śmierć dla swojej wiary. W rozmyślaniu nad tem poznałem coraz to wyraźniej, w jakim żyłem oma-

mieniu. Zrozumiałem jasno, że końcem tych wszystkich rzeczy jest śmierć i że dla tych to rzeczy przychodzi gniew Boży na synów niedowiarstwa. (Efez. 5, 6; Rzym. 6, 21, 23.)

— Czy siła tej znajomości przemogła cię nagle?

— Nie. Długo rękami i nogami opierałem się poznaniu nagiej rzeczywistości własnego upadku i potępienia. Usilnie starałem się zamknąć oczy na światłość.

— Czemuż to tak?

— Nigdy nie przeszło mi ani przez myśl, żeby dzieło łaski Bożej w grzeszniku zaczynało się odsłonięciem i objawieniem jego grzechów. Jeszcze zanadto kochałem się w grzechu, aby módz oderwać się od niego ochotnie. Trudno mi było zerwać z miłem i wesołym towarzystwem przyjaciół, z którymi się bardzo zżyłem. Chwilę, w których napadały mię czarne myśli o nędzy własnego grzechu, były tak nieznośne i męczące, że na samo wspomnienie o nich budziły się we mnie wstręt i odraza, i naturalnie starałem się je o ile można od siebie odpędzać.

— Czy więc niepokój opuszczał cię czasem całkiem?

— Tak, czasami, ale zato gdy powracał, to z każdym razem był większy i straszniejszy.

— Cóż też tak zawsze niepokoiło twoje serce?

— Różne rzeczy, n. p. gdym spotkał wierzącego chrześcijanina, gdy wpadł mi w ucho jakiś wyrok biblijny, gdym zasłyszał o wypadkach choroby w sąsiedztwie, albo gdy nawet sam zasła-
błem, gdy o uszy me obił się dźwięk dzwonów po-
grzebowych, gdym dowiedział się o jakiejś nagłej śmierci, szczególnie gdym wspomniął sobie na własną śmierć i na przyszły sąd, przed którym stanę. Poczucie winy gniotło mnie coraz silniej, a myśl o powrocie do grzechu sprawiała mi podwójną mękę. Powziąłem wkońcu stanowczy za-
miar poprawienia się, gdyżbym inaczej zginął nie-
chybnie.

— Czy dokazałeś tego?

Tak, na razie; unikałem grzechu i lekkiego to-
warzystwa, starałem się być pobożnym, czytałem
biblię, modliłem się, wchodziłem sam w siebie
i starałem się mówić prawdę.

— Czy na tej drodze znalazłeś pokój?

Przez pewien czas byłem z tego rad, że się
u mnie wiele rzeczy zmieniło na lepsze, lecz po-
mimo najszczerszych usiłowań poprawy nawie-
dzały mię trwoga i niepokój ciągle jeszcze i to
w coraz większym stopniu.

— Dlaczegoż to? Przecież zacząłeś nowe
życie.

— Musiałem uznać coraz to więcej, jak słu-
sznie bardzo mówi Izaiasz (64, 6), że wszystka na-

sza sprawiedliwość jest splugawioną szatą. Wbiło mi klin w głowę i słowo Jezusa: Jeżeliście wszystko učinili, co wam rozkazano, mówcie: jesteście sługami nieużytecznymi (Łuk. 17, 10.) — a szczególnie słowo Pawła: Z uczynków zakonu nie będzie usprawiedliwione żadne ciało. (Gal. 2, 16.) Wyciągnąłem z tego wniosek, że wdzierać się w niebo po drabinie uczynków zakonu — to największe głupstwo. Powiedziałem sobie zarazem: Jeżeli ktoś do pewnego czasu narobił tysiąc talarów długo, to tego długu nie umorzy w ten sposób, że od tego czasu zaprzestanie zaciągać nowe pożyczki. U Boga zadłużyłem się ogromną kupą grzechów, które w Jego księdze zanotowane są dokładnie wszystkie, lecz długów tych starych nie spłacę w ten sposób, że będę się wystrzegał robienia nowych przez poprawę. Musiałem do tego przyznać, że polepszenie moje miało wielkie usterki, przez co długi rosły nadal i nie śmiałem ani marzyć o tem, że już nowych robić nie muszę. Odkrywałem grzechy, o których przedtem ani mi się nie śniło. Powstawały ciągle coraz to nowe i z najszlachetniejszych moich czynów wyrastały, jak grzyby po deszczu. W niejeden wieczór musiałem rzec sobie z westchnieniem, że grzechy ubiegłego dnia wystarczyłyby już, aby mię wepchnąć w gardziel piekła, choćbym nawet w całym poprzednim życiu był czyściutki i niewinny, jak aniołek.

— Cóż począłś potem?

Byłem bezradny i nie wiedziałem, co począć, aż wreszcie wynurzyłem swe serce W i e r n e m u, którego miałem sposobność dobrze poznać. Powiedział mi bez ogródki, że jeżeli nie będę miał sprawiedliwości tego Męża, który nigdy nie zgrzeszył, to nie przyda mi się ani moja własna sprawiedliwość, ani sprawiedliwość całego świata.

— Czy zrozumiałeś to?

— Gdyby był powiedział mi to nieco wcześniej, kiedy jeszcze z zapalem zabierałem się do wykonania swoich szlachetnych zamiarów, tobym tego prawdopodobnie nie był zdołał strawić. Teraz jednak, kiedy gruntownie poznałem swą nieudolność w dobrem i swoją grzeszność, musiałem przyznać mu słuszość.

— Opowiedział ci pewnie także o sprawiedliwości tego Męża, który nigdy nie popełnił grzechu.

— Tak, opowiadał mi o Jezusie. Zrazu wprawdzie nie bardzo mi to jakoś lazło do głowy, lecz po dłuższem obcowaniu z nim poznałem, o co chodzi i zrozumiałem, że muszę być usprawiedliwiony przez to, co czynił i co ucierpiał za dni Swego żywota w ciele (Rzym. 4, 5.; Kol. 1, 14.; 1. Piotr 1, 19.). Zapytałem go potem, w jaki sposób sprawiedliwość jednego człowieka może się innym dostać w udziale. Odpowiedział, że Jezus jest nie tylko człowiekiem, gdyżby Jego posłuszeństwo i śmierć

nie mogły nas zbawić, lecz że jest On Synem Bożym, który się za nas ofiarował i dla nas podstaąpił śmierć.

— Z pewnością cię to bardzo uszczęśliwiło?

— Nie mogłem tego pojąć odrazu, żeby sprawiedliwość Jezusa była płatną i dla mnie; wyglądało mi to na uroszczenie. Lecz W i e r n y powtarzał mi to ciągle, że zaproszeni są właśnie tacy ludzie, jak ja (Mat. 11, 28.). Darował mi książkę, i zapewniał mię święcie, że wszystko, co w niej napisane, pochodzi od samego Pana i stoi silniej, niż niebo i ziemia (Mat. 25, 35.). Radził mi prosić Ojca na klęczkach z głębi serca, aby raczył łaskawie objawić mi Swego Syna (Jerem. 29, 13. 14.). W modlitwie zaś żebym mówił Doń to, co serce dyktuje, n. p.: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, dai mi poznać Chrystusa, gdyż widzę, że jestem zgubiony bez Jego sprawiedliwości i wiary w Niego“. „O Panie, słyszałem, że jesteś Bogiem łaskawym i że Syn Twój jest Zbawicielem świata i że chcesz dozorować Go i takowemu grzesznikowi, jakim ja jestem.“ „Panie, uświetnij Swoją łaskę, wybawieniem mojej duszy przez Jezusa Chrystusa“.

Zachęcony jeszcze tem upewnieniem, że Pan przez cały rok siedzi na tronie łaski, aby udzielać odpuszczenia i wyzwolenia tym, którzy doń przychodzą (Żyd. 4, 18.), poszedłem za jego radą i modliłem się tak nie raz, nie dwa.

— Czy Ojciec cię wysłuchał?

— Nie odrazu; długo myślałem, że modłę się na-próżno.

— Czy nie przyszła ci także myśl porzucenia modlitwy?

— O jużcie!

— Czemuż nie zniechęciłeś się do reszty?

— Bosię w moją duszę wyryła piętnem niezatartem ta prawda, że cały świat nie może mi pomóc, jeżeli nie osiągnę sprawiedliwości Chrystusowej. Powiedziałem sobie: Gdy porzucisz modlitwę, zginiesz. Coś gorszego nie spotka cię w każdym razie, jeżeli wytrwasz w modlitwie. Wpadło mi potem na myśl słowo: Choćby na chwilę odwłaczał, oczekuj nań, bo zapewne przyjdzie, a nie omieszka (Habak. 2, 3.). Wytrwałem więc nadal w modlitwie, aż Ojciec objawił mi Swego Syna.

— Jakoż się to stało?

— Nie ujrzałem Go cielesnemi oczyma, ale oczyma swego zrozumienia (Efez. 1, 18. 19.). Pewnego dnia byłem smutny, jak nigdy przedtem; przynębiła mię głębsza niż zwykle świadomość mego grzechu. Widziałem przed sobą tylko pickło i potępienie. Wtem zdawało mi się, że widzę swego Zbawiciela, który patrzy na mnie uprzejmie z góry i woła do mnie: „Wierz we mnie, a będziesz zbawiony“ (Dzieje 16, 31.). Ale jam przecież jest wiel-

kim grzesznikiem, jakże mogę przyjąć coś podobnego?" odparłem nieśmiało.

Odpowiedział mi: „Dosyć masz' na łasce **Mojej**" (2. Kor. 12, 9.). „Moja wiara jednak nie jest taka, jaką być powinna" — wymawiałem się. „Kto do Mnie przyjdzie, nigdy nie będzie łaknął, a kto wierzy we Mnie, nie będzie nigdy pragnął (Jan 6, 35.)" — była Jego odpowiedź. Zrozumiałem teraz, że „wierzyć Weń" i „przyść Doń", to jedno i to samo. Lzy radości stanęły mi w oczach, gdy coraz to bardziej stawało mi się jasnem, że śmiem wierzyć i że znalazłem pomoc. Wyrok rozjaśniał mi się po wyroku w duszy i zrzucał łuski z moich ocz. Na przykład: Jezus Chrystus przyszedł na świat, aby zbawić grzeszniki (1. Tym. 1, 15.), Chrystus jest końcem zakonu ku sprawiedliwości każdemu wierzącemu (Rzym. 10, 4.). On zmarł dla grzechów naszych, a wstał z martwych dla sprawiedliwości naszej (Rzym. 4, 25.), On umiłował nas i oczyścił krwią Swoją od grzechu (Obj. 1, 5.), On jest pośrednikiem między Bogiem a nami (1. Tym. 2, 5.), On żyje zawsze i przyczynia się za nami (Żyd. 7, 25.). Zrozumiałem teraz, że w Jego osobie mam szukać swojej sprawiedliwości i w Jego krwi zadośćuczynienia za swoje grzechy. Serce moje zapłasało z radosnej wdzięczności i z nieopisanej miłości do takiego Zbawiciela.

— Chrystus rzeczywiście wspaniale objawił się w twojej duszy. Lecz opowiadaj dalej.

— Teraz dopiero prawdziwie odczułem, jaką bezdenną ciemnotą ogarnia ludzi ich własna domniemana porządność, prowadząc ich na wieczną zgubę. Pojmuję też coraz lepiej, jak bardzo przedtem byłem oślepiony i przewrotny, że nie widzieć własnego grzechu i brzydoty swojego życia. Wstyd mię ogarnął, że tak nic a nic nie umiałem pojąć cudownej miłości Jezusa. Jego piękność nigdy jeszcze nie pokazała mi się w tak całym świetle, jak w owej chwili. Mimowolnie wzbudziło się we mnie żarliwe pragnienie świętego życia na cześć i chwałę Jego Imienia, a zarazem wstręt do wszystkiego, coby Go mogło zasmucić. Byłbym i jestem i teraz gotów przelać Zań ostatnią kroplę krwi i położyć nie jeden, ale tysiąc żywotów.

XXI. ROZDZIAŁ.

Płytkiewicz.

Ufny obejrzał się i spostrzegł, że Płytkiewicz zbliża się do nich znowu bardziej. Stracili bowiem wskutek zbłądzenia dość dużo drogiego czasu.

— Sądę, że znów możemy nań zaczekać — rzekł Ufny.

Chrystyn zwrócił się nazad i zawołał na Płytkiewicza:

— Śpiesz się, a pójdziemy razem.

— Mnie sprawia przyjemność samotna podróż. W każdym razie o wiele mi lepiej samotnie, niż w niedobranem towarzystwie.

Chrystyn szepnął z cicha do Ufnego:

— Domyślałem się, że mu niewiele chodzi o nasze towarzystwo, ale nie dajmy zrazić się jego chłodem, już on się udobrucha.

Poczem uprzejmie odezwał się do Płytkiewicza:

— No, jakże tam, przyjacielu?

— Dobrze, wyśmienicie — odpowiedział — moje serce buja w samych pięknych, Boskich myślach, które mi osładzają drogę.

— Z pewnością zechcesz podzielić się z nami bardzo chętnie tem, co serce twoje napęłnia — rzekł Chrystyn.

— Myślę dużo o Bogu i o niebie.

— To samo robią i dyabli. (Jak. 2, 19.)

— Ależ, jak można mówić coś podobnego! Myślę naturalnie z radością i z upragnieniem, a nie z bojaźnią i ze drzeniem o Bogu i o niebie.

— I to jeszcze nie jest wszystko. Właśnie wpada mi na myśl słowo: Dusza leniwego żąda, a nic nie ma. (Przypow. 13, 4.)

— Opuściłem przecież wszystko. To już chyba jest czemś więcej, niż prostem tylko pragnieniem.

— Doprawdy? Wszystko opuścić, to nie bagatel. Czy jesteś pewny, że wszystko poświęciłeś dla Boga i dla nieba?

— Wiem chyba o tem sam najlepiej. Mogę położyć rękę na serce, które mi to mówi.

— Daruj, ale znów nasuwa mi się jedno przysłowie: Kto ufa w swem sercu, jest głupi. (Przyp. 28, 26).

— To można powiedzieć tylko o przewrotnem sercu, lecz moje serce nie jest przewrotne.

— Jabyś raczej nie wyrywał się tak prędko z podobnem twierdzeniem. Czem dowiedziesz tego?

— Żywię przecież tak piękną nadzieję zbawienia.

— Nadzieja taka może być także zwodnicza.

— Tak, jeżeli się z nią życie nie zgadza; ale u mnie tak nie jest.

— Skądże wiesz, że nadzieja twoja zgadza się z twojem życiem?

— Z własnego serca, które mi to mówi; przecież samego siebie muszę znać najlepiej.

— Tak? Potrzeba na to innych jeszcze świadków, oprócz własnego serca.

— Czyż nie to jest dobre serce, z którego ro-

dzą się dobre myśli? I czyż nie to jest dobre życie, które pełne jest dobrych uczynków?

— Całkiem słusznie — przyznał Chrystyn — ale inna rzecz jest, uroić sobie, że się ma dobre serce, a inna, mieć takowe na prawdę.

— No, proszę, powiedz mi w takim razie, poczem można poznać dobre myśli i życie według przykazań Bożych.

— Są różne dobre myśli. Mogą się one odnosić do Boga, do Chrystusa, do własnego serca, lub do innych przedmiotów. Dobre myśli o naszym sercu są tylko te, które zupełnie zgadzają się ze słowem Bożem, to jest, dobre myśli o sobie samych mamy wtedy, gdy osądzamy samych siebie tak samo, jak osądza nas słowo Boże, które n. p. mówi: Myśl serca człowieczego zła jest od młodości jego. (1. Moj. 6, 5; 8, 2, 1.) Tylko wtedy, gdy ta prawda na wskroś przesiąknie nasze serce, myślimy słusznie o sobie, gdyż zgadzamy się ze słowem Bożem.

— Nigdy nie uwierzę, żeby moje serce było tak złe.

— To też już w tym punkcie nie miałeś w życiu ani odrobiny dobrych myśli, bo stoisz w sprzeczności ze słowem Bożem. Lecz idźmy dalej. Tak samo nasze myśli o naszym prowadzeniu się są wtedy tylko słuszne, jeżeli zgadzają się z wyrokiem słowa Bożego, które brzmi: Nie masz spra-

wiedliwego ani jednego, nie masz, toby czynił dobrze. (Rzym. 3, 12.) Jeżeli człowiek tą myślą jest przejęty do głębi, wtedy myśli słusznie o swoim obcowaniu.

— Cóż wtedy nazywasz dobrymi myślami o Bogu — zapytał Płytkiewicz.

— Naturalnie znowu takie, które zgadzają się ze słowem Bożem. Trudno bowiem rozwodzić się szeroko nad wszystkim, co słowo to mówi, o Bogu, o Jego Istocie i Jego dziełach. Wiedzieć jednak trzeba to, że jeżeli myśli nasze o Bogu mają być słuszne, to winniśmy mówić o Nim w najgłębszej pokorze i w świętej bojaźni. Musimy zaufać Mu, że zna lepiej, niż my samych siebie, że wgląda w najgłębsze nasze myśli i w tajniki naszego serca, które wszystkie przed oczyma Jego są odkryte, że widzi nasze błędy, grzech i niedoskonałość wszystkich naszych dobrych uczynków nawet tam, gdzie sami nic już nie możemy dojrzeć.

— Czy sądzisz, że jestem taki głupi, żebym nie wiedział, że Bóg widzi dalej, niż my ludzie? I to wiem dobrze, że uczynki moje mi nie wystarczą i że Jezus musi mi pomóc.

— Nic mogę oprzeć się wrażeniu, że nie wejrzaleś jeszcze w całą głębię własnego zepsucia i nie wiesz, że koniecznie potrzebujesz sprawiedli-

wości Chrystusa. Jakże pojmujesz to, że Jezus ma ci pomódz?

— Wierzę, że Jezus umarł za grzeszników i że Bóg usprawiedliwia nas i uwalnia od przekleństwa, przyjmując łaskawie nasze posłuszeństwo wobec Swego zakonu, albo krótko: Zasługa Chrystusa robi moje religijne praktyki i dobre uczynki przyjemnymi Bogu.

— To nie wystarczy — dowodził Chrystyn. Taka wiara jest czcza, bo nie jest oparta na piśmie św. W rzeczach tak doniosłych niezmiernie trzeba nam umieć koniecznie trafić w samo jądro myśli Bożych, bo jeżeli sami coś sobie umienimy, to nie ma to przed Bogiem najmniejszego znaczenia i to się nam na nic nie przyda. Prawdziwa wiara w Chrystusa jest całkowitem zwątpieniem w sprawiedliwość własną i uchwyceniem Jego sprawiedliwości. Tylko wtedy, gdy zdobi i zasłania nas jedynie krew i sprawiedliwość Chrystusa, możemy stanąć przed Bogiem bez plamy i zmazy i ostać się. Według twojej wiary zaś usprawiedliwia cię Chrystus tak, że szatę własnych twoich uczynków zakonu czyni Bogu przyjemną, nie pominąć na to, że zakon sprawuje tylko gniew, a Chrystus uczynił za nas wszystko, czego wymagał zakon.

— No, toby dopiero była piękna wiara. Wtedyby ludzie mogli zupełnie do woli popuścić cugle

swoim żądzom, mogliby grzeszyć lekkomyślnie i żyć, jak się komu żywnie podoba. Byłoby wszystko jedno, czy kto jest zły, czy dobry, boby się każdy mógł powołać na to, że go zdobi i zasłania sprawiedliwość Chrystusa. Tylko mi się nie pokazuj publicznie z czemś podobnem, ostrzegam po przyjacielsku.

— Nazywasz się Płytkiewicz. A bardzo mi się zdaje, że imię to jest dla ciebie dość odpowiednie. Myślisz płytko i nie wiesz, co to jest usprawiedliwiająca łaska, nie wiesz, w jaki sposób zostaje dusza uratowana od ciężkiego gniewu Bożego, jak usprawiedliwiająca wiara w Chrystusową sprawiedliwość działa na serce i jak je zmienia do gruntu, jak je przyciąga do Boga i wiąże z Nim silnie i budzi miłość do Niego, do Jego słowa, do Jego dróg, do Jego myśli, do Jego przykazań i do Jego ludu. To wszystko dla ciebie za głębokie i nie masz o tem najmniejszego pojęcia.

Teraz i Ufny wniósł się do rozmowy i zapytał Płytkiewicza:

— Czy Chrystus objawił się już z nieba w twojem sercu?

— Co znowu? To wy należycie do tych, co to wierzą w te rozmaite zewnętrzne oświecenia i cudowne, bezpośrednie objawienia? O to jest bardzo ślizki grunt i zwodnicze źródło. Powiem wam wprost w oczy, że wszystko, co w tej sprawie po-

wiecie wy i wam podobni, uważam z góry za wy-
pociny waryackiej mózgownicy.

— Apostoł Paweł jest po mojej stronie — rzekł Ufn y. — Mówi on, że nikt nie może nazwać Chrystusa Panem, tylko przez Ducha św. (1. Kor. 12, 3.), a sam Jezus także mówi niedwuznacznie: Miłować go będę i objawię mu siebie samego (Jan 14, 21.).

— Na to już nie mogę się zgodzić, ale moja wiara jest w każdym razie trzeźwiejsza od waszej.

— Co powiedział mój przyjaciel Ufn y — rzekł Chrystyn — potwierdzają inne jeszcze miejsca w Biblii. Wszystkie rzeczy dane mi są od Ojca mego i nikt nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca kto zna, tylko Syn i komuby chciał Syn objawić (Mat. 11, 27.). Aby Bóg Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec on chwały, dał wam Ducha mądrości i objawienia ku poznaniu samego siebie (Efez. 1, 17.). Ale cóż, kiedy znowu i tego nie wiesz. Obudź się raczej i opamiętaj, bo stoisz na kruchym gruncie!

— Nie mogę dotrzymać wam kroku — rzekł Płytkiewicz gniewnie. Idźcie tylko naprzód! Ja sobie pójdę powolniej i spokojniej za wami.

— Pójdź, kochany Ufn y! Przykro to bardzo, lecz nie śmiemy się zatrzymywać. Musimy iść dalej bez niego. O jakże się boję o tego biednego człowieka!

— Ach, a ileż to ludzi jest podobnych do niego — rzekł z bolem U f n y. — Całe rodziny, całe ulice, ba nawet całe rzesze pielgrzymów.

— Sądzę, że i tacy ludzie zatruwają się czasem, gdy im błysnie jaśniejsza myśl, odkrywająca głębie ich zepsucia, ale że z natury myślą bardzo płytko o drodze zbawienia i o Bożym planie łaski, przeto nie wiedzą, że taka trwoga jest zbawienna; zagłuszają coprędzej obudzone sumienie.

— Pewnego rodzaju bojaźń Boża i trwoga przed sądem musi bądź co bądź być w sercach tych ludzi, którzy wybierają się w podróż na Syon.

— No tak, ale widzisz, kochany U f n y, bojaźń a bojaźń, to czasem wielka różnica. Prawdziwą bojaźń, która jest początkiem mądrości, można poznać po tem, jak powstaje i jak działa. Powstaje ze zbawienego poznania grzechu i pędzi duszę do Chrystusa, rodzi ustawiczny szacunek przed świętym Bogiem, i robi sumienie coraz delikatniejszym i wrażliwszem na wszystko, coby mogło zakłócić pokój wewnętrzny, lub zasmucić Ducha Bożego.

— Tak i ja myślę. Czy długo jeszcze pójdziemy po Z a c z a r o w a n e j Z i e m i ?

— Czy nudzi cię nasza rozmowa?

— Nie, bynajmniej, chciałbym tylko wiedzieć chętnie, gdzie się znajdujemy.

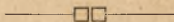
— Wkrótce już będziemy ją mieć poza sobą; lecz chciałbym jeszcze dodać coś do tego, co się

mówiło. Takich ludzi, jakim jest Płytkiewicz, żal mi przedewszystkiem z tego powodu, ponieważ sądzą, że powinni tłumić myśli i uczucia pokuty, które są przecież na drodze zbawienia wprost nieodzowne.

— Jakże dokonują tego?

— Wmawiają w siebie, że taka trwożliwość pochodzi od dyabła, choć przecież wzbudza ją Bóg i uważają za najświętszy swój obowiązek opędzać się jej. Sądzą, że bojaźń ta przyprawia ich o wiarę, a biedni ci ludzie nie mają niestety ani krzty wiary. To też pomimo budzącej się bojaźni pozostaje serce ich zatwardziałe. Wiedzą też, żeby takie chwile zatrwożenia rozbiły w puch nędzną budowę ich własnej sprawiedliwości i dlatego zwalczają taką trwogę ze wszystkich sił.

— Zupełnie taksamo wyglądało niegdyś i w mojem sercu — dodał Ufn'y.



XXII. ROZDZIAŁ.

Przyczyna odstępstwa.

— Lecz dosyć o Płytkiewiczu — rzekł Chrystyn. — Czy nie miałeś sposobności poznać niejakiego pana Chwiejnickiego, który uchodził przed paru laty za bardzo pobożnego?

— Czy nie pochodził on z miasta Niełaski, od którego o jakie dwie mile odległe jest miasto Honorowo?

— Tak: mieszkał pod jedną strzechą z panem Um y k a c z e m. Był wtenczas rzeczywiście przebudzony; grzechy jego niepokoiły go bardzo. U f n y, który przez pewien czas mieszkał w pobliżu niego, potwierdził to i dodał:

— Przychodził często do mnie splakany. Żywiłem wielką nadzieję, że Pan dokona w Nim Swego dzieła.

— Wobec mnie wyraził raz życzenie wybrania się także na górę Syon. Ale na nieszczęście zaznajomił się z niejakim panem S a m o d z i e l n y m, który wpoił weń, że człowiek może i musi podołać wszystkiemu, a więc i grzechowi własną dzielnością i że Chrystus nie pomoże człowiekowi, ale człowiek musi pomódz sobie sam. Od czasu tej znajomości przychodził do mnie coraz to rzadziej.

— Czem się to da wytłómaczyć, że tylu przebudzonych odstępuje i odpada znowu? — zapytał U f n y.

— Sądzę, że ich sumienie wprawdzie jest obudzone, ale kierunek ich serca pozostał w gruncie rzeczy ten sam, że w istocie nie zaszła u nich żadna zmiana, a to się objawia szczególnie wtedy, gdy głos trwożącego sumienia nieco przycicha.

Wtedy wychodzi na jaw, że serce ich jest jeszcze w dawnym, nieodnowionym stanie. Bójaźń Boża, którą mają, jest niewolnicza, nie dopuszcza zatem ani śladu tęsknoty za Nim Samym i za błogością przebywania z Nim. To też chętnie czepiają się tego wszystkiego, czego, jak mówią, jest im wolno używać. Krępuje ich również bojaźń przed ludźmi. Chrześcijanie przecież mają w świecie tak małe znaczenie, nie odgrywają właściwie żadnej roli w życiu społecznem, nawet usuwają się od niego i są okryci pogardą. Któżby obcował z taką nędzną garstką i narażał się na ośmieszenie i skompromitowanie się u świata, u którego naturalnie religia nie jest dziś w modzie. Nie, pycha cielesna, która została u nich po staremu, nie zniosłaby najłżejszego zniesławienia i hańby, która jest nieodłączna od rzeczywistego chrześcijaństwa. Do tego mogliby się narażać na niejedną ziemską stratę, trzebaby nieco poświęcić, a oni mówią, że od tego dana człowiekowi chytrłość i trzeźwość, ażeby nie stracić niczego, choć właściwie sami nie zdawają sobie sprawy z tego, co by stracili. Następstwem tego jest, że tylko ta nainieprzyjemniejsza naturalnemu sercu strona chrześcijaństwa pozostaje dla nich odsłonięta, a życie z Boga i życie z łaski usuwa się ich wzrokowi. Nic dziwnego więc, że chrześcijaństwo staje się im coraz bardziej niesmaczne i bezwartościowe. Rozbudzenie i poruszenie

trwa u nich tak długo, jak długo działają na nich pierwsze strachy sądu i piekła. Wtedy są oni podobni do drzewa gnącego się i trzeszczącego pod huraganem burzy i ulewy. Gdy burza ustanie, wtedy drzewo znów staje prosto i spokojnie, jak dawniej. Tak samo, gdy od nich ustąpią strachy sądu, powracają do dawnego trybu życia i tęsknią za mięsem Egiptu.

Przyczyna takiej skłonności do odstępstwa leży zatem w pierwszym rzędzie w braku prawdziwej zmiany umysłu. Tacy ludzie równają się oskarżonemu przed sędzią. Drży on i błaga ze skrucą o łaskę, lecz tylko z bojaźni przed karą, lub przed szubienicą, a nie ze wstrętu do złego samego. Gdzie nie zaszła rzeczywista zmiana umysłu, tam można być pewnym, że człowiek, skoro tylko minie niebezpieczeństwo, pójdzie znowu starą drogą.

— Wszystko to są myśli, które bardzo mogą się przydać ku doświadczeniu samego siebie, lecz byłoby to z pewnością również bardzo pouczające, gdybyśmy zastanowili się nad tem, jak się dokonuje takie odstępstwo.

— W różnych wypadkach będzie się to odbywało różnie. Lecz przeciętnie dałoby się to określić mniej więcej tak: Zaczynają opuszczać ich myśli o Bogu, o śmierci i o sądzie. Potem zaniedbują się w modlitwie w komórcie i w zwalczaniu złych żądności, zaprzestają bać się grzechu i czu-

wać nad nim. Z czasem zaczynają nudzić się w towarzystwie żywych, stanowczych chrześcijan, a wkrótce porzucają zewnętrzne ćwiczenia, czytanie biblij i słuchanie słowa Bożego. Nie czują więcej potrzeby łączenia się z dziećmi Bożemi, a gdzie takowe są, stronią od nich. Ażeby zaś usprawiedliwić swoje cofanie się, usiłują się wyszperać i wywachiwać jak najwięcej słabości wśród pobożnych, a gdy widzą, że i pobożni utykają niezrządkiem, to jest to tylko wodą na ich młyn. Coraz to więcej szukają towarzystwa ludzi światowych, a gdy znajdują się w ścisłym kółku, to się język ich rozwija powoli do płytkich, nawet ślizkich rozmów. Pótniej i publicznie wazą się popelniać drobne grzeszki bez rumieńca, a gdy się już zahartowali w ten sposób, odkrywają swą właściwą postać i to, co siedziało na dnie ich serca. I znów pływają swobodnie i bez troski w strumieniu zaguby, a jeżeli dziwna łaska Boża nie zlituje się nad nimi, to powoli zasypiają i zamierają, wreszcie giną śmiercią wieczną.



XXIII. ROZDZIAŁ.

U celu.

Podczas takich rozmów przeszli pielgrzymi szczęśliwie Zaczarowaną Ziemię i przyszli do

Kraju Przymierza. Owiało ich tam łagodnie rzeźwiące i kojące powietrze. Jakże mile było im teraz przechodzić przez dłuższy czas tą okolicą powabną. Świegotanie ptaszków i woń rozsianych bujnie kwiatów napępniały powietrze. Widzieli już przed sobą górę Syon, a na niej miasto niebieskie. Zamku Wątpliwości, Doliny Cienia Śmierci i tym podobnych niebezpiecznych miejscowości nie dojrzałbyś już tu, jak daleko okiem sięgnąć. Spotykali już obywatele niebieskiego miasta i różnych Promienistych, przechadzających się w tym kraju, który leżał na samej granicy nieba. Dusza tu raduje się w Bogu tak, jak młoda panna raduje się ze swym oblubieńcem. Ma się tu pod dostatkiem wszystkiego, czegokolwiek potrzeba, a czego brakowało przedtem. Nawet wołania z miasta dolatywały już ich uszu:

— Powiedzcie córce Syońskiej: Oto idzie Zbawiciel twój, oto zapłata Jego z Nim, a dzieło rąk Jego przed Nim (Izaiasz 62, 11.).

Witano ich już jako lud święty, jako zbawionych Pańskich i wybranych. Serce biło im coraz radośniej, w miarę, jak zbliżali się do miasta, którego chwałę widzieli coraz wyraźniej.

Wszystkie jego boki i krawędzie błyszczwały i migotały się blaskiem pereł i drogich kamieni. Ulice miasta wyłożone były samem złotem przejrzystem, jak szkło (Obj. 21, 21.). Oślepiający blask,

bijący z miasta, był prawie nie do zniesienia. Pielgrzymi musieli przystanąć trochę i przysłonić oczy dłonią, lecz z czasem przyzwyczaili się do tej światłości. Droga ich wiała się poprzez ogrody owocowe i winnice, ciągnące się wszerz i wzdłuż. Chrystyn zapytał się ogrodnika, który stał na drodze, czyja jest to własność.

Ogrodnik odpowiedział:

— Jest to własność naszego Króla, przeznaczona dla orzeźwienia pielgrzymów.

To rzekłszy, poprowadził ich do ogrodów i prosił, aby pokrzepili się owocami do woli i aby odpoczęli.

Jakże tam wszystko było piękne! Usiedli chwilę, aby odpocząć, a otaczająca cisza ukołysała ich do błogiego snu. Gdy zbudzili się, podnieśli się orzeźwieni, aby już dojść wreszcie do upragnionego celu. Lecz odbłask wspaniałości był tak oślepiający, że nie mogli patrzeć weń gołymi oczyma, tylko przez zwierciadło, które nieco tłumilo jaszkrawy żar promieni (1. Kor. 13, 12). Dwaj mężowie w błyszczących, promieniejących złotem strojach wdali się z nimi w rozmowę. Życzyli sobie do wiedzieć się o wszystkich przygodach, które spotkały pielgrzymów w drodze i przepowiedzieli im, że mają jeszcze wytrzymać jedną próbę wiary i stałości, poczem wejdą już do miasta. Chry-

styn prosił mężów o dalsze łaskawe towarzyswo, na co się obaj zgodzili uprzejmie.

Teraz stanęli bezpośrednio przed bramą miasta, ale potrzeba było jeszcze przeprawić się przez szeroką rzekę, opasającą dokoła miasto. Lecz w tem sęk, że nie można było doirzeć ani mostu, ani łódki, lub czegoś podobnego, na czemby się przewieźli. Jak tu teraz przejść? Do tego rzeka wyglądała niezbyt płytka. Stropiło to pielgrzymów niemało. Przewodnicy odpowiadali ciągle na ich troskliwe pytania, że niemasz innego przejścia i że będą musieli przeprawić się przez rzekę wbród.

— Czy doprawdy niemasz innej drogi? — zapytał Ch r y s t y n.

— Jest, ale od czasu, jak świat stoi, wolno było przejść nią do miasta na Syonie dwom tylko mężom, Enochowi i Eliaszowi i nikt już nie pójdzie nią więcej.

Pielgrzymi upadli zupełnie na duchu. Rozglądali się w prawo i w lewo, rozmyślali, którędyby tu obejść nurty rzeki — ale napróżno. Ch r y s t y n wreszcie zapytał przewodników:

— Czy niema przynajmniej takich miejsc, gdzieby rzeka była nieco płytsza?

— Tyle tylko można powiedzieć: Im mniejsza będzie wasza wiara, tem rzeka będzie głębsza i naodwrot.

Chrystyn zdobył się na odwagę i wkroczył z wolna w rzekę. Lecz nie mógł się jakoś domacać dna. Ogarnął go strach, w którym krzyczał:

— Tone! Głębia mię zalewa, a wody weiskają się aż do duszy mojej! (Psalm 69, 2, 3.)

Ufny, który wkroczył w rzekę nieco powyżej, gdzie rzeka była płytsza, zawołał na Chrystyną:

— Tylko śmiało naprzód! Czuje grunt pod nogami.

— Ach! — narzekał Chrystyn. Strachy śmierci mię ogarnęły! (Psalm 55, 5.) Nie ujrzę ja pewnie kraju, opływającego mlekiem i miodem.

Ogarnęła go gęsta, gruba ciemność. Odszedł go wzrok i słuch. Opuściła go pamięć i przytomność. Jego wołania o pomoc zdradzały okropną trwogę śmierci. Lękał się, że zginie w rzece i że cała podróż odbyta będzie nadaremno. Wszystkie błędy, które popełnił, wszystkie grzechy, których się dopuścił podczas swego pielgrzymstwa, gniotły go, jak ogromne głazy; pokazywały mu się złe duchy, które dręczyły go nieopisaną trwogą. Ufny musiał użyć wszystkich sił, ażeby utrzymać go nad wodą. Nieraz mu zatonął całkiem przed oczyma i wypłynął potem na powierzchnię na pół umarły. Ufny nieustrudzony dodawał mu ciągle otuchy i pocieszał go:

— Bracie, już widzę bramę i mężów, stojących w pogotowiu, by nas przyjąć.

— To ciebie, ciebie chcą przyjąć; tyś zawsze bywał ufniejszy odemnie.

— I tyś trzymał się ufnie nadziei w niejednej potrzebie.



— Ale teraz! Gdybym miał więcej wiary, toby woda nie była tak głęboka. Widocznie Bóg opuścił mię i uwikłał w sidła dla moich grzechów i niedowiarstwa.

— Nie, bracie; Bóg nie opuścił cię. On tylko wystawił na próbę twoją wiarę, bo chce wiedzieć,

czy dosyć masz na łasce Jego i czy wytrwasz przy Nim stale i w cierpieniu. Bądź dobrej myśli. Wnet i w twojem sercu zaświeci światłość.

I oto naraz Chrystyn, jakby obudził się i otrząsnął z przykrego jakiegoś snu, zawołał z radością w głosie:

— Widzę Go, widzę znowu swego Pana! Słyszę, że mówi do mnie: „Gdy pójdziesz przez wody, będę z tobą, a jeżeli przez rzeki, nie zaleją cię.“ (Izaj. 43, 2.)

Teraz obom wzrastała otucha. W miarę, jak zbliżali się do tamtego brzegu, podnosił się i grunt pod ich stopami, a rzeka stawała się coraz płytsza. Na tamtym brzegu ujrzeli dwóch mężów, gotowych na ich przyjęcie. Powitali ich słowami:

— Jesteśmy duchami usługującymi, którzy bywają posyłani na posługę dla tych, którzy mają odziedziczyć zbawienie. (Żyd. 1, 14.)

Potem ujęli pielgrzymów za ręce i poprowadzili ku bramie. Szczyt góry Syon, na której leżało niebieskie miasto, strzelał wprawdzie wysoko bardzo ponad chmury, ale pielgrzymi wstępowali w górę bez najmniejszego trudu po spadzistej pochyłości, krocząc po lekkich obłóczkach, jak po schodach, gdyż w rzece zostali zewleczeni ze swych śmiertelnych ociążałych szat. Czuli się teraz jakoś niewymownie lekko i swobodnie. Wzno-

sząc się w górę przez napowietrzną krainę, wy-
pytywali się swoich towarzyszków o wspaniałości,
która ich czeka, ale ci oświadczyli, że ta świetność
nie da się ani opisać słowami.

— Przystępujcie teraz — rzekli im — w zu-
pełnem słów tych znaczeniu do góry Syon i do
miasta Boga żywego, do Jeruzalemu niebieskiego
i do niezliczonych tysięcy aniołów. (Żyd. 12, 22 do
24.) Przychodźcie do rajy Bożego, w którym ro-
śnie drzewo Żywota, z którego będziecie śmieli
spożywać owoce. (Obj. 2, 7.) Otrzymacie lśniąco-
białe szaty. (Obj. 3, 4.) Będziecie służyli przed
tronem Boga i Baranka i patrzyli w Jego oblicze.
Imię Jego będzie promiennymi głoskami jaśnieć na
waszych czołach. Nie będzie tam więcej nocy; nie
będziecie więcej potrzebowali świecznika, lub
światła słonecznego, gdyż Pan Bóg sam będzie
was oświecał i będziecie panowali z Nim od wie-
ków aż na wieki. (Obj. 22. 3—5.) Lecz, śmierci,
boleści, krzyku, cierpień nie będzie tam więcej.
(Obj. 21, 5.) Jednem słowem, stare rzeczy prze-
miną, a oto wszystkie nowemi się staną.

— Cóż za praca czeka nas tam w mieście? —
zapytali pielgrzymi.

— Znajdziecie tam ukojenie po wszystkich cier-
pieniach, któreście musieli znieść i radość po
wszystkich troskach, będziecie żąć owoce modłów,
lecz i cierpień, któreście siali w ciele. (Gal. 6, 8;

Psalm 126, 5, 6; Mat. 5, 4; Jan 16, 20.) Będziecie nosili złote korony i oglądać Najświętszego i Niewymownego od wieków, aż na wieki. (1. Jan 3, 2.) Temu, któremuście służyli już na ziemi w słabości ciała, wśród pokus rozlicznych, będziecie tam mogli służyć w ciele chwalebnem i dziękować Mu o wiele lepiej, niż to przed tem było możliwe. Oczy wasze lśnić się będą Jego widokiem, a uszy zachwycać się Jego głosem. Będziecie śmieli oglądać wszystkich przyjaciół, którzy przyszli przed wami i powitać z radością wszystkich, którzy przyjdą za wami. Będziecie obleczeni okazałością i majestatem. A gdy się Król objawi w chwale i wy objawicie się z Nim; gdy przyjdzie na skrzydłach wiatru, w chmurach niebieskich i z dźwiękiem trąb, będziecie Mu towarzyszyli; gdy usiedzie na sąd, staniecie przy Jego boku; gdy będzie sądził wszystkich, którzy czynili niesprawiedliwość, czy ludzi, czy aniołów, otrzymacie i wy prawo wydawania wyroków, wreszcie będziecie śmieli przebywać z Nim na wieki w niebieskiem królestwie. (1. Tes. 4, 15—17; Dan. 7, 9, 10; 1. Kor. 6, 2, 3.)

Gdy zbliżali się do bramy, wybiegły na ich spotkanie całe rzesze niebian. Dotychczasowi ich towarzysze zwiastowali im głośno:

— To są mężowie, którzy umiłowali naszego Pana, jak długo byli w świecie. (1. Piotr. 1, 8.) i którzy opuścili wszystko dla Jego Imienia (Mat.

19, 27.) Rzesze zaśpiewały czystym, donośnym głosem:

— Błogosławieni, błogosławieni ci, którzy są wezwani na wieczerzę wesela Barankowego. (Obj. 19, 9.)

W szatach, mieniających się przezczystą białością, przyszli aniołowie i napełnili całe niebo słodką, precudną muzyką. Powitania, śpiewy, okrzyki tryumfalne rozlegały się w całym bezmiarze niebieskiego świata. Z przodu i z tyłu, z prawej i z lewej strony otaczały pielgrzymów mnogie zastępy tryumfujących zbawionych i niebieskich istot, a liczba ich wzrastała w miarę, jak szli, albo raczej wznosili się wyżej. Zdawało się, że całe niebo przygotowało się na ich przyjęcie. Ze wszystkich spojrzeń, ze wszystkich wyrazów twarzy mogli pielgrzymi wyczytać, jak nieopisana radość panuje wśród niebian z powodu ich przybycia. Ale oto już stanęli przed miastem. Dolatywał z niego jakiś huczny a łagodny zarazem i melodyjny dźwięk. W języku ziemskich mieszkańców możnaby powiedzieć, że uderzono w niebie we wszystkie dzwony na ich przyjęcie. Żadne pióro i żaden język nie zdoła opisać błogości, którą wszystko było przejęte. Nad bramą widniał złoty napis: „Błogosławieni, którzy strzegą przykazań Jego, aby mieli prawo do drzewa żywota i aby weszli bramami do miasta. (Obj. 22, 14.)

Kazano pielgrzymom zapukać w bramę. Któż opíše uczucie, z którem to czynili! Na bramie zjawili się Enoch, Mojżesz, Eliasz i inni, gdyż dano im znać, że przyszli dwaj mężowie z miasta Zagłady i z miasta Próżności. Pielgrzymi oddali swoje listy, które otrzymali na początku swej podróży. Odwieziono je Królowi. Ten natychmiast wydał rozkaz otworzenia bramy, aby weszli sprawiedliwi, którzy dochowali wiary. (Izaj. 26, 2.) U wyjścia powitano ich słowami: Wnijdźcie do radości waszego Pana. (Mat. 25, 23.)

Natychmiast zostali całkiem przemienieni, otrzymali jaśniejące szaty, wręczono im harfy i włożono im na skronie korony. I znowu dźwięk dzwonów rozplynał się daleko i szeroko — wśród złocistych przybytków niebieskich.

Pielgrzymi sami zaś nucili:

— Siedzácemu na tronie Barankowi błogosławieństwo i cześć i chwała i moc na wieki wieków. Amen! Amen! (Obj. 5, 13.)

Gdy bramy przez pewien czas pozostały otwarte, wejrzałem w swoim śnie do miasta za pielgrzymami i dojrzałem nieco ze wspaniałego blasku miasta, które nie da się opisać ani w przybliżeniu. Przed okiem mojem migotały się złote, rubinowe i dyamentowe ulice, oświecone słońcem Pańskiego majestatu, sunęli się po nich zbawieni z obliczami promieniącymi szczęściem i anielską

czystością, uwieńczeni wieńcami ze złotych promieni, z palmami i z harfami w rękach. Słyszałem też symfonie i śpiewy unoszących się tam i sam niebieskich istot, z których najczęściej zdołałem uchwycić słowa: Święty, święty, święty jest Pan Zastępów. (Izaj. 6, 3.)

Potem zamknięto znowu bramy. O jakże zapragnąłem przebywać tam także!

* * *

Pogrążony w tych myślach, obejrzałem się i spostrzegłem Płytkiewicza, przychodzącego nad brzeg rzeki. Przeprowadził się bez najmniejszego trudu, gdyż właśnie nawinął się łódkarz imieniem Mrzonka, który go przewiózł na swoim baciku. Nikt jednak nie wyszedł na jego spotkanie. Pod górę kroczył zupełnie samotnie. U bramy miasta zastukał silnie w mniemaniu, że mu natychmiast otworzą. Mężowie, którzy przezierali przez bramę, zapytali go, czego żąda. Odpowiedział:

— Jadałem i pijałem przed Królem i kazał na naszych ulicach.

Zażądano od niego świadectwa, lecz gdy po długim szukaniu nie znalazł nic w swoim zanzardzu, doniesiono o tem Królowi. Ten rozkazał obom Promienistym, którzy przyprowadzili Chrystyna, związać ręce i nogi Płytkiewiczowi

i wypchnął go precz. Wysłańcy ujęli go, ponieśli przez krainy napowietrzne i wrzucili do owego wejścia, które ujrzałem u stóp jednego z Wzgórz Uroczych. Poznałem, że do piekła prowadzi droga taksamo z miasta Zagłady, jak i od bram Syońskich.

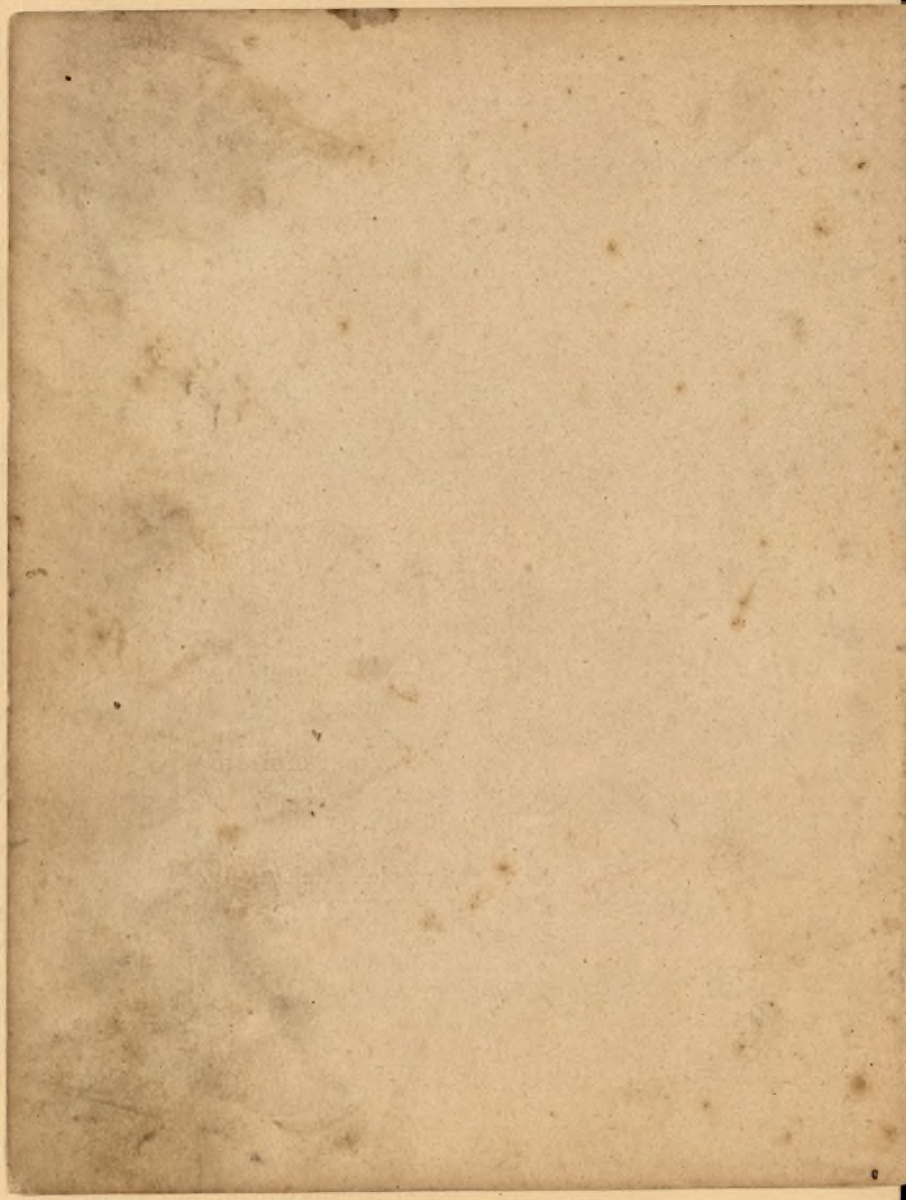
Obudziłem się i oto — był to sen.



SPIS RZECZY.

Przedmowa :	1. Uwagi wstępne . . .	5
	2. Życie Bunyana . . .	12
Rozdział I.:	Ucieczka pielgrzyma z miasta zagłady . . .	28
"	II.: Bagno rozpączy . . .	33
"	III.: Za wskazówką mędrka	40
"	IV.: Brama ciasna . . .	50
"	V.: W domu tłumacza . . .	54
"	VI.: Pod krzyżem . . .	65
"	VII.: Góra trudów . . .	71
"	VIII.: Pałac piękny . . .	76
"	IX.: Dolina upokorzeń . . .	87
"	X.: Dolina cienia śmierci . . .	96
"	XI.: Wierny	102
"	XII.: Jan Gadulski . . .	115
"	XIII. Spotkanie z Ewangelistą	131
"	XIV.: Miasto próżności . . .	134
"	XV.: Ufny i Podszywałski z towarzyszami . . .	151
"	XVI. Zamek wątpliwości . . .	169
"	XVII.: Wzgórze Uroczne . . .	182
"	XVIII.: Odstępca. Małowierny	186
"	XIX. Zwodziciel. Ateista . . .	197
"	XX.: Historia nawrócenia Ufnego	202
"	XXI.: Płytkiewicz . . .	211
"	XXII.: Przyczyna Odstępstwa	220
"	XXIII.: U celu	224







Książnica Cieszyńska

KD I 5134